

Garret 03 Zimne Miedziane lzy

Garret 03 Zimne Miedziane lzy

Garret 03 Zimne Miedziane Łzy

Glen Cook

Zimne Miedziane Łzy

Tytuł oryginału: Cold Copper Tears

Przełożyła Aleksandra Jagiełłowicz

Garret 03 Zimne Miedziane lzy

I

Chyba był już najwyższy czas. Zaczynało mnie nosić. Nadchodziły te paskudne dni, kiedy ciało ogarnia skrajne lenistwo, a nerwy wrzeszczą, że najwyższy czas coś zrobić - bardzo okrutna kombinacja. Na razie lenistwo było o łeb do przodu.

Nazywam się Garrett - tuż po trzydziestce, sześć stóp i dwa cale, dwieście funtów, włosy jasne, eksmarine - ogólnie zabawny chłopak. Za odpowiednie pieniądze znajduje różne rzeczy lub ściągam ludziom z karku rozmaite paskudztwa. Nie jestem geniuszem. Udaje mi się wykonać zadanie, ponieważ jestem zbyt uparty, żeby zrezygnować. Moim ulubionym sportem są kobiety, ulubioną potrawą - piwo. Pracuję w moim własnym domu przy ulicy Macunado, w połowie drogi pomiędzy Górą a nabrzeżem w śródmieściu TunFaire.

Właśnie spożywałem płynny lancz w towarzystwie mojego kumpla Kolesia, dyskutując o religii, kiedy niespodziewany gość obudził we mnie żyłkę sportowca.

Była wysoką blondynką o skórze delikatnej jak najcieńsza satyna, jaką kiedykolwiek widziałem. Wokół niej unosił się niezwykły zapach, a lekki uśmiezek mówił, że wzrokiem przenika wszystko, natomiast Garrett jest dla niej jedną wielką bryłą kryształu. Wydawała się wystraszona, ale nie przerażona.

- Chyba się zakochałem - mruknąłem do Kolesia w momencie, gdy stary Dean prowadził ją do mojego biura-grobowca.

- Trzeci raz w tym tygodniu. - Do końca wysączył swój kufel. - Nie mów o tym Tinnie.

Zaczął wstawać. I wstawał. I jeszcze wstawał. W końcu ma dziewięć stóp wzrostu.

- Niektórzy z nas muszą wracać do roboty. - Zaczął tańcować z Deanem i blondynką, usiłując dostać się do holu.

- Później.

Ubawiliśmy się nieźle, wykpiwając skandale wstrząsające przemysłem religijnym TunFaire. Kolesi kiedyś zastanawiał się, czy nie umoczyć palców w tym bagnie, ale udało mi się spłacić dług, jaki wobec niego miałem, i to szczęśliwie utrzymało go w końskim biznesie.

Spojrzałem na blondynkę. Ona na mnie. Spodobało mi się to, co zobaczyłem. Blondynka miała mieszane uczucia. Konie nie rzą, kiedy obok nich przechodzę, bo na przestrzeni lat moja gęba była dość często modelowana pięściami, co nadało jej pewien charakter.

Ona wciąż uśmiechała się tajemniczo, do tego stopnia, że już chciałem obejrzeć się przez ramię i sprawdzić, co się skrada za moimi plecami.

Dean ulotnił się, wyraźnie unikając mojego spojrzenia. Udawał, że musi sprawdzić, czy Kolesi dokładnie zniknął za sobą drzwiami. Ten drań ma wyraźnie zabronione, by wpuszczać kogokolwiek. Jeszcze kazaliby mi popracować. Blondyna musiała oczarować go tak, że pogubił skarpetki.

- Jestem Garrett. Siadaj. - Nie będzie się musiała zanadto napracować, żebym i ja zaczął wyskakiwać z garderoby. Miała w sobie coś, co wychodziło poza styl i urodę - jakąś aurę, osobowość. Kobieta, która sprawia, że eunuch płacze rzewnymi łzami, a duchowny przeklina swoje śluby.

Usadowiła się na krześle Kolesia, ale się nie przedstawiła. Pierwszy szok już mi przeszedł. Pod przepyszną maską wyczułem czający się chłód. Ciekaw byłem, czy w ogóle ktoś tam jest

- Herbata? Brandy? Panno... A może Dean poszuka nam kropelki Złota TunFaire, jeśli go ładnie poprosimy?

- Nie pamiętasz mnie?

- Nie. A powinienem?

Facet, który by ją zapomniał, może być tylko trupem. Zachowałem jednak tę uwagę dla siebie. Ogarnął mnie chłód, i to chłód bez poczucia humoru.

- To było dość dawno, Garrett. Kiedy się widzieliśmy ostatnio, ja miałam dziewięć lat, a ty wybierałeś się do marines.

Do dziewięciolatek nie mam takiej pamięci jak do dwudziestolatek. Nic mi się nie przypomniało, choć i tak było to dawniej, niż chciałbym pamiętać. Piątkę w marines usiłuję zapomnieć już od dłuższego czasu.

- Mieszkaliśmy po sąsiedzku, na trzecim piętrze. Kochałam się w tobie, a ty ledwo mnie dostrzegałeś. Umarłabym, gdyby było inaczej.

- Przepraszam. Wzruszyła ramionami.

- Nazywam się Jill Craight

Wyglądała jak Jill, z bursztynowymi oczami, choć te oczy, zamiast płonąć, rozłączały arktyczne krajobrazy. Ale nie była żadną z Jill, które znałem, ani dziewięcioletnich, ani żadnych innych.

Każdej innej Jill od razu zaproponowałbym, że nadrobimy stracony czas. Ale jej chłód już wchodził mi w gnaty. Kiedy następnym razem pójdę do spowiedzi, pewnie pogłaska mnie po głowie za tę powściągliwość. Jeśli w ogóle pójdę, bo ostatnio zdarzyło mi się to, kiedy miałem dziewięć lat.

- Chyba ci przeszło w czasie mojej nieobecności. Nie zauważyłem cię na nabrzeżu, kiedy wracałem.

Właśnie ją przejrzałem. Rozpaliła w sobie ogień, żeby przejść przez Deana, ale teraz już było po wszystkim. Użytkowniczką. Najwyższy czas, żeby przestała już ozdabiać to krzesło i pozwoliła mi dokończyć lancz.

- Chyba nie przyszedł tu po to, żeby wspominać dawne czasy na ulicy Brzoskwiniowej?

- Ulicy Pyme - sprostowała. - Może jestem w kłopotach i będę potrzebować pomocy.

- Zwykle tak jest z ludźmi, którzy tu przychodzą. - Coś mi podpowiedziało, żeby jeszcze nie wyrzucać jej za drzwi. Przyjrzałem się jej jeszcze raz. Nie był to przykry obowiązek.

Nie była ubrana wyzywająco. Raczej konserwatywnie, choć kosztownie, z dużym smakiem. To mogło sugerować pieniądze, ale nie musiało. W mojej części miasta ludzie często noszą na sobie cały swój majątek.

- Nasz dom spalił się, gdy miałam dwanaście lat. - (Już wtedy powinienem był sobie coś przypomnieć, ale stało się to znacznie później). - Moi rodzice zginęli. Zamieszkałam z wujkiem, ale nie zgadzaliśmy się ze sobą. Uciekłam. Ulica nie jest dobrym miejscem dla bezdomnej dziewczyny.

Rzeczywiście nie jest. Chyba właśnie wtedy powstał ten lodowiec. Już nigdy, przenigdy nic jej nie dotknie, nie zrani ani nawet nie wzruszy. Ale co przeszłość ma wspólnego z jej obecnością tu i teraz?

Ludzie przychodzą do mnie, gdy czują, że nad ich głowami wisi katastrofa. Może nawet samo przejście przez moje drzwi sprawia, że czują się bezpieczni. Nieraz nie chcą wyjść z powrotem na ulicę. Zwlekają, gadając o wszystkim, co ślina na język przyniesie, ale nie o tym, co ich gnębi.

- Wyobrażam to sobie.

- Ja miałam szczęście. Byłam ładna i miałam co nieco rozumu. Użyłam ich, żeby wyrobić sobie znajomości. Udało mi się. Zostałam aktorką.

Mogło to oznaczać wszystko i nic. Taka wygodna wymówka, worek, do którego kobieta wrzuca wszystko, aby utrzymać w kupie ciało i duszę.

Burknąłem zachęcająco. Garret jest bardzo zachęcającą osobą.

Dean wsadził głowę przez drzwi, żeby sprawdzić, czy już mnie opętało, czy jeszcze nie. Postukałem palcem w kufel:

- Więcej lanczu. - Czułem, że ta konferencja może potrwać.

- Mam kilku wysoko postawionych przyjaciół, Garrett. Lubią mnie, bo umiem słuchać i trzymać buzię na kłódkę.

Odniosłem wrażenie, że jest aktorką, która świadczy ten sam rodzaj usług co uliczna dziwka, ale jest lepiej opłacana, bo podczas pracy uśmiecha się i wzdycha.

Cóż, każdy orze, jak może. Znam kilka całkiem porządnym osób w tym biznesie. Niewiele, ale zawsze coś. W żadnym biznesie nie ma zbyt wielu porządnym ludzi.

Dean przyniósł mi piwo i małe co nieco dla mojego gościa. Podśluchiwał i chyba nabrał już podejrzeń, że popełnił błąd. Ona jednak znów włączyła ogrzewanie, kiedy mu dziękowała, i stary wyszedł rozpromieniony. Pociągnąłem łyk piwa.

- No więc czego będę się musiał domyślać? Lodowce w jej oczach zabłyśły znowu.

- Jeden z moich przyjaciół powierzył mi coś na przechowanie. Taką małą szkatułkę. - Gestami pokazała przedmiot długi i szeroki na stopę, wysoki na osiemnaście cali. - Nie wiem, co w niej jest. I nie chcę wiedzieć. Teraz zniknął. A odkąd mam szkatułkę, już trzy razy próbowano włamać się do mojego domu. - Bam. Koniec. Jak zdmuchnięta świeca. Powiedziała coś, czego nie powinna była powiedzieć. Musiała pomyśleć, zanim zacznie znowu mówić.

Smród, jak od stada szczurów.

- Może masz jakiś pomysł, czego możesz ode mnie chcieć?

- Ktoś mnie obserwuje. Chcę, żeby przestał. Nie mam ochoty zajmować się tymi sprawami ani chwili dłużej - w jej głosie brzmiał jakby cień namiętności, jakieś ciepło, ale wszystko to było przeznaczone dla tamtego faceta.

- Uważasz więc, że to może się znowu zdarzyć? Myślisz, że komuś może chodzić o tę szkatułkę? A może o ciebie?

Myślała tylko o tym, że nie powinna była wspominać o szkatułce. Długo mešla to w szarych komórkach, zanim odpowiedziała:

- Albo jedno, albo drugie.

- I chcesz, żebym to zakończył?

Uraczyła mnie królewskim skinieniem głowy. Królowa śniegu znów wróciła na posterunek.

- Wiesz, jakie to uczucie, kiedy wracasz do domu i stwierdzasz, że ktoś przegrzebał wszystkie twoje rzeczy?

Przed chwilą tylko próbowali wdrzeć się do jej domu.

- To uczucie podobne do tego, kiedy cię gwałcą, tyle że później tak nie boli, kiedy siadasz - odparłem. - Daj mi zaliczkę. Powiedz, gdzie mieszkasz. Zobaczą, co da się zrobić.

Podawała mi małą sakiewkę i wyjaśniła, jak mam znaleźć jej dom. Było to raptem sześć przecznic dalej. Zajrzałem do sakiewki. Nie sądzę, żeby oczy wyszły mi na wierzch, ale kiedy uniosłem wzrok, znowu miała na twarzy ten sam uśmieszek.

Uznała chyba, że może mnie wodzić za nos jak tresowaną małpę.

Wstała.

- Dziękuję ci - rzekła i skierowała się w stronę drzwi frontowych. Poderwałem się z miejsca i, potykając się o własne nogi, usiłowałem jej towarzyszyć. Niestety, Dean już tam czekał, zaczajony,

aby pozbawić mnie tego zaszczytu. Nie walczyłem z nim.

Garret 03 Zimne Miedziane Izy

II

Dean zatrzasnął drzwi. Przez chwilę wpatrywał się w nie bez słowa, po czym obrócił się w moją stronę. Miał idiotyczną minę.

- Zakochałeś się? W twoim wieku? - zapytałem. Wiedział, że nie szukam klientów. Miał ich zniechęcać, zanim jeszcze przekroczą próg. Ten słodki lodowiec nie wydawał mi się szczególnie pożądanym klientem, z tą swoją wyniosłą miną, nogami do samych uszu, bezsensownymi problemami i kupą złota, dziesięć razy większą niż jakakolwiek zaliczka, którą w życiu dostałem.

- Ona mi wygląda na chodzące kłopoty.

- Przykro mi, panie Garrett - jego usprawiedliwienie było wystarczająco mizerne, abym doszedł do wniosku, że mężczyzna nigdy nie jest za stary na te rzeczy.

- Dean, skocz do pana Pigotty i powiedz, że jest zaproszony na kolację. Jeśli będzie się rzucał, obiecaj mu jego ulubione dania. - Pokey Pigotta nigdy w życiu nie odmówił darmowego posiłku. Posłałem Deanowi mój najlepszy uśmiech, co spłynęło po nim jak woda po kacze.

Bardzo trudno o dobrą pomoc.

Wróciłem do biura, żeby przemyśleć sprawę.

Życie jest piękne.

Ostatnio miałem kilka paskudnych spraw, z których nie tylko uszedłem w jednym kawałku, ale nawet coś niecoś zarobiłem. Nie jestem nikomu nic dłużny. Mam z czego żyć. Zawsze uważałem, że jeśli człowiek nie jest głodny, nie powinien pracować. Nikt nie widział pracujących dzikich zwierząt, jeśli nie były akurat głodne, więc dlaczego nie poproźnować trochę, nie obalić kilku piw i zacząć myśleć o zimie, kiedy skończy się jesień?

Kłopot w tym, że wieść gminna głosi, iż niejaki Garrett rozwiązuje trudne sprawy. Dlatego każdy idiota z manią prześladowczą kieruje się do moich drzwi, a jeśli przypadkiem wygląda jak Jill Craight i wie, jak podrajcować człowieka, nie ma kłopotu z przejściem przez pierwszą linię mojej defensywy. Druga linia jest jeszcze słabsza od pierwszej. To ja. A ja jestem urodzonym kobieciarzem.

Bywałem biedny i jeszcze biedniejszy, ale życie nauczyło mnie jednej, żelaznej zasady: pieniądze zawsze się kiedyś kończą. Wczoraj może byłem bogaty, ale jutro forsy już nie będzie.

Co robić, kiedy nie chce się pracować i nie chce się głodować? Zwłaszcza jeśli wtedy, kiedy się rodziłeś, nie miałeś dość oleju w głowie, by wybrać sobie bogatą rodzinę...

Niektórzy zostają duchownymi...

Ja z kolei szukam podwykonawców tej wspaniałej techniki przyszłości.

Kiedy komuś uda się już wyminąć Deana i urobić mnie wrodzonym talentem lub urokiem osobistym, sprawdzam, czy nie udałoby się tej roboty upchnąć komu innemu. Zgarniam dwadzieścia procent za pośrednictwo, co utrzymuje na przyzwoitą odległość widmo głodu, oszczędza mi przetrenowania i w pewnej mierze napełnia groszem kieszenie moich przyjaciół.

Śledzenie i myszkowanie polecam zwykle Pokeyowi Pigotcie. Jest w tym dobry. Rola goryla zwykle przypada Saucerheadowi Tharpe'owi, który jest wielki jak pół mamuta i dwa razy tak uparty. Jeśli trafi się coś parszywego, zawsze mogę krzyknąć na Morleya Dotesa, który jest zawodowym mordercą i łamignatem.

Sprawa Craight brzydko pachniała. Nie, do licha, śmierdziała na całego! Dlaczego wtykała mi ciemnotę, że była w dzieciństwie moją sąsiadką? Dlaczego potem, na pierwszy sygnał mojego niedowierzania, wycofała się z tego czym prędzej? Dlaczego najpierw rajcowała się do białości, a potem ukrywała za lodowcem?

Była na to jedna odpowiedź, która wcale mi się nie podobała.

Dziewczyna może być stuknięta.

Ludzie, którzy wyobrażają sobie, że jestem ich jedynym ratunkiem, często są nieprzewidywalni. No, może jeszcze trochę dziwacznici. Ale kiedy siedzisz w fachu przez jakiś czas, zaczynasz mieć wyczucie do rozmaitych typów.

Jill Craight nie pasowała nigdzie.

Przez sekundę zastanawiałem się, czy to nie dlatego, że jest aktorką, która popracowała w domu i stwierdziła, że musi mnie złapać pełną garścią za wrodzoną ciekawość. Nieraz to się nawet udaje.

Najgorsze są te cwane i sprytne.

Teraz miałem przed sobą dwa wyjścia: rozsiąść się w fotelu w towarzystwie kufła piwa i zapomnieć o Jill Craight do momentu, aż przejmie ją Pokey, albo udać się na konsultację do mego rezydentnego projektu dobroczynnego.

Ta kobieta przypawiła mnie o drgawki. Nie mogłem sobie znaleźć miejsca. A zatem, marsz do Truposza. Jest się tym samozwańczym geniuszem czy nie?

Nazywają go Truposzem. Jest martwy, ale nie jest trupem. Jest Loghyrem i ktoś przyszpilił go nożem jakieś czterysta lat temu. Waży prawie pięćset funtów, ale czterystuletni post nie odchudził go ani o uncję.

Ciało Loghyra umiera równie łatwo jak twoje lub moje, ale jego dusza jest nieco bardziej oporna. W nadziei na uzdrowienie może się pętać wkoło przez tysiąc lat i z minuty na minutę staje się coraz bardziej nieznośna. Za to ciało Loghyra jest naprawdę niewiele mniej trwałe od granitu.

Hobby mojego martwego Loghyra jest spanie. Poświęca mu się z takim zapalem, że nie robi nic innego całymi miesiącami.

Podobno zarabia na utrzymanie poprzez wykorzystywanie swego geniuszu w mojej pracy. Rzeczywiście, czasem to robi, ale, w istocie, do wszelkiej pracy zarobkowej żywi jeszcze głębszą awersję niż ja. Schowałby się w mysią dziurę, uciekając przed najdrobniejszym zajęciem. Nieraz sam się sobie dziwię, po co się w ogóle fatyguję.

Kiedy wszedłem, oczywiście spał. Zasmuciło mnie to, ale bynajmniej nie zdziwiło. Robił to już od trzech miesięcy, zajmując największy pokój w całym domu.

- Hej, Kupo Gnatów! Zbudź się! Muszę skorzystać z twojej świetlanej inteligencji! - Pochlebstwo jest najlepszym sposobem, żeby coś od niego wydębić. Niestety, zbudzić go to tylko połowa sukcesu, druga polega na ściągnięciu na siebie jego uwagi.

Dzisiaj nie miał na to ochoty.

- Dobra - stwierdziłem pod adresem góry serowatego cielska. - Kocham cię mimo wszystko.

Pokój wyglądał jak po tajfunie. Dean nienawidzi sprzątanania w pokoju Truposza. Nie przypilnowałem go i zaniedbał się okropnie.

Kiedy nie pilnuję, do pokoju dostają się myszy i robaki. Lubią sobie przekąsić cielsko Truposza. Mógłby sobie z nimi poradzić, gdyby nie spał, ale teraz akurat było wręcz przeciwnie.

Jest wystarczająco paskudny taki, jaki jest, nie nadjedzony.

Zakrzętałem się, zamiotłem i odkurzyłem, nucąc pod nosem wiązanek sprośnych hymnów, jakich nauczyłem się w marines. Ale mój cholerny, uparty polec słoniny nawet się nie obudził.

Jeśli on nie chce, to ja też nie będę. Spakowałem manatki. Dopełniłem kufel piwem i udałem się na ganek, by poobserwować niekończącą się, zmienną panoramę TunFaire.

Na ulicy Macunado panował ruch. Ludzie, karły i elfy pędzili ku swoim mrocznym celom, na nielegalne spotkania. Przeszła para trolli, dzieciaków, tak zapatrzonych w swoje pryszcze i brodawki, że nie mieli oczu dla nikogo innego. Wilkołaki i koboldy pędziły do swoich obowiązków. Znowu przebiegła gromadka zaaferowanych i zapracowanych karłów. Posłanniczka wrózek, znacznie piękniejsza od mojego niedawnego gościa, klęła jak bosman, walcząc z upartym przeciwnym wiatrem. Gang młodych chochlików, chuko, z dala od swego rodzimego torfu, grał w gwizdki pod cmentarzem, w nadziei że lokalni Wędrowcy nie wyjdą z grobów. Jakiś olbrzym, widocznie wieśniak z głębokiej prowincji, gapił się na wszystko z rozdziawioną gębą. Miał jednak fantastyczne widzenie boczne. Omal nie utracił głowy chochlikowi, który próbował mu opróżnić kieszeń.

Widziałem mieszkańców różnych maści. TunFaire to kosmopolityczne miasto, nieraz tolerancyjne, ale zawsze warte zachodu. Niektórzy mieszkańcy stanowią dla mnie prawdziwą zagadkę - nie potrafię sobie wyobrazić, jak zdołali ich począć rodzice, oczywiście, z czysto technicznego punktu widzenia. Jeśli ktoś jednak ma ścisły umysł i chciałby uzyskać dane z bezpośredniej obserwacji, niech odwiedzi Dzielnicę. Tam pokażą mu wszystko ze szczegółami i w kolorze, jeśli tylko rzuci forszą.

Moja ulica, jak i całe TunFaire, stanowiła jeden wielki karnawał, ale zza balowych masek wyzierała jedynie ciemność.

Pomiędzy TunFaire i ja istnieje szczególna więź miłości-nienawiści, ponieważ każde z nas jest zbyt uparte, by się zmienić.

Garret 03 Zimne Miedziane lzy

III

Kiedy tworzyli Pokeya Pigotte, musieli używać wyłącznie niewykorzystanych dotąd kantów i zbyt długich części ciała, a potem jeszcze zapomnieli go pomalować na jakiś rozsądny kolor. Był tak blady, że po zmroku często brano go za ożywieńca. Nie miał na sobie ani deka mięsa, a jego pajęczne członki znajdowały się dosłownie wszędzie. Poza tym jednak był bystry, twardy i jednym z najlepszych w swoim fachu. I miał apetyt - mniej więcej jak rekin wielorybi. Gdziekolwiek go zabieraliśmy, zjadał wszystko oprócz stolarki. Może dlatego, że były to jego jedyne okazje do porządných posiłków.

Dean jest w tym dobry. Nieraz twierdzą, że tylko dlatego go trzymam. Nieraz sam w to wierzę.

Przez jakiś czas nie mieliśmy żadnych gości z zewnątrz, toteż tym razem Dean przeszedł sam siebie. Przy tym Pokey potrafi rozpląwać się w wazelinie, jeśli chce, a Dean jest bardzo wrażliwy na pochwały - wszystkich, tylko nie moje.

Pokey odchylił się i poklepał po żołądku, beknął z całego serca, po czym spojrzał na mnie:

- No to lecimy, Garrett.

Uniosłem brew. To jeden z moich najlepszych trików. Obecnie pracuję nad ruszaniem uchem. Dziewczyny to pokochają.

- Wziąłeś klienta, którego chcesz mi wepchnąć - zaczął Pokey prosto z mostu. - Ładna kobieta, inaczej nie przeszłaby przez Deana, a nawet jeśli, to ty nie chciałbyś z nią gadać.

Czy on podsłuchiwał pod drzwiami?

- Patrz, Dean, to prawdziwy geniusz śledczy, nie?

- Jeśli pan tak mówi, sir.

- Wcale tak nie mówię. Pewnie kręcił się w okolicy, żeby wyżebrać okruchy z naszych odpadków - opowiedziałem Pokeyowi całą historię, ale pominąłem wysokość zaliczki. Akurat tego nie musiał wiedzieć.

- Rzeczywiście, wygląda, że w coś gra - zgodził się Pokey. - Powiedziałeś: Jill Craight?

- Takie mi podała nazwisko. Znasz?

- Zdaje mi się, że powinienem. Coś mi dzwoni, ale nie wiem co. - Małym palcem pogrzebał sobie w uchu. - To chyba nic ważnego.

Dean wyciągnął placek brzoskwiniowy. Nigdy go nie robił, jeśli nie było gości. Placek był gorący. Dean utopił go w bitej śmietanie i podał herbatę. Pokey wziął się do roboty, jakby zbierał zapasy na następną erę lodowcową.

Kiedy było po wszystkim, rozsiedliśmy się wygodnie i Pokey wyciągnął jeden z tych barbarzyńskich, czarnych, śmierdzących patyków, które tak lubił. Zapalił i zaczął opowiadać nowinki. Nie wychodziłem z domu przez kilka dni, a Dean nie dbał o to, czy jestem dobrze poinformowany. Miał nadzieję, że milczenie w końcu wypędzi mnie z nory. Nigdy o tym nie mówi, ale martwi się, gdy nie pracuję.

- Wielka nowina: Glory Mooncalled znowu to zrobił.

- Co znowu? - Glory Mooncalled i wojna w Kantardzie należą w moim domu do szczególnych obszarów zainteresowania. Hobby Truposza, w krótkich przerwach między jednym snem a drugim, jest przewidywanie nieprzewidywalnego - najemnika Glory'ego Mooncalleda.

- Zapędził w zasadzkę Władcę Ognia Sedge'a w Piaskach Rapistanu. Słyszałeś kiedy o nich?

- Nie. - I nic dziwnego. Glory Mooncalled działał na tak dalekich krańcach Kantardu, jak wcześniej żaden Karentyńczyk. - Wywłókł Sedge'a? - Bezpieczna zgadywanka. Na razie jego zasadzki nigdy jeszcze nie zawiodły.

- Całkowicie. Ilu jeszcze zostało na jego liście?

- Niewielu. Może trzech. - Mooncalled rozpoczął wojaczkę po stronie Venagetich. Rada wojenna Venageti zdołała go zniechęcić tak bardzo, że przeszedł na stronę Karenty i przysiągł pozbawić głowy wszystkich jej członków. Od tamtej pory robi to systematycznie.

Dla prostaczków stał się bohaterem narodowym, dla klasy panującej wielkim gwoździem w bucie. Łatwe zwycięstwa, jakie odnosił, udowadniały, że są dokładnie tak niekompetentni, za jakich ich zawsze uważaliśmy.

- Jak myślisz - odezwał się Pokey - co to będzie, kiedy już zrobi swoje, a my nie będziemy mieć wojny po raz pierwszy od czasu kiedy przyszliśmy na świat?

Truposz znał odpowiedź, ale chyba nie miał zamiaru sprzeczać się z Pokeyem. Zmieniłem temat.

- Opowiedz jakiś najnowszy skandalik świątynny. - Koleś próbował mi coś opowiedzieć, ale jakoś nie przyłożył się specjalnie. Dla niego skandale nie były takim cyrkiem jak dla mnie. Jego religijna dusza była wielce zakłopotana wybrykami, jakich dopuszczali się nasi samozwańczy duchowi pasterze.

- Nic nowego. Każdy pokazuje na kolegę. Mnóstwo „Wrobiono mnie”. Na poziomie detalicznym sprawa zamyka się z reguły na wylatywaniu z tawern w pijanym widzie.

Na razie. Sprawy potoczą się znacznie smutniej, jeśli Prester Legat Strażnik Agire nie pojawi się wraz ze swymi Relikwiami Terrella.

Agire był jednym z dziesięciu duchownych stojących na czele wiecznie skłóconej rodziny sekt, które zbiorowo określamy mianem Ortodoksów. Jego tytuł - Prester - wskazywał pozycję w hierarchii, mniej więcej na poziomie księcia. Legat był stanowiskiem imperialnym, w teorii pełnomocnictwem, w rzeczywistości bezradnym. Dwór imperialny wciąż trwa i figuruje w Costain, ale od dwustu lat nie ma już prawdziwej władzy.

Przydaje się jednak jako użyteczna fikcja polityczna. Jedynym tytułem, jaki się liczy, jest „Strażnik”. Oznacza, że jest jedynym człowiekiem na świecie, któremu powierzono opiekę nad Relikwiami Terrella.

Agire i Relikwie zniknęli.

Nie wiem, czym są Relikwie. Może nie wie tego już nikt oprócz Strażnika. Tylko on je czasem widuje. W każdym razie są święte i cenne nie tylko dla frakcji Ortodoksów, lecz również dla Kościoła, Eremitów, Skotyów, Kanonoków, Cyników, Ascetów, Renuncjatów i wielu odgałęzień Hamitów, dla których Terrell jest jedynie jednym z pomniejszych proroków lub nawet emisariuszem arcywroga. W ostatecznym podsumowaniu są one ważne dla wszystkich tysiąca i jeden kultów w TunFaire, wraz z ich wyznawcami.

Agire i Relikwie zniknęli. Wszyscy podejrzewali najgorsze. Ale coś było nie tak. Nikt nie żądał konsekwencji. Nikt nie grzmiał, że je skradziono. I to wszystkich zbijało z tropu. Ten, kto ma Relikwie, może śmiało uważać się za wybrańca bogów.

W międzyczasie wybuchła szeptana wojna domysłów. Duchowni rozmaitych wyznań zaczęli oczerniać swoich konfratrów-rywali, wyciągając na światło dzienne ich niegodziwości, grzechy i rozpustę. Zaczęło się od incydentów granicznych. Drobnu księżulkowie oskarżali się wzajemnie o pijaństwo, sprzedawanie faworów, niepokój dłoni w czasie spowiedzi.

Zabawa rozprzestrzeniła się niczym płomień w stodole. Teraz dzień wydawał się niekompletny,

jeśli nie pojawiła się nowina o tym czy tamtym presterze lub biskupie, który spłodził dziecko ze swoją siostrą, otruł swego poprzednika lub rozpuścił fortunę na kupno ośmiopokojowej willi na wsi dla swego kochanka.

Większość tych historii była prawdziwa. Autentycznego brudu było tyle, że zmyślanie nie okazało się konieczne - co usatysfakcjonowało moją duszę cynika aż po korzenie. Reputacje rozlatywały się jak stogi siana trafione trąbą powietrzną i mogę powiedzieć, że doprawdy trudno o miłszą grupkę typków, której mogło się to przydarzyć.

Pokeya wszystko to serdecznie nudziło. Miał jedną słabość - wąskie horyzonty. Praca była dla niego całym życiem. Godzinami mógł rozprawiać o technikach śledzenia lub opowiadać o różnych przypadkach. Poza tym reagował wyłącznie na jedzenie.

Ciekaw byłem, co robi z pieniędzmi. Mieszkał w ponurym, jednopokojowym baraku, choć pracował przez cały czas, często nad kilkoma projektami naraz. Kiedy klienci nie mogli go znaleźć, sam ich odszukiwał. Nieraz śledził różne rzeczy - zabójcze rzeczy - tylko dla samej przyjemności śledzenia.

W każdym razie teraz wyraźnie nie miał ochoty na plotki. Brzuch miał pełny. Połaskotałem jego nozdrza ciekawym tropem i marzył już tylko, żeby nim ruszyć na łowy.

Pomogłem mu nadać ego Deana, po czym odprowadziłem do drzwi. Usiadłem na ganku i czekałem, aż zniknie mi z oczu.

Garret 03 Zimne Miedziane lzy

IV

Zachodzące słońce bawiło się w podpalacza pośród wysokich, odległych obłoków. Wiał lekki wietrzyk. Temperatura była bliska doskonałości. Pora w sam raz na to, by usadowić się wygodnie i pozwolić sobie na zadowolenie z życia. Nieczęsto tak się czuję ostatnimi czasy.

Ryknałem, że chcę piwo, po czym rozsiadłem się, obserwując, jak Natura zmienia dekorację na sklepieniu świata. Nie zwracałem uwagi na ulicę. Mały człowieczek pojawił się nagle na moim ganku, jakby był u siebie, a ja zauważyłem go dopiero, kiedy podał mi kufel piwa, który sam zresztą przyniósł.

Coś knuje? No bo co innego? Ale piwo okazało się najlepszym lagerem Weidera. Niezbyt często je dostaję.

Facet był malutki i chudziutki, cały szary i pomarszczony. Zęby miał tak żółte, że na milę trąciły solidną dozą niehumanoidalnej krwi. Nie znałem go i to było normalne. Jest mnóstwo ludzi, których nie znam, i zacząłem się zastanawiać, czy to przypadkiem niejeden z tych, których wolałbym dalej nie znać.

- Dzięki. Dobre piwo.

- Pan Weider powiedział, że je docenisz.

Zrobiłem dużo dla Weidera, wykorzeniając z jego domu bandę złodziei i nie taplając zbyt mocno w błocie jego złodziejskich dzieci. Aby zapobiec powtórce, staruszek trzymał mnie na zaliczce. Kiedy nie mam nic innego do roboty, idę na spacer do browaru, kręcę się tu i tam, denerwuję ludzi. Biorąc pod uwagę, co traci, jestem całkiem tanim ubezpieczeniem. Zaliczka nie jest taka duża.

- Przysłał cię tu?

Gość wziął ode mnie kubetek, chłepnął jak ekspert.

- Wiele aspektów świata świeckiego jest mi nieznane, Garrett. Za to pan Weider spotyka się z nim codziennie twarzą w twarz. Powiedział mi, że jesteś człowiekiem, którego potrzebuję. O ile, jak się wyraził, zdołam cię zmusić do ruszenia ciężkiej dupy.

To zabrzmiało dokładnie jak Weider.

- Więcej wie na ten temat niż ja. - I to jak! Zaczynał od niczego, a teraz ma największy browar w mieście i macza paluchy w dwudziestu innych biznesach...

- Tak też zrozumiałem.

Przez chwilę podawaliśmy sobie kubetek.

- Przyjrzałem ci się - rzekł w końcu. - Wydajesz się idealny do moich potrzeb. Ale to, co czyni cię odpowiednim, jednocześnie stanowi przeszkodę, aby cię wynająć. Nie potrafię do ciebie przemówić.

To był przeuroczy wieczór. Byłem zbyt leniwy, żeby się ruszyć. W głowie miałem tylko kilka durnych myśli, które były dziób w dziób podobne do innych durnych myśli, jakie zawsze zaprzatają mi głowę.

- Przyniosłeś piwo, przyjacielu. Gadaj.

- Spodziewałem się tej grzeczności. Problem polega na tym, że kiedy ci powiem, wszystko się wyda.

- Nie plotkuję w pracy. To źle wpływa na interesy.

- Pan Weider rozwodził się nad twoją dyskrecją.

- Ma powody.

Znowu zaczęliśmy przerzucać się piwem. Słońce podążało swoją ścieżką, a facecik dyskutował sam ze sobą, czy naprawdę ma kłopoty, czy nie.

Chyba jednak miał, i to duże. Zazwyczaj zaczynają prosić o pomoc dopiero za trzecim razem, a i wtedy drocą się jak dziewczica przed pierwszą nocą.

- Nazywam się Magnus Peridont.

Nie zemdlałem. Obawiam się, że nawet nie jęknąłem. Był wyraźnie rozczarowany.

- Magnus? - zapytałem. Nikt w normalnym świecie nie nazywa się Magnus. To jakaś ksywa, którą doczepili do faceta martwego od tak dawna, że wszyscy zapomnieli, jaki był głupi.

- Nigdy o mnie nie słyszałeś?

Widocznie nosił nazwisko, które powinno się znać. Może je widziałem nagryzmołone na ścianie jakiegoś wychodka albo coś w tym rodzaju.

- Nic mi to nie mówi.

- Mój ojciec twierdził, że jestem skazany na wielkość. To musiał być niezły zawód. Znany jestem również jako Magister Peridont oraz Peridontu, Altodeoria Princeps.

- Teraz słyszę jakiś odległy szept - Magister to najrzadziej spotykana ze wszystkich bajecznych bestii. Czarownik zaaprobowany przez Kościół. Ten drugi tytuł to jakiś relikwiarz z przeszłości, coś w rodzaju Księcia Boskiego Miasta. Na pewno ma w niebie swoją kwaterę z nazwiskiem. Bossowie Kościoła zrobili z niego świętego, zanim jeszcze kipnął.

Tysiąc lat temu tytuł ten na ziemi uczyniłby z niego świętego z krwi i kości, włosienicy i słupa pod siedzeniem. Dzisiaj oznaczało to tyle, że wszyscy bali się go jak ognia i próbowali przekupić gadżetami.

- Czy to ma coś wspólnego z Wielkim Inkwizytorem i Malevecheą?

- Tak też mnie nazywali.

- Zaczynam kojarzyć. - Ten akurat Peridont to był kawał przerażającego sukinsyna. Na szczęście żyjemy w świecie, gdzie Kościół wciąż jest o krok od przejścia do zamierzchłej historii. Obejmuje może z dziesięć procent ludzkiej i zero procent nieludzkiej populacji Karenty. Twierdzi, że jedynie ludzie mają duszę, a inne rasy są tylko cwanyimi zwierzętami, posiadającymi zdolność imitowania ludzkiej mowy i zachowań. To sprawia, że Kościół cieszy się ogromną popularnością wśród tychże cwanych zwierząt.

- Jesteś przerażony - stwierdził.

- Nie całkiem. Powiedzmy, że mam pewne problemy filozoficzne z niektórymi dogmatami Kościoła. - Rasa elfów jest starsza od ludzkiej o dobre kilka tysiącleci. - Nie wiedziałem, że pan Weider jest wyznawcą.

- Niezupełnie. Powiedzmy, że zbłądził. Urodził się w tej wierze. Rozmawiał ze mną, czyniąc to dla swojej żony. To ona jest jedną z naszych sióstr.

Pamiętałem ją: tłusta baba z wąsami, zawsze w czerni i z gębą tak wykrzywioną, jakby przez cały czas jadła cytrynę.

- Rozumiem.

Teraz, kiedy wiedziałem, kim jest, znajdowaliśmy się na równych pozycjach. Teraz trzeba go było tylko sprowadzić do tematu.

- Nie jesteś w mundurze.

- Nie reprezentuje oficjalnie nikogo.

- Krecia robota? A może to osobista sprawa?

- Pół na pół. Proszę o pozwolenie... Pozwolenie? On? Czekalem cierpliwie.

- Moja opinia jest w znacznej mierze przesadzona, Garrett. Pozwalam na to ze wzgledow psychologicznych.

Mruknalem cos pod nosem i czekalem. Nie wydawal sie na tyle stary, by dokonac calego tego zla, jakie mu przypisywano.

- Zdajesz sobie zapewne sprawe z utrapienia, jakie przezywa nasz ortodoksyjny odlam? - zagadnal.

- Nie ubawilem sie tak od dnia, kiedy moja matka zabrala mnie do cyrku.

- Doskonale to ujalés, Garrett. Nasze wewnetrzne problemy staly sie rozrywka dla plebsu. Nie ma heretykow bardziej zaslugujacych na sprawiedliwosc Hano niz Ortodoksowie, ale, niestety, nikt nie widzi w tym kary. To napawa mnie przerazeniem.

- He?

- Plotki zaczely juz zyc wlasnym zyciem, rozglaszajac rózne nowiny po to tylko, by utrzymac wrzenie. Obawiam sie, ze pewnego dnia znudza sie Ortodoksami i zaczną szukać nowych ofiar...

Aha.

- Obawiasz sie, ze Kościół mógłby być następny w kolejce? - To akurat nie zraniłoby mi serca.

- Możliwe. Pomimo mej czujności wielu zesło juz na droge grzechu. Ale nie, nie chodzi mi akurat o Kościół. Raczej o samą Wiarę. Każda nowa plotka szarpie Ją jak śmiercionośne ostrze. Juz teraz niektórzy bracia, dotąd pozbawieni wątpliwości, zaczynają zastanawiac sie, czy cala religia nie jest jedynie zgrabną skorupą wymyślona przez stowarzyszenia sprytnych ludzi, aby wyssać ubogich i naiwnych.

Spojrzał mi w oczy i uśmiechnął się. Podał mi piwo. Wyglądało to jak podsumowanie i on doskonale o tym wiedział. Dobrze nade mną popracował.

- Zamieniam się w słuch. - Teraz już wiedziałem, co czuje Pokey, biorąc robotę wyłącznie z czystej ciekawości.

Znów się uśmiechnął.

- Jestem absolutnie przekonany, że to nie tylko skandal, który się rozniósł. Ktoś to zaaranżował. Jakaś mroczna siła chce zniszczyć Wiarę. Uważam, że należy podnieść ten głąz i ukazać światu zaczajonego pod nim społecznego skorpiona.

- Interesujące i interesujące. Zaskakuje mnie, jak bardzo po świecku to określiłś.

Kolejny uśmiech. Wielki Inkwizytor okazał się wesołkiem.

- Diabelskie pochodzenie tej prowokacji nie ulega wątpliwości. Mnie jednak interesują głównie osoby, cele, zasoby oraz cala reszta cywilnych pomocników Przeciwnika. Wszystko, co można zdefiniować świeckimi terminami, takimi jak złodziejstwo kieszonkowe.

Złodziejstwo, z kolei, można było doskonale zdefiniować w sekciarskim bełkocie.

Jak na wściekłego fanatyka, ten wesołek był wyjątkowo rozsądny. Wydaje mi się, że zdolność działania jest pierwszym odruchem, jaki wyrabiają w sobie duchowni.

- A więc chcesz mnie wynająć, żebym wykorzenił kawalarzy, którzy plują w kaszę Ortodoksom?

- Niezupełnie, choć mam nadzieję, że ich zdemaskowanie okaże się efektem ubocznym.

- Chyba nasypię ci soli na ogon, bo nie nadażam...

- Subtelność i wiarygodność, Garrett. Jeśli wynajmę cię do odkrycia konspiratorów i ujawnienia ich tożsamości, nawet ja nie będę w stanie stwierdzić, że nie sfabrykowałeś dowodów. Z drugiej strony, jeśli wynajmę znanego sceptyka do odnalezienia Strażnika Agire i Relikwii Terrella, a on w trakcie polowania przypadkiem wyciągnie spod kamieni kilka czarnych charakterów...

- Podziwiam twój tok myślenia. - Pociągnąłem potężny łyk jego piwa.

- Weźmiesz tę sprawę?

- Nie. Nie mam zamiaru pakować się w gówno dla samej forsy. Ale umiesz podrażnić moją ciekawość i wiesz, jak wypichcić porządny spis.

- Jestem przygotowany, żeby dobrze zapłacić. Z potężną premią za odnalezienie Relikwii.

- Ja myślę!

Wielka Schizma pomiędzy Ortodoksami a ich głównym odłamek miała miejsce tysiąc lat temu. Rada Ekumeniczna w Pymie próbowała całej sprawie ukreślić łeb, ale małżeństwo nie potrwało długo. Ortodoksowie położyli łapę na Relikwiach w trakcie negocjacji, a Kościół od lat usiłuje je odzyskać.

- Nie będę cię naciskał, Garrett. Jesteś najlepszym człowiekiem do tej roboty, ale dlatego właśnie było małe prawdopodobieństwo, że ją weźmiesz. Mam inne wyjścia. Dziękuję za poświęcony mi czas. Życzę miłego wieczoru. Gdybyś zmienił zdanie, szukaj mnie w Chattaree. - Odszedł w mrok wraz ze swoim antańkiem.

Ten kurdupel wywarł na mnie duże wrażenie. Potrafił być dżentelmenem, jeśli chciał. Nieczęsto się to spotyka u ludzi przywykłych do rozkazywania. A w swoich kręgach ten facet był jednym z najbardziej przerażających ludzi w TunFaire. Prawdziwy święty terror.

Garret 03 Zimne Miedziane lzy

V

Dean wyszedł na ganek.

- Skończyłem, panie Garrett. Jeśli nie ma nic więcej do roboty, to chyba pójdę do domu.

Zawsze tak mówi, kiedy czegoś chce. W tej chwili akurat ma nadzieję, że wynajdę mu coś do roboty, bo mieszka z plutonem swoich bratanic, starych panien brzydkich jak noc, i to doprowadza go do szału.

Nadmiar kobiet jest jedną ze spuścizn wojny w Kantardzie. Przez dziesiątki lat męska młodzież Karenty odchodziła na południe, by walczyć o kopalnie srebra, i przez dziesiątki lat połowa z nich nie wracała. Była to sprzyjająca sytuacja dla wolnych i niezwiązanych, ale prawdziwe piekło dla rodziców mających córki na utrzymaniu.

- Siedzę sobie tutaj i myślę, że to miły wieczór na spacer.

- Rzeczywiście, panie Garrett - Kiedy Truposz śpi, ktoś zawsze musi być w domu, żeby zaryglować drzwi i czekać na tego, który wyszedł. Kiedy nie śpi, zabezpieczenie domu nie stwarza żadnych problemów.

- Myślisz, że jest za wcześnie, żeby się spotkać z Tinnie? - Pomiędzy Tinnie Tate i ja istnieje coś, co można by nazwać burzliwą przyjaźnią. Kiedy ustalali dane techniczne dla rudzielców, chyba właśnie ją wzięli sobie na wzór. Niestety, musieli nieco obniżyć parametry, inaczej nikt by w nie nie uwierzył.

Można powiedzieć, że ma zmienne nastroje. W jednym tygodniu nie opędzę się od niej kijem, w drugim zajmuje czołowe miejsca na wszystkich jej czarnych listach. Do tej pory nie udało mi się znaleźć prawidłowości w tym systemie.

Aktualnie byłem na liście. Już spadłem z pierwszej pozycji i spadałem nadal, ale wciąż w pierwszej dziesiątce.

- Za wcześnie.

Też mi się tak wydawało.

Dean ma miękkie serce dla Tinnie. Lubi ją. Jest piękna, sprytna, szybka i w lepszych stosunkach ze światem, niż ja będę kiedykolwiek. Dean uważa, że byłaby dla mnie dobra (nie zaryzykowałbym jego opinii nawet w przypadku rzutu monetą). Ale ma na utrzymaniu te wszystkie bratanice w desperackiej potrzebie małżeństwa, a przynajmniej pół tuzina z nich spadło już dość nisko, żeby się ślinić na widok takiego rycerza jak ja, wraz z jego skrzypiącą zbroją i resztą atrybutów.

- Mógłbym zobaczyć, co słyhać u dziewcząt.

Rozjaśnił się, sprawdził, czy przypadkiem nie żartuje, i był już gotów nabrać się na mój blef, kiedy zorientował się, że kiedy ja będę tam, on będzie tu, a to uniemożliwi mu przedstawienie cnót swoich panienek w odpowiednim świetle. Wyobrażał sobie, że wejdę tam jak słoń do składu porcelany, a one nie będą miały dość rozsądku, żeby się o siebie zatroszczyć.

- Tego bym nie radził, panie Garrett. Ostatnio są dość kłopotliwe.

Wszystko jest kwestią perspektywy. Teraz nie sprawiają mi żadnego kłopotu. Przedtem, kiedy go zatrudniłem - i owszem. Gotowały mi w dzień i w nocy, żeby mnie podtuczyć na rzeź.

- Może ja jednak pójdę sobie, panie Garrett. Może powinien pan poczekać jeszcze z dzień lub dwa i przeprosić pannę Tate.

- Dean, nie mam filozoficznych problemów z przeprosinami, ale zdarza się, że chciałbym wiedzieć, za co przepraszam.

Zachichotał, przybrał minę starego wojaka-światowca, który dzieli się z młodzieżą doświadczeniem życiowym.

- Niech pan przeprosi za to, że jest mężczyzną. To zawsze skutkuje.

Chyba miał rację. Tyle tylko, że ja czasami lubię być sarkastyczny.

- No to przejdę się do Morleya i strzelę sobie kilka selerowych drinków.

Dean zmarszczył się jak stara śliwka. Morley Dotes ma u niego tak niską lokatę, że musiałby zadzierać głowę, żeby spojrzeć na brzuch węża.

Cóż, wszyscy musimy mieć rozrabiaków w swoim gronie, choćby tylko po to, żeby powiedzieć sobie „Ale ze mnie miły facet”.

Właściwie lubię Morleya. Mimo wszystko. Trzeba się trochę do niego przyzwyczaić, ale na swój sposób jest w porządku. Muszę tylko pamiętać, że to w części czarny elf i ma nieco inny system wartości. Nieraz zdecydowanie inny system wartości. Ale zawsze bardzo elastyczny system wartości. Dla Morleya wszystko jest względne i zależy od punktu widzenia.

- Niedługo wrócę - obiecałem. - Muszę tylko stracić trochę nagromadzonej energii.

Dean wyszczerzył zęby. Wyobraził sobie, że leniuchowanie już mnie znudziło i zapowiada się całkiem niezłą rozrywką. Miałem nadzieję, że się myli.

Garret 03 Zimne Miedziane lzy

VI

Do domu Morleya nie jest zbyt daleko, ale droga przecina granice do innego świata. Okolica ta nie otrzymała oddzielnej nazwy, jak inne miejsca, ale wyróżnia się w sposób widoczny. Można by go nazwać Strefą Bezpieczeństwa. Przedstawiciele różnych gatunków mieszają się tu bez szczególnych tarć - choć akurat ludzie muszą się dobrze napracować, żeby ich zaakceptowano.

Nie było całkiem ciemno. Chmury na zachodzie jeszcze się nie wypaliły i nie nadszedł czas, kiedy drapieżniki wychodzą na ulice. Byłem zatem ostrożny, ale nie bardziej niż zwykle.

Kiedy jednak na mojej drodze pojawił się ten dzieciak, zrozumiałem, że mam kłopoty. Duże kłopoty. W sposobie, w jaki się poruszał, było coś takiego, że...

Nie myślałem. Zareagowałem.

Kopnąłem wysoko i mocno. Tego się nie spodziewał. Trafiłem go palcami nogi w podbródek i poczułem, jak trzaska kość. Zakwiczał i odskoczył w tył, wymachując ramionami, żeby utrzymać równowagę. Słupek uliczny zaszedł go od tyłu i podciął biedakowi nogi. Chłopak okręcił się i upadł, gubiąc po drodze nóż.

Prześliznąłem się w stronę najbliższego budynku.

Drugi dzieciak wyskoczył na mnie zza tego czegoś, za czym się do tej pory chował. Ten był jakiś dziwny, niewysoki, odziany w mundur polowy z demobilu. Albinos. Uzbrojony w paskudny, wielki nóż. Zatrzymał się osiem stóp ode mnie, czekając na posiłki.

Było ich jeszcze co najmniej trzech, dwóch po drugiej stronie ulicy, jeden stał na czujkach u wylotu.

Zdjąłem pas i strzeliłem przed oczami albinosa. Nie przstraszyłem go, ale zyskałem czas na jeden rzut oka w stronę budynku.

Wszystkie otaczające nas kamienice wyglądały tak, jakby w ciągu tygodnia miały się rozlecieć do fundamentów. Nie miałem kłopotu ze znalezieniem luźnej, potłuczonej cegły. Wyrwałem ją i puściłem do akcji. Dobrze zgadłem - dostał prosto w czoło. Zanim się wyprostował na miękkich kolanach, skoczyłem na niego. Zabrałem mu nóż, złapałem za kudły i rzuciłem w tych, którzy właśnie nadbiegali. Odskoczyli, a białas rozpostarł się na bruku.

Zawyłem jak banshee. To na chwilę zatrzymało napastników. Rzuciłem się w prawo, potem w lewo, zawróciłem i zamarkowałem zdobycznym nożem cios w prawe ramię jednego z nich, a potem walnąłem go pasem po ślepiach. Uratował się, odskakując w tył.

Upadł na albinosa. Zawyłem jeszcze raz i dałem susa. Nigdy nie zaszkodzi, jeśli pomyślą, że zwariowałem. Wylądowałem obu kolanami na piersi leżącego, pośród donośnego trzasku łamanych żeber. Kwiknął. Odbiłem się i skoczyłem na drugiego.

Zatrzymał się, kiedy zobaczył, że jestem gotowy do walki. Zrobiłem mały kroczek w bok i przyłożyłem leżącemu albinosowi w skroń. To cały ja, Garrett, Rycerz Bez Skazy. Przynajmniej chyba wyjdę z tego żywy. Rozejrzałem się. Złamana Szczeka wyeliminował się z zabawy, pozostawiając nóż na pamiątkę. Ten na czujce udawał, że go nie ma.

- No, kurdupłu, zostaliśmy sam na sam. - To nie był dzieciak. Żaden z nich nie był dzieckiem. Powinienem być zauważyć to wcześniej. Takie duże dzieci nie bawią się na ulicy TunFaire. Zazwyczaj już walczą na froncie. Zaciągają coraz to młodszych...

Ci tutaj byli mieszańcami czarnych elfów, pół elfy, pół ludzie, wyrzutki obu plemion. Mieszanka jest co najmniej wybuchowa - kochliwa, aspołeczna, nieprzewidywalna, nieraz stuknięta. Paskudztwo.

Jak Morley, któremu jednak udało się przeżyć na tyle długo, żeby udawać.

Mój niski kumpel nie był wcale onieśmielony tym, że walczy przeciwko komuś większemu od siebie. To jest kolejny problem mieszańców czarnuchów - nie mają dość rozumu, żeby wiedzieć, kiedy się bać.

Zawróciłem po moją cegłę.

Przesunął się w bok, trzymając nóż tak, jakby to był obosieczny miecz. Pomachałem mu pasem przed nosem, zastanawiając się, co zrobi, kiedy rzucę cegłą. Wreszcie podjąłem decyzję, a on właśnie wtedy skoczył na mnie.

Okrzyłem go i kopnąłem w głowę najpierw jednego, potem drugiego leżącego, po to tylko, aby zostali w tej pozycji.

To trochę wkurzyło kurdupła. Ruszył na mnie. Rzuciłem cegłą. Odsunął się. Ja jednak nie celowałem ani w głowę, ani w tors. Celowałem w stopę, z której, jak sądziłem, powinien się odbić. Ta część jego ciała najdłużej pozostawała w jednym miejscu.

Trafiłem. On zawył, a ja rzuciłem się na niego z pięściami, pasem i nożem.

Zatrzymał mnie.

Do licha, możemy tak tańcować całą noc. Zrobiłem, co musiałem. Jak długo może mnie gonić, mając zranioną nogę?

Spojrzałem na leżących na ziemi i odezwał się we mnie głos mojego sierżanta z marines: „Nie zostawia się wroga żywego”.

Bez wątpienia, gdybym poderznął im gardła, zrobiłbym coś niecoś dla dobra cywilizacji, ale to nie mój styl.

Pozbierałem porzucone noże.

Kurdupel zorientował się, że zwijam manatki.

- Następnym razem będziesz martwy.

- Lepiej niech nie będzie następnego razu, chuko. Ja nie daję drugiej szansy.

Roześmiał się.

Jeden z nas zwariował.

Odszedłem stamtąd z plutonem ciarek między łopatkami. O co tu chodziło? Nie chcieli mnie obrabować, tylko pobić. Albo nawet zabić.

Dlaczego? Wtedy jeszcze nie wiedziałem.

Są ludzie, którzy niechętnie mnie oglądają, ale chyba żaden z nich nie posunąłby się tak daleko. Nie tak zniecka. Tym razem był to grom z jasnego nieba.

Garret 03 Zimne Miedziane lzy

VII

Efekt jest niezawodny. Kiedy wchodzę do knajpy Morleya, wszystkie rozmowy momentalnie cichną i wszyscy gapią się na mnie. A przecież powinni się już przyzwyczaić. Ja jednak swoją reputację zawdzięczam domniemaniu, że stoję po stronie tych sprawiedliwych, podczas gdy tutejsi goście... no cóż, wszystko, tylko nie to.

Ujrzałem Saucerheada Tharpe'a przy jego zwykłym stoliku, więc skierowałem się w tamtą stronę. Był sam i miał obok wolne krzesło.

Zanim poziom hałasu ponownie wzrósł, usłyszałem czyjś głos:

- Niech mnie szlag! Garrett!

I co wy na to? Morley we własnej osobie krzątał się przy barze, pomagając serwować sok z marchwi, selera i rzepy. Tego jeszcze nie widziałem. Ciekaw byłem, czy dolewa wody do drinków po trzecim lub czwartym kufelku.

Dotes skinął głową w stronę schodów.

- Jak leci? - rzuciłem do Saucerheada i pozęgłowałem dalej. Burknął coś i zaczął masakrować sałatę tak wielką, że nakarmiłoby się nią trzy kuce. Ale on sam też jest wielki jak trzy kuce. Razem z ich mamusiami.

Morley skoczył na schody w ślad za mną.

- Biuro? - spytałem.

- Tak.

Weszliśmy na górę.

- Wszystko się zmieniło. - Biuro nie wyglądało już jak przedsiemek burdelu, może dlatego, że brakowało niezbędnej dozy ślicznotek. Morley, który zwykł odpoczywać w domu, zawsze miał coś ładnego pod ręką.

- Staram się zmienić siebie poprzez zmianę środowiska. - Ten Morley gadał jak Morley stuknięty na punkcie wegetarianizmu i wyznawca mrocznych guru. - A co ty kombinujesz, Garrett? - przemówił Morley zabijaka.

- Hejże, skąd ta mroczna mina? Nie mogłem usiedzieć na tyłku i wybrałem się tutaj, żeby wytrąbić jakiś rabarbarowy koktajl z Saucerheadem, a tu...

- A tu zdecydowałeś się właśnie pojawić w przebraniu szczeniaka, który przegrał bitwę z wielkim psem. - Pchnął mnie w stronę lustra.

Lewa strona mojego oblicza była oblepiona zaschniętą krwią.

- Cholera, a myślałem, że się uchylilem. - Ten kurdupel jakoś mnie dorwał, kiedy sobie tańcowaliśmy. Wciąż jeszcze nie czułem rany. Nóż musiał być cholernie ostry.

- Co się stało?

- Dopadli mnie twoi stuknięci kuzyni. Chukos. - Pokazałem mu trzy noże. Były identyczne, z ośmiocalowymi ostrzami i poźółkłymi rękojeściami z kości słoniowej, w których osadzono małe, stylizowane czarne nietoperze.

- Robota na zamówienie - mruknął.

- Robota na zamówienie - zgodziłem się. Wziął tubę akustyczną, łączącą go z barmanami.

- Przyślij mi Kałużę i Slade'a. I zaprosz Tharpe'a, jeśli jest zainteresowany. - Odłożył tubę i

spojrzał na mnie. - W co się znowu wpackowałeś, Garrett?

- W nic. Jestem na wakacjach. Dlaczego pytasz? Szukasz okazji, żeby się do mnie doczepić i wydostać z karcianych długów? - Poczuję, że mówię nie to co trzeba, zanim jeszcze skończyłem zdanie. Morley był zatroskany. A kiedy Morley Dotes martwi się o mnie, nadchodzi czas, żeby zamknąć jadaczkę i słuchać.

- Może na to zasłużyłem.

Weszli jego wspólnicy, Kałuża i Slade. Kałużę znałem już wcześniej - był to wielki, sflaczały facet obrośnięty grubymi zwałami zwisającego tłuszczu. Silny jak mamut, cwany jak skała, okrutny jak kot, szybki jak kobra i bezgranicznie lojalny w stosunku do Morleya. Slade był nowy i mógłby uchodzić za brata Morleya. Niski, jak na ludzkie normy, tak samo smukły i przystojny na swój czarniawy sposób, o wdzięcznych gestach i przepelniony niezłomną wiarą w siebie. Podobnie jak Morley ubierał się jaskrawo, choć akurat dzisiaj ten ostatni wyraźnie spuścił z tonu.

- Udało mi się już od miesiąca nie postawić żadnego zakładu - wyjaśnił Morley. - Z pomocą mojej silnej woli i, trochę, moich wiernych przyjaciół.

Morley ma poważne problemy z hazardem. Już dwa razy wykorzystywał mnie, by wyciągnąć się z długów na śmiertelną skalę, i zawsze było to kością niezgody między nami.

Wegetariański bar i restauracja wraz z usługami tanich drani stanowią raczej hobby niż sposób na życie Morleya. W istocie uprawia on wolny zawód łamignata i specja od mokrej roboty, dlatego ma zawsze pod ręką swoich Slade'ów i Kałużę.

W tym momencie wszedł Saucerhead. Powitał towarzystwo skinieniem głowy i klapnął na fotel, który zatrzeszczał żałośnie. Nie odezwał się ani słowem - nie jest zbyt gadatliwy.

Obszar działalności Saucerheada różni się nieco od mojego i Morleya. Za drobną opłatą porachuje kości, ale nie zabije. Z reguły bierze pracę goryla lub eskorty. Jeśli głód mu doskwiera, zwinie to lub owo, ale nigdy nie zabije.

- W porządku - odezwał się Morley, kiedy wszyscy gracze znaleźli się już na swoich miejscach. - Garrett, zaoszczędziłeś mi wędrówki. Po zamknięciu miałem właśnie wybrać się do ciebie.

- Po co? - Wszyscy spojrzeli na mnie, jakbym był eksponatem z wystawy dziwolągów, a nie zbitym na kwaśne jabłko eks-marine na własnych usługach.

- Jesteś pewien, że nie prowadzisz żadnej sprawy?

- Całkowicie. Gadaj. O co chodzi?

- Wpadł tu Sadler. Przyniósł wiadomości od kacyka. - Kacyk to Chodo Contague, imperator podziemia TunFaire. Bardzo niedobry facet. Sadler to jeden z jego poruczników i jest jeszcze bardziej niedobry. - Ktoś chce twojej głowy, Garrett. Kacyk ogłosił wszem i wobec, że ktokolwiek tego spróbuje, będzie miał z nim do czynienia.

- Nie pieprz, Morley.

- Słowo honoru. Jest giętki jak młoda wróżka na gałązce, ale ma fioła na punkcie honoru, przysług, długów i rachunków. Uważa, że ci dużo zawdzięcza, i wylezie ze skóry, żebyś żył tak długo, dopóki się nie wypłaci. Na twoim miejscu nie pozwoliłbym mu na to i miałbym go zawsze za plecami jak oswojonego banshee.

Nie miałem ochoty na towarzystwo anioła stróża.

- To dobry pomysł, dopóki pozostaje przy życiu. - Kacykowie mają mniej więcej taką samą skłonność do umierania nagłą i niespodziewaną śmiercią jak królowie Karenty.

- A zatem powinieneś być zainteresowany jego jak najdłuższym życiem, nie?

- Ręka rękę myje - burknął Saucerhead. - Naprawdę nic ci się nie trzęsie?

- Nic. Zero. Zip. W ciągu ostatnich dziesięciu dni miałem tylko dwie propozycje. Obu

odmówiłem. Nie pracuję. Nie chcę pracować. To za bardzo przypomina pracę. Wolę siedzieć i patrzeć, jak pracują inni.

Morleyowi i Saucerheadowi opadły szczęki. Morley pracuje tyle, ile się da, ponieważ uważa, że mu to dobrze robi. Saucerhead tyra przez cały czas, bo musi przecież jakoś nakarmić to wielkie cielsko.

- A te propozycje? - zagadnął Morley.

- Ładna blondynka dziś po południu. Chyba luksusowa dziwka. Ktoś jej się narzuca i dziewczyna bardzo chce się go pozbyć. Przekazałem ją Pokeyowi Pigotcie. A kilka minut przed moim wyjściem z domu pojawił się starszawy facet, który chciał, żebym mu znalazł coś, co zgubił, albo tak mu się wydawało. Teraz szuka sobie kogoś innego.

Morley zmarszczył brwi. Powiódł wzrokiem po pozostałych, ale nie znalazł w nich natchnienia. Podniósł noże chuko, podał po jednym Kałuży i Slade'owi, a trzeci rzucił Saucerheadowi.

- Nóż chuko - oznajmił ten ostatni.

- Garrett miał małą wpadkę po drodze tutaj - wyjaśnił Morley. - Zazwyczaj nie płaczą się tu żadne gangi. Wiedzą, co robią. Garrett, opowiedz nam o tym.

Poczułem się urażony w swojej dumie. Nikt nie podziwiał mnie za to, że zdobyłem aż trzy noże. Opowiedziałem wszystko po kolei.

- Musze sobie zapamiętać tę sztuczkę z cegłą po paluchach - mruknął Saucerhead.

Morley spojrzał na Kałużę.

- Śniegul - mruknął ten ostatni. Morley skinął głową.

- Tak, to ten albinos. Szef gangu zwanego Wampirami. Prawie uważa się za wampira. Ten, którego pozostawiłeś na nogach, to chyba Doc, mózg gangu. Jeszcze bardziej pomyłony niż Śniegul. Nie cofnie się przed niczym. Lubi pławić się we krwi. Mam nadzieję, że miałeś dość rozumu i wykończyłeś ich, skoro miałeś okazję?

Tylko na mnie spojrzał i już wiedział, że nie.

- To szaleńcy, Garrett Wielki gang. Dopóki Śniegul będzie żył, wciąż będą się zbierać wokół niego. Chyba go trochę zdziwiłeś. - Wziął papier, atrament i pióro i zabrał się do pisania. - Kałuża. Weź dwóch ludzi i zobacz, czy ktoś jest na zewnątrz.

- Jasne, szefie. - Kałuża to prawdziwy geniusz. Ciekaw byłem, kto mu wiąże buty.

Morley wciąż gryzmolił.

- Wampiry znalazły się daleko poza swoim terenem. Przyszli ze Wzgórza Pomocnego Zbiornika, ulica Priam, West Bacon. To gdzieś tu.

Zrozumiałe. Nie przyszli tu na spacer, a ja nie byłem przelotną okazją.

Znowu poczułem na plecach ten dziwny chłód.

Morley posypał piaskiem to, co napisał, złożył papier, nabazgrał coś na wierzchu i podał Slade'owi. Slade spojrzał, skinął głową i wyszedł.

- Gdybym był na twoim miejscu, wróciłbym do domu, zabarykadował drzwi i schował się pod Truposzem - mruknął Morley.

- Może to i dobry pomysł.

Obaj wiedzieliśmy, że tego nie zrobię. Co by było, gdyby rozniosło się, że Garretta można zastraszyć?

- Nie orientuję się w tych gangach ulicznych. Za dużo ich. Ale Wampiry wyrobiły sobie markę. Są ambitni. Śniegul chce być największym z chuko, przywódcą wszystkich... Przepraszam.

Jego akustyczna rura wydawała jakieś dźwięki. Podniósł ją i przyłożył do ucha.

- Słucham. Dobra, przyślij go tu. - Spojrzał na mnie. - Pozostawiłeś mocny ślad. Pokey Pigotta

cię szuka.

Garret 03 Zimne Miedziane lzy

VIII

Wszedł Pokey. Wyglądał jak żywy szkielet.

- Klapnij sobie - mruknął Morley i obdarzył go takim spojrzeniem jak zawsze, gdy planuje dla kogoś nową dietę. Jakaś cześć Morleya wierzy świecie, że nie ma takiego problemu, którego nie można by rozwiązać poprzez zwiększenie spożycia zielonych listków i błonnika. Był przekonany, że w naszych czasach zapanowałby pokój, gdyby dało się wszystkich przekonać, że nie należy jeść czerwonego mięsa.

- Szukałeś mnie? - zapytałem.

- Tak. Muszę ci oddać forszę. Nie zrobię tego.

Pokey odmawia roboty?

- Jak to?

- Mam lepszą ofertę na ciekawszą robotę i nie mogę robić obu jednocześnie. Może chcesz to przekazać Saucerheadowi? Dam ci to, co mam. Za darmo.

- Ale z ciebie książę. Robisz coś teraz, Saucerhead? - Nie był najlepszy do tej roboty, ale trudno. Pokey mnie wystawił.

- Popuść trochę farby - odrzekł Saucerhead. - Nie kupuję kota w worku. - Stał się podejrzliwy, bo Pokey się wycofał.

Powiedziałem mu to samo co Pokeyowi, słowo w słowo.

Pokey oddał mi zaliczkę. Obejrzałem sobie budynek, ale nie spotkałem się z szefem wyjaśnił. - Budynek jest obserwowany od przodu i od tyłu, ale przez amatorów. Wydaje mi się, że szef jest ich celem, choć w budynku jest jeszcze dziewięć innych mieszkań. W suterenie mieszka sprzątaczką. Wszystkie lokatorki to samotne kobiety. Wąchacze odeszli, kiedy się ściemniło. Udali się pod Błękitną Butlę, gdzie mieszkają w jednym pokoju na trzecim piętrze jako Smith i Smith. Kiedy sprawdziłem, że skończyli pracę i nie zostaną zastąpieni, poszedłem do domu. Tam czekał na mnie nowy klient.

Pokey opisał Smitha i Smitha, którzy wyglądali jak dwa niepozorne pracujące nieboszczyki.

- Zajmę się tym, Garrett - stwierdził Saucerhead. - Chyba że chcesz zrobić to sam.

Dałem mu zaliczkę.

- Zajmij się tą kobietą.

- To wszystko, czego chciałem - oznajmił Pokey i wstał. - Chyba już pójde. Muszę rano wstanie wstać.

Morley burknął coś na pożegnanie. Naprawdę się zmienił. Aż go skręcało, żeby zalecić Pokeyowi jakieś zmiany w diecie, dla jego własnego dobra, ale ugryzł się w język.

Co się dzieje? Świat nie będzie ani w połowie tak ciekawy, jeśli Morley zmieni się aż tak bardzo.

Kiedy zostaliśmy już całkiem sami, spojrział na mnie.

- Rzeczywiście nie pracujesz nad niczym?

- Naprawdę. Słowo skauta.

- Nigdy nie widziałem kogoś takiego jak ty, Garrett. Nie znam nikogo, który sprawiłby, że chukos z North End pofatygują się osobiście, żeby mu wpieprzyć za spacer przy księżycu.

Mnie też to zastanawiało. Wyglądało na to, że będę musiał, chcąc nie chcąc, trochę popracować. Zgodnie z prawem podwójnego przeczenia... cóż, marny ze mnie klient.

- Może dowiedzieli się, dokąd idę.

- Co?

- Może unieśli się współczuciem dla mojego żołądka.

- Garrett, przestań kłapać jadaczką. Nie mam ochoty na dalsze problemy.

- Hej, czyżby cię ruszyło? Zdaje się, że rybie oko na wszystko nie jest najlepszym rozwiązaniem.

- Może i nie.

Zanim się rozgrzaliśmy, wparował Kałuża.

- Nic, tylko krwawe plamy.

- Tak właśnie myślałem. Dzięki, że poszedłeś. - Morley spojrzał na mnie. - Kiedy się wreszcie nauczysz? Teraz Śniegul ma ciężko sfatygowane ego.

- Może gdybym wiedział, kim jest i jaką ma opinię...

- Bzdura! To nie ma nic wspólnego z darowaniem mu życia. Zawsze będziesz pytał o referencje? Nawet Śniegul ma pewnie matkę, która go kocha, ale to go nie powstrzyma przed podpaleniem ci jaj, skoro tylko znajdzie okazję. Dziwię się, że w ogóle jeszcze żyjesz.

Miał rację. Świat rzeczywiście ma w nosie wszystkie moralne parametry człowieka. Ale niestety, muszę żyć ze sobą w jakiejś takiej zgodzie.

- Może mam przyjaciół, którzy się mną opiekują. Chodź na dół. Ja stawiam.

- Dam sobie spokój, ale ty się nie krępuj. Sok z marchwi. Marchew jest dobra na oczy, a tobie przydałoby się trochę dalej widzieć. I zjedz coś z ryb. To podobno wzmacnia mózg.

Garret 03 Zimne Miedziane lzy

IX

Wypiłem drinka, ale zrobiłem to dopiero po powrocie do domu, kiedy już odesłałem Deana i zamknąłem drzwi na cztery spusty. Wyciągnąłem dzban z beczki w chłodni, zabrałem go do biura, położyłem nogi na stole i zacząłem poruszać szarą materią.

Wyszła mi burza w szklance piwa.

Żadnych punktów zaczepienia.

Przez chwilę rozważałem powiązania z wizytą Jill Craight. Jedno z nich analizowałem, myśląc nawet o tym świątobliwym terroryście. Jeśli nawet był jakiś związek, nic nań nie wskazywało.

W każdym razie paczka Śniegula musiała wyruszyć z North End, zanim jeszcze Peridont dotarł do mojego domu.

Przemyślałem wszystkie dawne sprawy, usiłując przypomnieć sobie osoby dość mściwe, żeby mnie usmażyć. Było ich parę, ale nie mogłem przypomnieć sobie żadnych nazwisk.

A jeśli Śniegul po prostu się pomylił? Może miał napaść kogoś innego?

Czysty rozsądek natychmiast radośnie zgodził się z tą hipotezą. Intuicja wrzasnęła „Pierdoły!”.

Ktoś chciał mnie zabić. A ja nie miałem pojęcia dlaczego. Co gorsza, nie miałem również pojęcia kto.

Może Truposz zdołałby zlokalizować jakiś drobny fakt, którego ja nie dostrzegłem? Przeszedłem na drugą stronę korytarza. Niedobrze. Był poza zasięgiem. Wyrzuciłem z siebie nieco zbędnej, a nieczystej energii i wróciłem do biura, po czym rozsiadłem się, żeby to wszystko przemyśleć ponownie.

Byłem tam jeszcze, kiedy Dean zaczął się rano dobijać. Zesztywniałem tak okropnie, że przejście przez korytarz do drzwi okazało się prawdziwą wyprawą. Morley nie jest taki głupi, kiedy mówi, że się nadużywam. Nie mam już siedemnastu lat. Cielsko nie pozostanie sprawne samo z siebie. Zaczynałem sobie właśnie wyrabiać mięsień piwny. Muszę być nieco bardziej wybredny w doborze ćwiczeń.

Zacznę ćwiczyć na pewno od jutra. Dziś już brak mi na to siły. I tak mam napięty harmonogram.

Poszedłem na górę i przespałem się w porządnym łóżku, podczas gdy Dean miotał się po kuchni. Obudził mnie, gdy śniadanie było gotowe.

- Jest pan pewien, że wszystko w porządku? - zapytał, kiedy przyniósł mi bułeczki. Niewiele mu powiedziałem. - Wygląda pan okropnie.

- Dzięki. Sam jesteś jednym z najpiękniejszych okazów przyrody. - Wiedziałem doskonale, o co mu chodzi, ale musiałem się z nim podroczyć. Inaczej uznałby, że go nie lubię. - Powinieneś widzieć tamtych.

- Myślę, że lepiej nie. - Ktoś zapukał do drzwi. - Pójdę otworzyć.

Zabełkotałem coś z gębą pełną gorących bułeczek unurzanych w jagodowej konfiturze.

Gościem była Jill Craight. Dean przyprowadził ją do kuchni. Ciekawe, ciekawe. Chyba rzeczywiście okręciła go sobie wokół małego palca.

Dziś już nie wyglądała tak frymuśnie. Chyba się nawet o to nie starała. Wydawało się, że miała kiepską noc. Chyba nie zrezygnowała z walki.

- Dzień dobry, panno Craight. Może się pani przyłączy?

Usiadła. Wzięła herbatę podaną przez Deana, ale odmówiła czegokolwiek bardziej konkretnego. W oczach miała ogień. Szkoda, że nie dla mnie. Tym gorzej dla niej.

- Odwiedził mnie osobnik nazwiskiem Waldo Tharpe.

- Saucerhead? Dobry człowiek. Czasem tylko jego manierom brakuje ogłady.

- Maniery miał odpowiednie. Powiedział, że znajdzie tego, kto sprawia mi kłopoty. I że to pan go przysłał.

- Bo tak było. Czy ktoś powiedział ci, że jesteś piękna, kiedy się wściekasz?

- Mężczyźni mówią mi, że jestem piękna niezależnie od humoru. To bzdury. Dlaczego przysłałeś tego człowieka? Wynajęłam ciebie.

- Postawiłaś mnie w sytuacji, która mi się nie podoba. Wysłałem kogoś, żeby to za mnie załatwił.

Gdzie tkwi problem?

- Wynajęłam ciebie.

- I tylko ja się nadaję? Skinęła głową.

- Moje ego zostało mile połaskotane, ale...

- Nie płacę za jakiegoś nieznajomego amatorzyne.

- Ciekawe. Zwłaszcza że Saucerhead jest chyba bardziej znany ode mnie. - Spojrzałem jej twardo w oczy i przytrzymałem tak przez około dwunastu sekund, dopóki nie odwróciła wzroku w stronę Deana.

- Ciekawe, w co naprawdę grasz - mruknąłem. Spojrzała na mnie z uwagą.

- Najpierw próbowałaś mnie wykołować. Potem dałaś mi o wiele za dużo forsy. Jeśli chciałaś kupić faceta, żeby komuś zaimponować, to każdy, kto zna mnie, zna również Saucerheada. Zresztą to jego boją się bardziej. Ja przy nim to kociątko. Na koniec, a dla mnie jest to najważniejsze, nie upłynęło nawet pięć godzin od twojej wizyty, kiedy ktoś próbował mnie zabić.

Jej oczy zrobiły się wielkie jak spodki. Musiałem sam sobie przypomnieć, że uważała się za aktorkę.

- To była zasadzka, zastawiona z zimną krwią. Pięciu ludzi, Jill, plus ci, którzy mnie obserwowali i przekazywali wiadomości. Duży wysiłek.

Jej oczy zrobiły się jeszcze większe.

- Znasz mieszańca albinosa o ksywie Śniegul? Potrząsnęła głową. Była to bardzo efektowna głowa. A w stanie skrajnego przerażenia wyglądała jeszcze piękniej.

- A gang uliczny o nazwie Wampiry? Znowu pokręciła uroczym łebkiem.

Chyba już rzeczywiście otrząsnąłem się po niewygodnej nocy, bo zacząłem się ślinić. W myśli dałem sobie po pysku i kazałem siedzieć spokojnie.

- Co w ogóle wiesz? Wiesz cokolwiek? Na przykład, dlaczego próbowałaś zrobić ze mnie durnia? A może to też wyleciało ci z głowy?

Chyba znowu się wściekła, ale stłumiła gniew. Postanowiła iść w zaparte. Wstałem.

- Chodź ze mną. - Nieraz porządna niespodzianka rozwiązuje język.

Zaprowadziłem ją do pokoju Truposza, ale jej reakcja nieco odbiegała od wstrząsu.

- Ojej! Ale wielki! - I to wszystko.

Wyciągnąłem zaliczkę spod fotela Truposza, który jest najbezpieczniejszym sejfem w TunFaire.

- Zostawię sobie co nieco, za czas Saucerheada i moje potłuczenia. - Wyjąłem kilka monet i podałem jej resztę.

Zmierzyła sakiewkę wzrokiem, jakby to była żywa żmija.

- Co ty robisz?

- Nie masz szczęścia. Oddaję ci twoją forszę i zmiatam z twojego życia.

- Ale... - Zaczęła bić się z myślami. Bitwa była w pełnym toku, kiedy odwróciłem się do Truposza i dyskretnie wyszczerzyłem zęby. Masz, kupo miecha. Przyprowadziłem ci jedną pod sam nos.

Próbowałem złapać dwa psy za ogon dwoma palcami.

Nie ma na niego lepszego sposobu niż przyprowadzić babę do domu. Im ładniejszy kasek, tym bardziej gwałtowana reakcja. Jill Craight mogła spowodować pożar domu. Jeśli Truposz udaje, że śpi, nie będzie w stanie wytrzymać.

Cholerny świat. Ani pisnął. A ja już byłem prawie pewien, że po prostu unika właściciela, który przyszedł po czynsz.

- Panie Garrett?

- Hę?

- Boję się. Obiecałam. Nie mogę powiedzieć nic więcej, dopóki nie dowiem się, kogo muszę się bać. Proszę to wziąć. Chcę tylko pana. Ale jeśli nie da pan rady, wezmę, co będzie.

Rzeczywiście się bała. Gdyby miała pięć stóp wzrostu i buzię dziecka, mój instynkt opiekuńczy zapłonąłby. Ale ona mogła zajrzeć mi prosto w oczy, gdyby chciała, i cholernie nie umiała odgrywać bezradnej. Patrząc na nią, miało się ochotę na całkiem nieprzyzwoite rzeczy, ale nie na to, by ją wziąć w opiekę. Widać było, że doskonale potrafi się troszczyć sama o siebie.

- Gdyby nie wczorajszy wieczór, pewnie bym się zgodził. Ale ktoś chciał mieć moją skórę. Zanim dowiem się, kto i dlaczego, a potem namówię go, żeby zmienił zamiar, zajmie mi trochę czasu. Dlatego dostaniesz Saucerheada.

- Jeśli tak trzeba, to trudno.

- Tak trzeba. - Wepchnąłem zaliczkę z powrotem pod Truposza. - A teraz, skoro już skończyliśmy wrzeszczeć na siebie i znowu jesteśmy przyjaciółmi, może przyjdiesz na kolację? Umiejętności kulinarne Deana nie mają tu wielkich szans rozwoju.

Już otwierała usta, żeby mi odmówić, ale wrodzone skłonności rozbiły instynkt samozachowawczy w drobny mak.

Nie musiała być dla mnie miła. Nie stanowiło to warunku umowy. Ale uważam się za miłego faceta i chciałem, żeby przekonała się o tym na własnej skórze.

- To musiałyby być późna kolacja - zastrzegła. - Muszę pracować.

- Wybierz porę. Powiedz Deanowi. Zaproponuj mu, co lubisz najbardziej. Na pewno będzie to lepsze od wszystkiego, co miałaś okazję próbować.

- Dobrze. - Uśmiechnęła się i poszła do kuchni. Myślę, że był to pierwszy szczery uśmiech, jakim mnie uraczyła.

Zatrzymałem się i oparłem o framugę drzwi. Wyszczrzyłem zęby do Truposza. Miałem pewne ukryte powody, żeby podejmować kolacją Jill Craight - oczywiście, pomijając te, z którymi przyszedłem na świat. Wciąż jeszcze była szansa, że starego Śmieszka coś wreszcie ruszy, a poza tym bardzo wierzę w synchronizację wydarzeń.

Jeśli istnieje na tym świecie jedna pewna rzecz, jest nią cudowne ozdrowienie Tinnie z napadu chandry w tym samym momencie, gdy dowie się, że umówiłem się na randkę z inną. Ktoś z domu Tate'ów pojawi się tu, aby powiadomić mnie o tym szczęśliwym fakcie, zanim jeszcze Jill dotrze do domu.

W tym momencie pojawiła się Jill.

- Dean to miły człowiek.

Czy miałem przez to rozumieć, że ja nie jestem miły?

- Ale cwaniak. Trzeba na niego uważać, zwłaszcza jeśli jesteś niezamężna. Dean to wielki

ambasador instytucji małżeństwa.

- Ale sam nie jest żonaty.

Szybka riposta, przyjaciółko Jill. Ciekawe, ile z niego wyciągnęła?

- Nieżonaty i nigdy żonaty nie był. Ale to go nie powstrzymuje. Chodź, odprowadzę cię do domu.

- Jesteś pewien, że masz tyle czasu?

- To po drodze - skłamałem. Przyszło mi do głowy, że przyda mi się pogawędka z Saucerheadem.

Garret 03 Zimne Miedziane lzy

X

Tharpe dogonił Jill i znalazł się z jej wolnej strony, zanim uszliśmy sto jardów. Aż podskoczyła.

- Musisz się przyzwyczaić. - Zachichotałem.

To jej nie podnieciło. Jeszcze jeden dowód, że działo się coś, czego nie chciała podać do publicznej wiadomości.

Wciąż miałem ją w szufladce przeznaczonej dla dziwek, choćby i modeli luksusowych.

- Dzieje się coś ciekawego?

- Nic.

- Smith i Smith dalej obserwują dom?

- Tak. Pokey miał rację. To amatorzy. Wyglądają jak para farmerów. Chcesz, żebym zdjął jednego i powiązał w supełki, aż zaczną śpiewać?

- Jeszcze nie. Miej ich tylko na oku. Dowiedz się, kto nad nimi stoi.

Saucerhead mruknął coś pod nosem.

- Ktoś obserwuje także i twój dom. Zauważyłem ich, kiedy czekałem na ciebie.

- Chukos? - wcale nie byłem zaskoczony.

- Może być. - Wzruszył ramionami. - Wyglądali młodo, ale barw nie pokazywali.

- Na pewno nie, jeśli to Wampiry. - Mieszkam na terytorium Podróżników, tuż przy granicy z ziemią Sióstr Potępienia.

Szliśmy dalej. Kiedy dotarliśmy do domu Jill, zacząłem się przymawiać, żeby wejść do środka. Chciałem się trochę rozejrzeć. Nie dała się nabrać. Przypuszczalnie nie chciała, aby w sąsiedztwie widziano ją z nami. Uważała nas widocznie za niższych klasowo.

Wraz z Saucerheadem ucieliśmy sobie małą przechadzkę dookoła domu, żeby przyjrzeć się Smithom. Rzeczywiście, wyglądali jak para farmerów. Na pewno nie wydawali się niebezpieczni, ale osąd pozostawiłem Saucerheadowi. To w końcu nie moja sprawa.

Zrobiłem sobie małą przebieżkę na drugą ulicę w stronę mojego domu i zatrzymałem się przed kamienicą tak zniszczoną, że nie pasowało do niej nawet określenie „ruina”. Okrążyłem go, dotarłem do drzwi sutereny. Stojąc po kolana w śmieciach, zapukałem delikatnie. Drzwi omal nie wyleciały z zawiasów.

Uchyliły się na cal. Z poziomu zasuwy spojrzęło na mnie lśniące oko.

- Garrett - powiedziałem. - Chciałbym porozmawiać z Mayą.

- Błysnęłam oku sztuką srebra. Drzwi się zamknęły.

Taka sobie mała gierka, po to tylko, by pokazać, kto tu rządzi. Po chwili drzwi uchyliły się i stanęła w nich dziewczynka. Miała ze trzynaście lat, a odziana była jedynie w worek po kartoflach - ukradziony pewnie wtedy, kiedy kartofle jeszcze w nim były - i nieziemsko brudna. Worek był mocno znoszony i wystawał spod niego jeden ledwie dojrzały pączek. Zauważyła moje zbląkane spojrzenie i zachichotała.

- Masz śliczne włosy, mała. - Chyba była blondynką. Kto to wie? Chyba nie myła głowy od dnia przyjścia na świat.

- Przestań małpować, Garrett - usłyszałem z wnętrza. - Jeśli chcesz ze mną gadać, rusz dupę i włącz.

Wkroczyłem zatem do cytadeli Sióstr Potępienia, jedyne go całkowicie ludzkiego i całkowicie babskiego gangu ulicznego.

Było tam pięć dziewczyn, najstarsza nie miała jeszcze osiemnastu lat. Czwórka z nich odwiedzała tego samego ulicznego fryzjera i krawca. Maya była nieco lepiej ubrana i cokolwiek bardziej zadbana, ale niewiele. Miała osiemnaście lat, ale udawała czterdziestkę i była hersztem gangu, który podobno miał ze dwustu żołnierzy. Była tak rozchwiana emocjonalnie, że nigdy nie wiedziałem, jak zareaguje.

Większość Sióstr miała za sobą emocjonalne schody. Wszystkie przeżyły ciężkie przypadki maltretowania i ich ostatnim gestem buntu była ucieczka do krainy Nigdy-Nigdy Potępienia. Kraina ta pozostawała wiecznie zawieszona pomiędzy dzieciństwem, takim jakim powinno być, a spokojną dorosłością. Ale one nigdy nie wyleczą się ze swych ran. Większość dziewcząt w końcu od nich umrze. Potępienie dawało im jednak fortecę, w której mogły się ukryć i z której mogły uderzyć, a to było już samo w sobie większym luksusem niż ten, jakiego zaznały tysiące pozostałych, nurzających się bez opieki w tym piekle.

Maya przecierpiała więcej od innych. Poznałem ją, gdy miała dziewięć lat. Jej ojczym zaoferował, że podzieli się nią ze mną, jeśli kupię mu butelkę wina. Odmówiłem w akompaniamencie trzasku jego łamanych gnatów.

Teraz wyglądała znacznie lepiej. Przez większość czasu zachowywała się normalnie. Można z nią było porozmawiać. Nieraz przychodziła do domu, żeby załapać się na posiłek. Uwielbiała Deana. Stary Dean był idealnym wujaszkiem dla wszystkich dziewczyn.

- No, Garrett, czego chcesz, do diabła? - Miała audiencję. - Pokaż no, jaki kolor ma twoja forsa. Rzuciłem jej monetę.

- Na znak dobrej woli - wyjaśniłem. - Chcę wymienić informacje.

- Gadaj. Jak mi zaczniesz działać na nerwy, pošlę cię do diabła.

Gdyby dostała ataku, mógłbym wyjść stąd jako mielone zrazy. Te dziewczyny potrafią być nieprzyjemne. Zaś ich ulubionym sportem jest kastracja.

- Znasz Wampiry? Zetknęłaś się z albinosem czarnuchem o ksywie Śniegul i wściekłym rzeźnikiem Dokiem? North End.

- Słyszałam o nich. Wszyscy są wściekli, nie tylko Doc. Nie znam ich osobiście. Mówią, że podobno Doc i Śniegul stali się ambitni, próbują podbierać ludzi z innych gangów.

- Ktoś może okazać się wyjątkiem.

- Wiem. Śniegul i Doc są za starzy na gang uliczny, ale za młodzi, by wiedzieć, że nie wtyka się nosa na cudzy teren.

Klasyczny cykl. I młodym nieraz się udaje. Mniej więcej raz na stulecie.

Dzisiejszy kacyk był także dzieckiem ulicy. Ale ta organizacja ściągnęła go z gangu i promowała już od wewnątrz.

- Czy Potępione mają jakiegokolwiek powiązania z Wampirami? - Dziewczyny lubią, kiedy się je nazywa Potępionymi. Prawdopodobnie brzmi to lepiej niż Siostry lub Zakon Sióstr.

- Bierzesz i nic nie dajesz, Garrett. To mi się nie podoba.

- Jeśli włóczycie się z Wampirami, nie mam wam nic do dania. Wybałuszyła oczy.

- Śniegul i Doc próbowali mnie wykończyć - wyjaśniłem.

- A cóż ty, do cholery, robiłeś w North End?

- Nie było mnie tam, kwiatuszku. Znajdowałem się wtedy na boisku Sokołów Wojny. Czy Sokoły mają układ z Wampirami?

- Nie ma potrzeby. Nie ma kontaktu. To samo z Potępionymi. - Przynęła się. - Coś kręcisz,

Garrett. Do rzeczy.

- Parka facetów obserwuje mój dom. Podejrzewam, że to chukos. Biorąc pod uwagę ostatnią noc, to chyba Wampiry.

Zamyśliła się.

- Prawdziwy napad? Jesteś pewien?

- Jestem pewien, Mayu.

- Mieszkasz na terenie Podróżników.

- Zaczynasz rozumieć. Niestety, odkąd Mick i Slick spłynęli z falą, nie mam tam żadnych przyjaciół.

Stosunki między poszczególnymi rasami stały się cholernie skomplikowane, bo pomimo ogólnego przemieszania każda z nich miała swoich szefów i hersztów i dziwaczne trendy kulturowe. TunFaire jest miastem ludzi. We wszystkich sprawach cywilnych obowiązuje prawo ludzkie. Cały wachlarz traktatów ustalił, że wejście do miasta jest jednoznaczne z dobrowolną akceptacją obowiązującego prawa. W TunFaire zbrodnia w pojęciu prawa ludzkiego pozostaje zbrodnią, niezależnie od tego, kto ją popełnił, nawet jeśli rasa przestępcy uznaje jego zachowanie za dopuszczalne.

Traktaty nie dają Karencie prawa do rekrutowania poborowych nie-ludzkiego pochodzenia. Pochodzenie nie-ludzkie przypisane jest każdemu, kto posiada przynajmniej jedną czwartą obcej krwi i dobrowolnie zrzeknie się na zawsze swoich ludzkich praw i przywilejów. Ostatnio jednak grupy rekrutacyjne czepiają się każdego, kto nie jest w stanie na miejscu sprokurować dziadka lub pradziadka odpowiedniej rasy, i to właśnie przydarzyło się hersztom gangu Podróżników, choć byli mieszającami.

- A zatem chcesz, żeby zdjąć ci z grzbietu kilku chukos - podsumowała Maya.

- Nie, chcę tylko, żebyś wiedziała, że tam są. Jeśli mi zaczną dokuczać, po prostu stuknę ich łbami, jeden o drugi, i cześć.

Spojrzała na mnie twardo.

Maya ma bizantyjski umysł, cokolwiek robi, pod każdym motywem kryje się drugi. Nie jest jeszcze na tyle mądra, żeby wiedzieć, iż nie każdy myśli tak samo.

- Pod Błękitną Butelką mieszka dwóch typowych farmerów. Używają nazwisk Smith i Smith. Gdyby ktoś ich potraktował stylem Murphy'ego i znalazł przy nich jakieś dokumenty, chętnie bym je kupił - improwizowałem, ale akurat to powinno wystarczyć Mayi jako ukryty motyw.

Nie powinno to wyglądać tak, jakbym przyszedł sprawdzić, co się z nią dzieje. Znaczyłoby to, że komuś na niej zależy, a tego pewnie by nie przeżyła.

W drzwiach zatrzymałem się jeszcze.

- Dean mówił, że upichei coś specjalnego na kolację. I to dużo - dodałem i natychmiast wyszedłem.

Na ulicy zatrzymałem się i przeliczyłem wszystkie członki. Były na miejscu, ale trzęsły się jak galareta. Może mają więcej rozumu niż moja głowa? Wiedzą, że za każdym razem, kiedy tam wchodzi wraz ze mną, mają duże szansę stać się pokarmem dla ryb.

Garret 03 Zimne Miedziane lzy

XI

Dean czekał na mnie przy drzwiach. Był cały rozdygotany.

- Co się stało?

- Był tu ten facet, Crask.

Aha. Crask to zawodowy morderca.

- Czego chciał? Co mówił?

- Nic. Nie musi nic mówić.

Nie musi. Crask roztacza wokół siebie zło, tak jak skunks roztacza smród.

- Przyniósł to.

Dean podał mi kawałek grubego papieru zwinięty w kopertę, grubą może na pół centymetra. Podrzuciłem ją w dłoni.

- Coś metalowego. Udój mi kufelek. - Zanim Dean zniknął w kuchni, rzuciłem w ślad za nim: - Być może wpadnie tu dziś Maya. Dopilnuj, żeby coś zjadła, i podetknij jej kawałek mydła. I nie pozwól jej ukraść niczego, co mogłoby ci być potrzebne.

Wszedłem do biura, rozsiadłem się, położyłem przed sobą na biurku kopertę Craska moim nazwiskiem do góry i udawałem, że jej nie widzę, dopóki Dean nie przyniósł mi nektaru zaczerpniętego ze źródła młodości. Nalał pełny kufel, który zresztą natychmiast wysączyłem. Nalał mi raz jeszcze i zagał:

- Jeśli pan dalej będzie próbował coś robić dla tych dzieci, dostanie pan zwrot zawiązki.

- Potrzebują przyjaciela wśród dorosłych. Powinny wiedzieć, że i tu są porządni ludzie, że ten świat to nie piekło, gdzie wszyscy pożerają się wzajemnie, a szansę mają tylko najsilniejsi i najpaskudniejsi.

Spojrzał na mnie z udanym zaskoczeniem:

- A tak nie jest?

- Jeszcze nie. Niezupełnie. Kilku z nas próbuje walczyć. Jeden dobry uczynek tu, drugi tam...

Obdarował mnie jednym ze swych rzadkich szczerych uśmiechów i odszedł w stronę kuchni.

Maya zostanie ugoszczona lepiej niż Jill, jeśli tylko zada sobie trud, żeby się pojawić.

Dean pochwalał moje starania, ale od czasu do czasu chciał mi przypomnieć, że za moje trudy mogę liczyć jedynie na rozbitą głowę i złamane serce.

Nie poruszę jednak ani niebios, ani piekieł, dopóki nie rozpakuję prezentu od Craska. Złamałem woskową pieczęć kacyka.

Ktoś owinał w papier dwie karty do gry, związane nitką. Wewnątrz znalazłem kosmyk bezbarwnych włosów i cztery monety. Monety przyklejono do jednej z kart. Jedna była złota, jedna miedziana, a dwie srebrne. Miały identyczną wielkość, około pół cala średnicy i wydawały się takie same, jeśli nie liczyć metalu. Trzy były nowe i lśniące, czwarta, jedna ze srebrnych, była tak stara i zużyta, że symbole na niej prawie się zatarły. Wszystkie cztery pochodziły z mennicy świątynnej.

Litery w nieznanym, antycznym alfabecie i języku, na pewno nie karentyńskim, data w systemie innym niż królewski, wyraźna symbolika religijna, brak popiersia króla na awersie, wszystko zdradzało obce pochodzenie. Królewskie monety noszą jego popiersie i głoszą jego chwałę, handlowe reklamują towary i usługi tego, który kazał je wybić.

Prawo karentyńskie pozwala bić monety dosłownie wszystkim. W każdym innym królestwie mennice należą wyłącznie do państwa, ponieważ różnica pomiędzy rzeczywistą wartością metalu a wartością monety idzie do kiesy państwowej. Korona karentyńska także nie prowadzi działalności charytatywnej. Prywatne mennice muszą kupować z mennic królewskich półprodukty monet, płacąc za nie równowartością wagi stopu w czystym metalu. Państwo zarabia przy okazji także na tym, że nie musi robić matryc i płacić robotnikom.

System ten z reguły działa, a kiedy nie działa, winnych przypieka się żywcem, nawet jeśli są to księżęta Kościoła lub oficjalni właściciele mennic i królewscy kuzyni. Podstawą pomyślności Karenty jest stabilność jej pieniądza. Karenta jest zepsuta do szpiku kości, ale nie pozwoli na igraszki z instrumentem zepsucia.

Najdokładniej przyjrzałem się monecie ze złota. Nigdy dotąd nie widziałem prywatnych złotych monet. To zbyt kosztowne, nawet jeśli w grę wchodzi ego organizacji.

Podniosłem do oczu górną kartę i odczytałem bardziej niż zwięzłą notatkę: „Pogadaj z facetem”, uzupełnioną symbolem ryby, niedźwiedzia i nazwą ulicy, która mogła oznaczać jakiś adres. Niewielu ludzi potrafi czytać tak, by wiedzieć, gdzie się znajdują, jedynie za pomocą ogólnie zrozumiałych symboli.

Crask chciał, żebym z kimś pogadał. Ta prowokacyjna paczuszka miała dostarczyć użytecznych wskazówek.

Skoro Crask częstuje mnie wskazówkami, to znaczy, że Chodo raczy go sugestiami. Crask nie odetchnie głębiej, dopóki Chodo mu nie pozwoli. Postanowiłem to sprawdzić. Chodo nie wolno zawieść.

Adres powinien znajdować się gdzieś w północnej części miasta. Oczywiście. Nie ma to jak długi spacer.

Do powrotu Jill i tak nie mam nic do roboty. A wciąż powtarzam sobie, że potrzebne mi ćwiczenia. North End, co?

Poszedłem na górę i zacząłem grzebać w swojej szafce z narzędziami. Wybrałem mosiężne kastety, kilka noży i moją ulubioną, osiemnastocalową, podrasowaną ołowiem „łamigłówkę”. Poutykałem wszystko tak, żeby nie było widać, po czym udałem się na dół i oznajmiłem Deanowi, że nie będzie mnie przez kilka godzin.

Garret 03 Zimne Miedziane lzy

XII

Większość z nas ma znacznie gorszą kondycję fizyczną, niż im się wydaje, nie mówiąc już o tym, co sami twierdzą na ten temat. Przyzwyczailem się jednak, że zawsze jest to problem tego drugiego gościa, a nie mój. Zanim jednak przebyłem sześć mil do North End, poczułem je w łydkach i udach. I to ma być to samo ciało, które niosło mnie tygodniami z pełnym obciążeniem, gdy służyłem w marines?

Nie, nie było to samo. To cielsko było starsze, a od tamtych czasów zostało poobijane i pokancerowane o wiele mocniej, niż przewidują normy.

Okolica została opanowana przez elfy i ich mieszkańców, co oznacza, że była czyściutka i uporządkowana w sposób graniczący z obsesją. Było to miejsce, gdzie elfickie kobiety bielily kamienie kwasem i malowały cegły na czerwono przynajmniej raz w tygodniu. Kiedy padało, rynsztokami płynęły strugi farby. Mężczyźni oporządzali drzewa, jakby to były podrzędne bóstewka, a mikroskopijne trawniczki strzygli nożyczkami, po jednym ździebełku. Aż korciło, żeby się dowiedzieć, czy ich prywatne życie jest równie sterylne, uporządkowane i beznamienne.

Jak takie sztywne, odprasowane środowisko mogło spłodzić Śniegula i Wampiry?

Skręciłem w ulice Czarnego Krzyża, wąski zaułek pod Wzgórzem Zbiornika. Szukałem ryb, niedźwiedzia i zabłąkanych Wampirów.

Było spokojnie. O wiele za spokojnie. Elfickie kobiety powinny były zamiatać ulicę, szorować chodniki albo robić cokolwiek, co rozładowałoby entropie pożerającą resztę miasta. Co gorsza, ten spokój śmierdział starzyzną, jakby był tam, ponieważ w tym właśnie miejscu zdarzyło się coś niewyobrażalnie okropnego i ulica jeszcze nie otrząsnęła się z szoku. Nawet tutaj powinni być ludzie uciekający z drogi, jeśli kierowałem się w pułapkę.

Czasem mam takie pokrępiające myśli.

Znalazłem to miejsce, czteropiętrową, szarą kamienicę, aktualnie od podstaw remontowaną. Drzwi frontowe były otwarte. Wszedłem na półpiętro. Cisza, która tu panowała, była znacznie bardziej posępna niż tamta na ulicy.

Tu było centrum, źródło, z którego tryskała struga zgrozy.

I co miałem z tym zrobić?

Rób, co masz do zrobienia - powiedziałem sobie. - Węsz.

Wszedłem do środka, sądząc, że zacznę od góry. Nie musiałem tego robić. Pierwsze z brzegu drzwi były lekko uchylone. Zapukałem. Nikt nie odpowiedział, ale z wnętrza dobiegł głuchy stuk. Pchnąłem drzwi.

- Hej, jest tam kto?

W drugim pokoju rozległo się wściekłe dudnienie. Szedłem z najwyższą ostrożnością. Ktoś już był tu przede mną i oskubał pomieszczenie do gołych ścian.

W powietrzu unosił się dziwny odór, słaby, ale nie można go było pomylić z żadnym innym. Wiedziałem, co znajdę w drugim pokoju.

Rzeczywistość okazała się gorsza, niż sądziłem.

Było ich pięciu, wszyscy starannie i z dużym doświadczeniem przywiązani do krzeseł. Jeden z nich się przewrócił i to właśnie on tak dudnił, próbując ściągnąć na siebie uwagę. Pozostali już nigdy

nie zwrócić niczyjej uwagi, z wyjątkiem much.

Ktoś otoczył ich szyje pętlami z drutu miedzianego, zakończonymi niewielkim patykiem, a następnie powoli zacieśniał pętle, I robił to powoli.

Rozpoznałem wszystkich - Śniegulca, Doca, i tych dwóch innych, którzy próbowali mnie załatwić. Jedyne ocalały okazał się chłopakiem, który stał wtedy na czatach. Tacy już oni są, ten Crask i Sadler. Skuteczni i pracowici.

Był to maleńki prezencik od Chodo Contague'a, kolejna rata oprocentowania jego długu. Ciekawe, jak będzie wyglądać sama spłata.

Cóż można myśleć w takiej chwili, w otoczeniu ludzi zabitych tak niedbale, jak rozdeptuje się karalucha? Bez złości, złośliwości i wyrzutów sumienia? Straszne to, gdyż w śmierci tej nie ma ognia, jest bezosobowa jak przypadkowe utonięcie.

Pstryk i po wszystkim.

Druciana pętla to wizytówka Sadlera. Wyobrażałem sobie, jak Slade przekazał Sadlerowi wiadomość napisaną przez Morleya. Widziałem, jak Sadler opowiada wszystko Chodo. Jak Chodo wpada w taką pasję, że nie jest w stanie nawet poprawić sobie pledu otulającego mu nogi.

„No to zajmij się tym“ - mógłby powiedzieć, bo zwykle tak mawia. „Wyrzuć tę rybę, co już zaczyna śmierdzieć”. - I Sadler zajął się wszystkim, a Crask przyniósł mi pukiel włosów zabitego i kilka monet.

Tak wygląda śmierć w dużym mieście.

Czy Doc, Śniegulec i inni mieli kogoś, kto będzie ich oplakiwał?

Do niczego nie dojdę, stojąc tu i użalając się nad garstką łotrów, którzy dostali za swoje. Crask nie fatygowałby się przez całe miasto, gdyby nie uważał, że znajdę tu coś ciekawego.

Domyślałem się, że dowiem się tego od faceta, którego zostawili przy życiu.

Postawiłem go w pionie, głową do ściany, tak żeby nie od razu mnie zobaczył. Dopiero potem okrążyłem go i oparłem się o ścianę, patrząc mu prosto w oczy.

Pamiętał mnie.

- Dotychczas to był twój szczęśliwy dzień, he? - zagałem. Przeżył wizytę Craska i Sadlera, i tych oportunistów, którzy zabrali wszystko, co dało się podnieść. Odczekałem, dopóki z jego oczu nie wyczytałem, że wie już, iż jego szczęśliwa passa się skończyła. Potem go zostawiłem.

Zacząłem myszkować po całym domu, dopóki nie znalazłem kubła z wodą w mieszkaniu na drugim piętrze. Szarańcza nie dotarła aż tu, widocznie bali się, że ktoś odetnie im drogę. Zanim wróciłem do mego więźnia, wyjrzałem na ulicę. Wciąż panował spokój.

Pokazałem chuko kubel.

- Woda. Pomyślałem, że może chce ci się pić. Zmarnował trochę wilgoci na łzę.

Odciąłem mu knebel, dałem łyk wody i oparłem o ścianę.

- Zdaje się, że masz mi co nieco do powiedzenia. Mów wszystko, dokładnie, ze szczegółami i niczego nie zatajając, to może cię wypuszcze. Na pewno postarali się, żebyś wszystko słyszał w czasie przesłuchań. - Garrett, Garrett, co za uroczy eufemizm.

Kiwnął głową. Był wystraszony prawie tak bardzo, jak to tylko możliwe.

- Zaczynaj od początku.

Jego pojęcie „początku” było bardziej dokładne od mojego. Zaczął od dnia, kiedy Śniegulec opanował budynek, wyrzucając na bruk swoją ludzką matkę. Ona z kolei odziedziczyła go po jego ojcu, którego rodzina posiadała ten budynek od dnia, gdy do TunFaire sprowadziły się pierwsze elfy. Całe sąsiedztwo było elfickiego pochodzenia, dlatego znajdował się w tak dobrym stanie.

- Bardziej interesuje mnie ta część historii, kiedy Wampiry zainteresowały się moją osobą.

- Czy mogę się jeszcze napić?

- Jak tylko na to zasłużysz. Westchnął.

- Wczoraj przyszedł jakiś człowiek. Duchowny. Powiedział, że nazywa się Brat Jercé. Chciał, żeby Śniegul coś dla niego zrobił. Taki bezpośredni facet, wiesz jaki. Nie powiedział, kto go przysłał. Przyniósł tyle forsy, że Śniegulowi oczy wyszły na wierzch, i powiedział, że Wampiry zrobią wszystko, czego zażąda. Nawet Doc próbował go odwieść od tego, a Śniegul nigdy przedtem nie zlekceważył jego rady. I zobacz, co z tego ma.

- Aha, słucham dalej. - Wiedziałem, co z tego ma. Ciekaw byłem tylko, co zrobił, żeby to dostać.

Duchowny chciał, żeby Wampiry pilnowały mnie i jeszcze jednego księdza, nazwiskiem Magister Peridont. Gdyby Peridont przyszedł do mnie, Wampiry miały postarać się o to, żebym zniknął. Na dobre. Mieli za to dostać solidną premię.

Śniegul wziął się za to, ponieważ nagle poczuł się ważny. Forsa nie obchodziła go aż tak bardzo. Chciał być czymś więcej niż księciem ulicy.

- Doc powtarzał mu, że na to potrzeba czasu. Że nie wyrobi sobie nazwiska, dopóki nie zauważy go większa organizacja. Ale Śniegul nie chciał się wycofać, nawet wtedy, kiedy po ulicach rozniosło się, że kacyk kazał zostawić w spokoju człowieka nazwiskiem Garrett. Był tak szalony, że niczego się nie bał. Do licha. Żaden z nas nie bał się zanadto.

Miał do tego święte prawo. Byli za młodzi. Trzeba trochę dorosnąć, zanim się zorientuje, kiedy naprawdę należy się zacząć bać. Dałem mu pić.

- Lepiej? Doskonale. A teraz opowiedz mi o księdzu. O Bracie Jercé. Jakiego był wyznania?

- Nie wiem. Nie powiedział. Wiesz, jacy są księża. Wszyscy ubierają się w te same brunatne szmaty.

Do tego też miał prawo. Żeby odróżnić Ortodokxę od Kościoła i Brata Odkupienia oraz innych kilku tuzinów tak zwanych heretyckich odłamów kultowych, musisz podejść blisko i wiedzieć, gdzie patrzeć. A poza tym całe to przedstawienie z Bratem Jercé mogło być jedynie maskaradą.

Zastanawiałem się, czy jakikolwiek człowiek mógłby być na tyle głupi - lub na tyle pewny siebie - aby podać tym bandziorkom swoje prawdziwe nazwisko i zapłacić im monetą ze swej własnej świątyni. Może była to tylko moja mglista opinia o duchownych, ale uznałem, że jest to możliwe. Zwłaszcza jeśli Brat Jercé był nowicjuszem w tej profesji. Właściwie, jak inaczej można było spieprzyć robotę tak dokładnie, jak się to udało Wampirom? Powinienem być już nie żyć i nikt nawet nie dowiedziałby się dlaczego.

Zadałem jeszcze dużo, dużo pytań. Nie dowiedziałem się niczego pożytecznego, dopóki nie wyjąłem monet, które dał mi Crask.

- Czy wszystkie pieniądze z zapłaty wyglądały tak jak te?

- Wszystkie, które widziałem. Świątynne. Nawet złoto. Ale Śniegul nie chwalił się tym za bardzo. Założę się, że skłamał, kiedy mówił, ile dostał.

Bez wątpienia. Wreszcie rzuciłem mu w twarz to najważniejsze pytanie:

- Dlaczego klecha chciał mnie widzieć martwego?

- Człowieku, nie mam pojęcia.

- I nikt nie zapytał?

- Nikogo to nie obchodziło. Co za różnica?

Chyba żadna, jeśli ukatrupienie gościa jest wyłącznie interesem.

- No cóż, mały, to by było na tyle. - Wyjąłem nóż.

- Nie, panie! Nie! Powiedziałem wszystko! Tak nie można!

Myślał, że chcę go zabić.

Morley powiedziałby, że ma racje. Morley powiedziałby, że ten facet będzie mnie prześladował do końca życia, jeśli go nie zabiję. Cholerny Morley, ma rację o wiele za często jak na mój gust. Ale człowiek robi to, co uważa za stosowne.

Zastanawiałem się przez chwilę, czy teraz, kiedy dzieciak wyjdzie cało z tej awantury, zawróci z drogi, która wiedzie wprost do piekła. Prawdopodobnie nie. Tacy jak oni nie widzą niebezpieczeństwa, dopóki nie dobierze im się do pięt.

Podszedłem do niego. Zaczął się mazać. Przysięgłbym, że wzywał matkę... przeciąłem sznur krępujący mu prawe ramię i wyszedłem. Teraz to tylko od niego zależy, czy się uwolni, czy zostanie i umrze.

Wyszedłem. Był kolejny upojny wieczór.

Zachwyciałem się otaczającymi mnie widokami. Zaledwie opuściłem ulicę Czarnego Krzyża, ujrzałem elfickie kobiety zamiatające i myjące ganki, chodniki i ulicę przed domami. Ujrzałem mężczyzn robiących manikiur zielonym drzewkom. Cały wieczorny rytuał.

Elfy mają swoje ciemne strony. I niewiele tolerancji dla mieszanego potomstwa. Biedne dzieciaki.

Garret 03 Zimne Miedziane lzy

XIII

Zanim dotarłem do domu, było już całkiem ciemno. Zauważyłem na niebie kilka spadających gwiazd, przez jednych uważanych za dobry, przez innych za zły omen. Jedna, wyjątkowo buńczuczna, rozprysła się w kilka mniejszych smug.

Dean wpuścił mnie do domu.

- Ludzie, ale tu pachnie! - jęknąłem.

- Dopiero zacznie - obiecał. Uśmiechnął się. - Przyniosę panu piwo. Dowiedział się pan czegoś użytecznego?

- Nie wiem. - A to co takiego? Ledwie go poznawałem. - Co ty kombinujesz?

Popatrzył na mnie wzrokiem zbitego szczeniaka. Chyba to sobie ćwiczy po cichu.

- Nic, proszę pana.

- Co się tu działo podczas mojej nieobecności?

- Nic. Tylko Maya przyszła. Właściwie dopiero co poszła. Kiedy pan zapukał.

Jęknąłem. Zdaje się, że Maya urabia Deana.

- Lepiej przelicz srebra.

- Ależ panie Garrett!

- Dobrze, dobrze. Panna Craight dała znak życia? - Po drodze do domu stwierdziłem, że na pewno się nie pojawi. Co ją to w końcu obchodzi? Byłem prawie pewien, że to osoba, która nie zaczerpnie głębszego oddechu, dopóki nie obliczy zysku na tej inwestycji. Co za wstyd, tyle urody na marne.

- Jeszcze nie. Powiedziała, że zjawi się na późnej kolacji. Jak późno będzie późno?

- Pójdę się odświeżyć.

Poszedłem na górę. Mycie oczyści ciało, ale nic nie poradzi na moją splamioną duszę.

Kiedy zszedłem na dół, Jill już tam była. Znowu oczarowała starego Deana. Pozwolił jej nakrywać do stołu. Wypadek bez precedensu.

Plotkowali jak starzy przyjaciele.

- Mam nadzieję, że to nie mnie tak obrabiacie tyłek - zauważyłem.

Jill obejrzała się.

- Cześć, Garrett. Nic z tego. Nie masz tyle szczęścia. - Uśmiechnęła się tak ciepło, że cieplejszy mógłby być tylko pożar lasu.

- Miałaś dobry dzień?

- Cudowny. Interesy szły świetnie. Porozmawiałam z moim przyjacielem. Przeprosił za kłopot, jaki mi sprawił. Nie spodziewał się tego, ale już podjął odpowiednie kroki. Nikt mnie więcej nie będzie nachodził.

- To uroczo. - Popatrzyłem na nią uważnie, starając się, by nie wypadło to zbyt ostentacyjnie. Cholera, jej widok przyprawiłby o zadyszkę stuletniego nieboszczyka. Przestała się bać. - Cieszę się, ale biedny Saucerhead będzie miał złamane serce.

Dean uraczył mnie grymasem dezaprobaty. Czy nie mógłbym przestać myśleć o „tym” choć przez pięć minut?

Żartujesz chyba, Dean? Jeszcze trochę żyję. Ale i tak pojąłem aluzję. Może i racja, po co się

napalać, żeby potem dostać kosza. Kwaśne winogrona.

Lepiej dogadywała się z nim niż ze mną. Było między nami coś takiego, że właściwie żadne z nas nie wiedziało, co ma powiedzieć.

Hej, a odkąd to Garrett traci język w gębie przy pięknej blondynce? Świadomość tego sprawiła, że moje poczucie własnej wartości stało się nagle dziwnie mizerne. Na szczęście kaczką Deana była tak świetna, że wystarczyła za wszystkie inteligentne odpowiedzi.

Główny problem polegał na tym, że Jill Craight nie zamierzała pisać ani słowa na temat Jill Craight. Ani tej dzisiejszej, ani dawniejszej. Wywijała się jak piskorz, zmieniała temat lub tylko uchylała się od odpowiedzi tak zgrabnie, że nie zauważyłem, co jest grane, dopóki nie powtórzyła tego kilka razy.

Jeśli chciałem zrezygnować z mówienia o niej, do podtrzymywania rozmowy pozostał mi już tylko jeden temat, w którym byłem ekspertem: ja sam. A trochę Garretta wymaga wielu, wielu słów.

Zdaje się, że głównym powodem było wino, które przyniosła. Importowane. Prawie dobre.

Dla mnie wino to tylko zepsuty sok owocowy. Wszystkie smakują tak samo, z niewielkimi wyjątkami. Ten wyjątek był całkiem wyjątkowy. To znaczy prawie tak dobry jak Złoto TunFaire, a ściślej: udało mi się wypić większą część kieliszka, zanim wymknąłem się, żeby przepłukać sobie usta łykiem piwa.

Lodowa dziewica wybrała się na wczasy, ale ta historia i tak nie miała żadnych szans. Już po deserze zdałem sobie sprawę z tego, że pozostaje nam jedynie dobić ją, żeby się nie męczyła.

Jill była bardziej damą, niż myślałem. Przebrnęła przez wszystkie trudności. Pomogliśmy Deanowi uprzątnąć krajobraz po bitwie, po czym odprowadziłem ją do domu.

Przeszliśmy zaledwie kawałek, kiedy zauważyłem, że brak mi czegoś, czego z reguły nie brakuje, gdy ona jest w pobliżu.

- Gdzie Saucerhead? - Opuszczenie stanowiska było niepodobne do niego.

- Zwolniłam go. Teraz już mi nie jest potrzebny. Mój przyjaciel wszystko wyjaśnił.

- Jasne. - Zwłaszcza to, dlaczego zgodziła się, żebym ją odprowadził.

Po tych słowach nie wykrztusiłem już wiele więcej. Szukałem spadających gwiazd, ale bogowie zwinęli manatki i zamknęli cyrk.

Pożegnaliśmy się przed wejściem do jej apartamentów, to znaczy odnowionej kamienicy czynszowej. Jill nie zaprosiła mnie na szklaneczkę przed snem, a ja nie zrobiłem nic, żeby się wprosić. Cmoknęła mnie w policzek, jak siostra.

- Dzięki, Garrett - Weszła do środka, nawet się nie oglądając. Spojrzałem na świeżutki księżyc, z wrogością, na jaką biedak doprawdy nie zasłużył.

- Nieraz naprawdę nie masz z nią nic wspólnego - mruknąłem. - Nawet jeśli mówicie tym samym językiem, słowa nie zawsze znaczą to samo.

Ruszyłem w stronę domu i omal nie rozdeptałem Mayi.

Garret 03 Zimne Miedziane lzy

XIV

Wyskoczyła znikąd. Nie usłyszałem najmniejszego szelestu. Roześmiała się.

- Co robiłeś z tą kobietą, Garrett? - Jakbym słyszał Tinnie zadającą to samo pytanie. Co się dzieje?

- Zjedliśmy razem kolację. Masz coś przeciwko?

- Mogłabym. Mnie nigdy nie zabrałeś na kolację. Wyszczrzyłem zębiska.

- Jej też nie. To ona przyszła do mnie. Chciałabyś wybrać się ze mną gdzieś na elegancką kolację? Do Żelaznego Kłamcy? Proszę bardzo, ale najpierw musisz się wykąpać, uczesać, włożyć na siebie coś bardziej oficjalnego. - Zachichotałem. Już widziałem salę w Kłamcy po wejściu Mayi. Goście rozbiegliby się jak karaluchy po włączeniu światła.

- Nabijasz się ze mnie.

- Nie. Może trochę za bardzo krążę wokół tematu, ale chcę ci tylko powiedzieć, że czas już dorosnąć. - Miałem nadzieję, że nie należy do tych chukos, którzy boją się dorosłości.

Usiadła na schodkach. Księżyc oświetlał jej twarz. Pod warstwą brudu była ładniutka. Gdyby się do tego przyłożyła, mogłaby nawet łamać męskie serca. Musi jednak najpierw dogadać się ze swoją przeszłością, dopiero wtedy będzie mogła zaatakować przyszłość. Jeśli tak dalej pójdzie, za piętnaście lat będzie jeszcze jedną wypaloną dziwką, żywiącą się na śmietniku, bezbronną, pomiataną przez wszystkich.

Usiadłem obok niej. Chyba chciała pogadać. Milczałem. I tak już dość powiedziałem.

- Nikt już nie obserwuje twojego domu, Garrett. Ani Wampiry, ani nikt inny.

- Pewnie zrezygnowali, kiedy usłyszeli o Śniegulu i Docu.

- Hę?

- Kacyk ich unieszkodliwił.

W milczeniu przetrawiała tę informację.

- Dlaczego? - zapytała wreszcie.

- Chodo nie lubi ludzi, którzy go nie słuchają. Kazał im dać mi spokój, a oni nie posłuchali.

- Po co cię chroni?

- Wyobraża sobie, że jest mi coś winien.

- Otarłeś się o wielu ludzi, prawda?

- Nie raz i nie dwa. Z reguły okazuje się, że lepiej było ich nie znać. Na tym świecie jest mnóstwo złych ludzi.

Przez chwilę siedziała bez słowa. Coś jej chodziło po głowie.,

- Spotkałam dzisiaj paru takich, Garrett.

- Tak?

- Tych facetów, których kazałeś unieszkodliwić. Wykorzystałam Cleę, bo ona podnieciłaby nawet posąg. Omal jej nie zabili. - Zaczęła dość obrazowo opisywać, jak się znęcali nad trzynastolatką.

- Przykro mi, Mayu. Nie wiedziałem, że są... mogę jakoś pomóc?

- Nie. Umiemy zatroszczyć się o swoich. Nabrałem złych przeczuć.

- A dwóch Smithów? - Potępione na pewno nie okazały litości. Zastanawiała się przez chwilę, ile mi powiedzieć.

- Zamierzałyśmy obciąć im jaja. - Rzeczywiście, to był podpis Potępionych. - Ale ktoś to zrobił przed nami.

- Co?

- Obydwu. Ktoś im wszystko poobrzymał. Musieli kucać jak baby.

To zaczynało być upiorne. Od dawna nie produkuje się eunuchów, nawet w charakterze kary za przestępstwo.

- Tylko połamałyśmy im kulasy.

- Przypomnij mi, żebym nie naraził się twoim siostram. Dowiedziałyście się czegoś?

- Garrett, gdyby ci faceci się nie ruszali, to by ich nie było w ogóle. Mieli tylko to, co na grzbiecie. Powinieneś widzieć tę babę spod Błękitnej Butelki. Krowa.

- Dziwne, coraz dziwniejsze. Co o tym myślisz, Mayu?

- Ja nie myślę, Garrett. To twoja robota.

- Co?

- Kazałeś załatwić facetów, którzy filowali tę chatę. A dzisiaj spacerujesz tu z Gili Płowy Świt, ona cmoka cię w policzek... Zdaje się, że to dla niej pracujesz, i mam nadzieję, że wiesz, co robisz.

- Tego imienia nawet nie znałem. Powiedziała mi, że nazywa się Jill Craight. Znasz ją?

- Była już w Potępionych, kiedy tam trafiłam. Nigdy nie mówiła prawdy, jeśli wystarczyło kłamstwo. Zmieniała nazwiska co tydzień. Toni Baccarat, Willi Gold, Brandy Diamond, Cinnamon Steele, Hester Podegill. To ostatnie brzmiało wystarczająco głupio, żeby być prawdziwe. Ciągłe zmyślała, kim była jej rodzina i jakich zna sławnych ludzi, i co to ona nie zrobiła. Trzymała się głównie z najmłodszymi, bo wszystkie starsze już ją rozszyfrowały i nikt nie chciał słuchać tych pierdoł.

- Czekaj. Hester Podegill?

- Aha. Jedno z jej tysiąca i jeden imion. - Spojrzała na mnie dziwnie.

Gdzieś w najgłębszych zakamarkach mojej pamięci odżyło nazwisko Podegill. Sąsiedzi, z dawnych czasów. Kupa córek. Kilka zaszło w ciążę w wieku trzynastu lat. Zacząłem sobie przypominać plotki i to, co sąsiedzi mówili o rodzicach... Mieszkali... chyba na trzecim. A ta mała, blondynka imieniem Hester, miała z dziesięć lat, kiedy poszedłem do marines.

Ale Podegillowie nie żyją.

Mój brat napisał w życiu tylko jeden list, w którym opowiedział mi, jak zginęli w pożarze. Tragedia naprawdę go podłamała. Chyba czuł coś do jednej z dziewczyn.

Ten list krążył dwa lata, zanim do mnie dotarł. W tym czasie mój brat był już w Kantardzie od roku. I wciąż tam jest. Jak wielu innych nigdy nie wróci do domu.

- Czy to nazwisko coś ci mówi, Garrett? - cicho zapytała Maya.

- Przypomniało mi brata. Od bardzo dawna o nim nie myślałem.

- Nie wiedziałam, że masz brata.

- Już nie mam. Zginął na Flat Hat Mesa. Przypomnij mi kiedyś, pokażę ci medal, który dali za niego mojej matce. Włożyła go do pudełka z innymi: za jej ojca, dwóch braci i mojego ojca. Ojciec zginął, kiedy miałem cztery lata, a Mikey dwa. Kiedyś, jeśli się bardzo postarałem, mogłem sobie przypomnieć twarz taty. Teraz już nie.

Przez kilka sekund milczała.

- Nigdy nie wyobrażałam sobie, że masz jakąś rodzinę. Gdzie jest teraz twoja mama?

- Nie żyje. Kiedy dali jej medal za Mikeya, poddała się. Nie miała już po co żyć.

- Ale ty...

- W pudełku jest jeszcze jeden medal. Wybito na nim moje imię. Marines przesłali go na cztery

dni przedtem, zanim Armia przysłała medal Mikeya.

- Dlaczego? Przecież cię nie zabili.

- Myśleli, że zginąłem. Nasza grupa znajdowała się na wyspie, którą opanowali Venageti. Twierdzili, że nas wszystkich zabili. A tak naprawdę uciekliśmy na bagna i żywiliśmy się baziemi, ważkami i jajami krokodyli, kiedy nam wpadły w ręce. Mama już nie żyła, kiedy przyszły dobre nowiny po odzyskaniu wyspy przez Karentę.

- To smutne. Przykro mi. To niesprawiedliwe.

- Życie nie jest sprawiedliwe, Mayu. Nauczyłem się z tym żyć. Zazwyczaj wcale o tym nie myślę. Nie pozwalam, żeby mnie kształtowało, żeby mną kierowało.

Burknęła coś. Zacząłem prawić jej kazanie, a ona już była gotowa zareagować tak jak każdy inny dzieciak. Siedzieliśmy tam od dziesięciu minut, a wydawało się, że upłynęło pół nocy.

- Ktoś idzie - powiedziała zimno.

Garret 03 Zimne Miedziane lzy

XV

Tym kimś była Jill Craight Wyglądała, jakby zobaczyła wujcia zombi i jego siedmiu braci. Przebiegłaby koło nas, gdybym jej nie zawołał po imieniu.

- Jill!

Zapisała i podskoczyła. Potem mnie rozpoznała.

- Garrett, właśnie szłam do ciebie. Nie wiedziałam, co robić - głos jej drżał. Spojrzała na Mayę, ale jej nie rozpoznała.

- Co się dzieje? Jill przełknęła ślinę.

- Tam... tam są trzy trupy. W moim mieszkaniu jest trzech martwych ludzi. Co mam robić?

Wstałem.

- Zobaczmy to.

Maya podskoczyła i wprosiła się na trzeciego. Jill była zbyt roztrzęsiona, żeby na to zwracać uwagę. Uznałem, że będzie bezpieczniejsza z nami niż sama.

Koło drzwi domu Jill zauważyłem coś, czego nie mogłem dostrzec wcześniej, w gorszym oświetleniu - krew. Kobiety nic nie zauważyły.

Znalazłem w środku jeszcze kilka plam, nic, co zwróciłoby uwagę kogoś, kto nie wie, czego szukać. Zauważyłem, że budynek był w lepszym stanie niż inne.

Schody oświetlone były lampami na półpiętrach. Skradając się na drugie piętro, łowiłem uchem oznaki życia: najpierw śmiech kobiety, ostry i głośny, jak brzęk tłuczonego szkła, potem inne odgłosy - ta, która je wydawała, musiała albo świetnie się bawić, albo cierpieć z powodu ciężkiego bólu brzucha.

Na korytarzu drugiego piętra znajdowało się czworo drzwi, spoza których dochodziły właśnie te odgłosy. Na pierwszym piętrze drzwi było tyle samo - mieszkania nie mogły być duże, ściany nie tłumiły dźwięków. Jak to się stało, u licha, że zabito trzech facetów, a cała kamienica najspokojniej w świecie zajmowała się dalej swoimi sprawami, zamiast wrzeć jak mrowisko?

Ponieważ Jill mieszkała dużo wyżej, jej piętro miało już swoją klasę - tylko dwa większe apartamenty.

- Kto mieszka po drugiej stronie?

- Teraz nikt. - Jill pchnęła drzwi do swojego mieszkania. - Jest puste.

- Czekaj. - Dla pewności chciałem wejść pierwszy. Sprawdziłem drzwi. Zamek był zaprojektowany na zatrzymanie tylko uczciwych ludzi. Każdy z odrobiną wprawy i umiejętności mógł go sforsować.

Ktoś bez wprawy i umiejętności użył łomu zamiast klucza. I nikt tego nie usłyszał?

Ludzie chyba wolą zajmować się własnymi sprawami.

Pokój wydawał się nietknięty. Był o wiele bardziej bogato urządzone, niż Jill Craight mogłaby sobie pozwolić. Widziałem mniejsze luksusy w domach na Górze.

Jill Craight miała zatem tatuśka. Albo miała haka na kogoś, kto miał dużo do stracenia, co wyjaśniałoby przy okazji te wszystkie próby wtargnięcia i śledzenia. Może miała jakiś cholernie wyraźny, śmiertelny dowód.

Ślady krwi wiodły do lekko uchylonych drzwi. Pokój miał wymiary osiem na osiem stóp, i był

zawalony różnościami. Właśnie, różnościami. Trudno to było nazwać inaczej. Jill najwyraźniej należała do gatunku chomików.

Pośród sterty bibelotów leżał rozpostarty trup. Blondyn, po dwudziestce, nosił na twarzy nieomylnie znaki długiego pobytu w Kantardzie. Mógłby być przystojny, ale na jego twarzy malowało się zaskoczenie i smutek. I był bardzo, bardzo martwy.

- Wiesz, kto to? - zapytałem.

- Nie - odparła Jill. Maya potrząsnęła głową. Zmarszczyłem brwi i dziewczyna natychmiast wypuściła z ręki srebrny bibelocik, który zamierzała zwinąć.

- Chyba zaskoczył kogoś, kto grzebał w twoich rzeczach. A to zaskoczyło ich obydwu. - Przekroczyłem nieboszczyka.

Następny pokój zapewne służył Jill do spania i spłacania czynszu. Właśnie tak wyglądał.

Tu były jeszcze dwa trupy, wszędzie pełno krwi, jakby ktoś przynosił ją wiadrami i chlustał dookoła. Wyglądało to tak, jakby kilku ludzi goniło faceta od przedpokoju, a inni odcięli mu drogę w drzwiach sypialni. Oba ciała leżały koło drzwi.

Może jeśli jesteś Craskiem albo Sadlerem, albo nawet Morleyem Dotesem, stajesz się taki, że czerwone msze na ciebie nie działają. Mnie całą minutę zajęło samo uruchomienie mózgu, a co tu mówić o analizowaniu położenia plam i sposobu, w jaki porzrzućane były rzeczy. Podszedłem bliżej, żeby przyjrzeć się zwłokom.

Nie wiem, jak długo to trwało. Chyba chwilę. Jill dotknęła mojego ramienia.

- Garrett? Wszystko w porządku? - W jej oczach nie było ani śladu lodu. Zza stosu masek wyjrzała całkiem po ludzku zatroskana kobieta.

- W porządku. - Tak bardzo w porządku, jak bardzo może być, gdy patrzy się w martwą twarz gościa, którego nie dalej niż trzydzieści godzin temu miałem po drugiej stronie stołu na kolacji.

Co u cholery robił Pokey w domu Jill, nie mówiąc już o tym, że dał się tam zabić? Przecież przekazał zadanie Saucerheadowi, a ten został wylany przez Jill, zanim jeszcze zaczął.

Podszedłem do łóżka, znalazłem kawałek czystego miejsca i usiadłem. Musiałem chwilę pomyśleć.

Pokey nie był może nawet bliskim przyjacielem, ale szanowanym kolegą po fachu. A kiedy mu się to przydarzyło, pracował dla mnie. Nie byłem mu nic winien, ale coś sprawiło, że znalazłem się w miejscu, gdzie nic nie miało sensu. Musiałem dostać tego, kto to zrobił.

- Garrett - Maya odezwała się po raz pierwszy od wejścia, ale coś w tonie jej głosu powiedziało mi, że to ważne.

Była w przedpokoju, w kucki przy jednym z trupów. Podszedłem do niej. Jill została w drzwiach, dopiero teraz zauważając obecność Mayi. Nie wyglądała na szczęśliwą.

- Co?

- Ściągnij mu spodnie.

- Że co?

- Zrób to, Garrett, po prostu to zrób.

Maya była zbyt poważna na głupie kawały. Spełniłem polecenie, a moja twarz przyjęła uroczy odcień różu.

- He?

Facet został chirurgicznie i dokładnie wykastrowany. Rany już się zagoiły, ale blizny wciąż jeszcze były jadowicie czerwone. Zrobili mu to po powrocie z Kantardu.

Wzdrygnąłem się, jakby przeszło po mnie stado pajaków, depcząc zimnymi piętami.

- To ohydne - szepnęła Jill.

Zgodziłem się z nią. Zgodziłem się z nią w każdym cholernym calu tej przeklętej sprawy. Ta plątanina blizn sprawiła, że żołądek obił mi się o zęby.

Nie miałem na to ochoty, ale podszedłem i sprawdziłem drugiego faceta.

Był starszy. Blizny straciły kolor już dawno temu.

Z powrotem usiadłem na łóżku. Po chwili odezwałem się do Jill:

- Nie możesz tu zostać. Ktoś przyjdzie to posprzątać.

- Myślisz, że mogłabym zostać z tymi wszystkimi trupami? Zglupiałeś?

- A masz gdzie iść?

- Nie.

No jasne, to było do przewidzenia

- A co z twoim przyjacielem?

- Nie wiem. To on się ze mną kontaktuje.

Jasne, że tak. Żaden mąż nie chciałby zobaczyć kochanki w drzwiach własnego domu. Ciekawe, czy powiedział jej, jak się naprawdę nazywa?

- Weź tyle rzeczy, ile potrzebujesz na kilka dni.

Teraz musiałem wybrać. Chciałem dorwać tych, którzy zwiali. Pozostawili krwawy ślad. Ktoś jednak musi odprowadzić Jill do mojego domu.

Spojrzałem na Mayę, której twarz była dziwnie zielonkawa.

- O, nie, Garrett - zaproponowała. - Idę z tobą.

Cholera, czy nie wystarczy, że ludzie w moim wieku odczytują mi myśli z głowy? Już się za to zabierają i dzieciaki?

- Sama pójde do ciebie, Garrett - zaproponowała Jill.

Nie sprzeczałem się. Na liście moich ulubionych ludzi Jill nie zajmowała wysokiej pozycji.

- Masz tu latarnię? Powiedziała, gdzie mogę ją znaleźć.

Garret 03 Zimne Miedziane lzy

XVI

Panowała cisza, ale ta akurat nie trąciła kłopotami. Po prostu, nikogo nie było w pobliżu.

Było dobrze po północy, ale to nie miało dla mnie większego znaczenia. Ludzie poszli spać, za to na ich miejsce wyszły gnomy, gobliny, ludzie-szczury i nie wiadomo co jeszcze, żeby udać się do swych nocnych zajęć.

Otwarłem osłonę latarni, szukając śladów krwi. W miarę, jak wysychały, coraz trudniej było je zauważyć.

- Skąd się wzięły te wszystkie światła? - zapytała Maya. - Musiało się tam palić ze dwadzieścia lamp.

- Tu mnie masz. - Rzeczywiście, było tam jasno. A ja nie zwróciłem uwagi. - Chyba chcieli widzieć, co robisz.

- Nieźle jej się wiodło, odkąd opuściła Siostry.

- Skoro tak twierdzisz... - Czy ona ma zamiar zatrajkotać mnie na śmierć?

- A ty tak nie uważasz?

- Czy taki jest ten wasz życiowy cel? Żeby jakiś bogaty gnojek trzymał cię w mieszkaniu pełnym trupów? Ci faceci zjawili się w jej życiu, bo w jakiś sposób stanowili jego część.

Dało jej to do myślenia i wreszcie miałem chwilę spokoju. Nie na długo.

- Widziałeś, w tym jej wyfiokowanym saloniku miała prawdziwe szklane okna!

- Aha. - To akurat zauważyłem. Prawdziwe szkło jest drogie. Wiem, bo sam musiałem wymienić kilka szyb. To akurat wywarło na mnie wrażenie.

- W tamtym drugim mieszkaniu też były.

- Aha, no i co z tego?

- Ktoś nas stamtąd obserwował, kiedy wychodziliśmy.

- O? - Interesujące. - Jak wyglądał?

- Nie wiem nawet, czy to był on, czy ona. Widziałam tylko twarz i tylko przez sekundę. Miałam szczęście, że w ogóle ją zauważyłam.

Burknąłem coś, nie zwracając na nią uwagi. Plamy był coraz gorzej widoczne, jakby ten, który krwawił, już wylał z siebie większość soku. Szliśmy coraz wolniej.

Ślad wiódł w alejkę tak wąską, że człowiek na koniu straciłby kolana, gdyby się w nią zapuścił. Nie było to sympatyczne miejsce. Poświeciłem, ale nic nie dojrzałem.

- Chyba tam nie wejdiesz?

- A żebyś wiedziała, że wejdę. - Wyciągnąłem moje mosiężne kastety. Niestety, nie miałem ze sobą mojej ukochanej „łamiągówki”. Nie wydawała się odpowiednią częścią wieczorowego stroju.

- Czy to mądre?

- Nie. Mądre byłoby wrzucić cię tam najpierw i zobaczyć, co cię zeżre. - Albo Maya była już zmęczona, albo to ja stałem się nieznośny. - A w ogóle to dlaczego się za mną wleciesz?

- Muszę się nauczyć zawodu. Muszę też dowiedzieć się, co z ciebie za facet. Pokazujesz się z dobrej strony, ale nikt nie jest aż tak przyzwoity. Jest w tobie coś dziwnego. Muszę się dowiedzieć, co to takiego.

Maya chyba naprawdę była zmęczona. Dziwny! Żadna kobieta jeszcze mnie tak nie nazwała.

- Po co ci to?

- Mam zamiar wyjść za ciebie.

- U-a! - Skoczyłem w alejkę, nawet nie usiłując przedtem rzucić kamieniem. Teraz nie było już tam niczego, co mogłoby mnie przestraszyć.

Po dziesięciu krokach w ciemności znalazłem trupa. Ktoś oparł go plecami o budynek, usadowił wygodnie i pobiegł po pomoc, a ten po prostu wykrwawił się na śmierć.

Kucnąłem i przeszukałem go. Maya trzymała latarnie.

Dalej był martwy. Nie miał mi nic do powiedzenia. Chyba jeszcze bardziej martwił się tą sytuacją niż ja. No, ale on nie narzekał.

Zabrałem latarnię i poszedłem dalej.

Było jeszcze trochę krwi, ale niedużo.

Pokey dobrze im przetrzepał skórę.

Ślad urywał się na następnej ulicy. Obejrzałem wszystko najlepiej, jak mogłem, ale nic nie znalazłem.

- I co teraz zrobimy? - zapytała Maya.

- Wynajmiemy specjalistę. - Ruszyłem przed siebie. Dogoniła mnie.

- Czy to cię w ogóle nie rusza? - zapytałem. Była zimniejsza od Jill Craight.

- Pięć lat byłem na ulicy, Garrett. Rusza mnie tylko to, co ludzie chcą zrobić mnie.

O, nie, nie była aż takim twardzielem. Ale znajdowała się na dobrej drodze.

Wielka, wielka szkoda.

Garret 03 Zimne Miedziane lzy

XVII

Nieraz wydaje mi się, że Morley nigdy nie zamyka budy. Tak naprawdę to zamyka, ale o tej ponurej porannej godzinie, kiedy jedynie największe łotry i zboczeńcy pozostają na nogach. Od południa do pierwszego brzasku knajpa obsługuje swą niezwykłą klientelę.

Przerzedziło się, ale ze czterdzieści par oczu odprowadzało nas od wejścia do kontuaru. Oczy nie były wrogie, może trochę zaskoczone.

Za kontuarem stał Klin. Ze wszystkich zbirów Morleya on jest najgrzeczniejszy.

- Hej, Garrett. Panienko... - Skinął głową Mayi, jakby nie wyglądała jak śmierć na chorągwi, a pachniała jeszcze gorzej.

- Morley nie śpi?

- Ma towarzystwo. - Sposób, w jaki to powiedział, sugerował, że nie były to negocjacje związane z interesami.

- Postanowienie nie przetrwało próby czasu. Klin błysnął kłami w uśmiechu.

- Byłeś w puli?

- Nie, ale te łobuzy na pewno były.

Klin podszedł do tuby, przez chwilę gadał i słuchał, gadał i słuchał, po czym wrócił.

- Zaraz przyjdzie. W międzyczasie kazał podać wam kolacje. Na koszt firmy.

Uh.

- To wspaniale - odezwała się Maya, zanim zdążyłem odmówić. - Mogłabym zjeść konia.

- Tu na pewno nie zjesz - burknąłem. - Końskie ziele, koński koper, końskie goździki, końskie porcje, owszem, ale...

Klin ryknął za siebie, żeby podali dwa specjalne i pochylił się nad ladą.

- Czego potrzebujesz, Garrett? Może zaoszczędzimy czasu. Spojrzałem na Mayę. Uśmiechnęła się. Cholera, doskonale wiedziała, że Klin jest dla mnie taki miły, bo jestem z kobietą.

Jakim cudem wyłazi to z nich w tak młodym wieku?

- Potrzebuję szperacza. Klin. Dobrego. Usiłuję wysledzić faceta.

- Zimny trop?

- Nie całkiem. Krwawił. Ale stygnie.

- Czekał no. Chyba wiem, czego ci trzeba. - Poszedł do kuchni. Jego miejsce zajął inny mieszaniec człowieka i elfa. Młodszy. Wziął dwa talerze, postawił, dorzucił sztucce, spojrzał na Mayę, jakby się zastanawiał, czy to zaraźliwe, i ruszył w drugi koniec, żeby wziąć od kogoś zamówienie.

- Ten tutaj to żaden książę - mruknęła do mnie Maya. - Ale tamten starszy był w porządku.

Zezem spojrzała na talerz.

Danie specjalne wyglądało jak smażona trawa na porcji blanszowanych robali, pokrytych śluzowatym sosem, pełnym kawałków purchawek i malutkich strzępków czarnego futerka.

- Nic dziwnego, że wegetarianie są tacy paskudni - mruknałem. Maya rzuciła się na swoją porcję. Kiedy przerwała jedzenie, żeby złapać oddech, stwierdziła:

- To wcale niezłe.

Zacząłem skubać grzybki z mojego talerza. Miała rację. Ale nie przyznałbym tego na głos, przy

świadkach.

- Klin to też nie książe - mruknąłem. - Wyciąga ludzi nad rzekę, przywiązuje im kamienie do nóg i mówi, że będą się ścigali do brzegu. Mówi, że wypuści ich na wolność, jeśli go wyprzedzą. Słyszałem, że kilku wiosłowało jak diabli całą drogę, aż na dno.

Spojrzała, żeby sprawdzić, czy nie żartuję. Zobaczyła, że nie.

Cóż, może trochę przesadziłem, ale Klin wcale nie należał do przyjemniaczków. Morley nie ma takich typów w swojej służbie.

- Czy nie ma już porządných ludzi? - Znowu, diablica, czytała w moich myślach.

- Są. Tylko rzadko się ich spotyka.

- Nazwij choć dwóch - nalegała.

- Dean. Moja przyjaciółka, Tinnie Tate. Jej wujek Willard. Mój kumpel, Koleś.

- No dobrze.

- Nie wspomnę, że o sobie także mam nie najgorszą opinię.

- Jasne, że tak. Powiedziałaś przecież, że dobrze. Zapomnij, że w ogóle pytałam. Nie chcesz już jeść? Daj, skończę.

Popchnąłem talerz w jej stronę. Gdzie ona to wszystko mieści?

Klin wrócił z najbardziej paskudnym człowiekiem-szczurem, jakiego zdarzyło mi się oglądać. Miał w sobie dużo starej krwi: długie wąsy, długi ryj, placki futra, ogon na cztery stopy. Potomek jednego z mniej udanych eksperymentów sprzed dwustu lat, kiedy to modna była magia życia i ktokolwiek coś z niej dziabnął, próbował stworzyć nowe formy życia. Nikt już nie pamięta tych magów, ale ich dzieła pozostały z nami. Zwłaszcza że najchętniej zabawiali się szczurami.

Uważam się za człowieka o szerokich horyzontach i pozbawionego uprzedzeń, ale zawsze jakoś udawało mi się znaleźć pretekst, żeby wyłączyć z tego ludzi-szczury. Nic na to nie poradzę. Nie lubię ich, a nie spotkałem żadnego, który zrobiłby cokolwiek, by poprawić moją opinię w tym względzie.

Klin przedstawił mi szczura:

- To jest Shote. Najlepszy szperacz, jakiego można znaleźć. I jest wolny.

Skinąłem Shote'owi, próbując schować uprzedzenia do kieszeni.

- Klin powiedział ci, o co chodzi? Shote kiwnął głową.

- Sszukaćśś kwawiaćśśego męśźśźczyzśśny...

Wyszczrzyłem zęby. Co jak co, ale mężczyznomi to już ja bym ich nie nazwał.

- Mniej więcej. Mam dobry punkt startowy. Nie powinno być ciężko.

- Dwie marki zsss górrrry. Poprrrowadzzzę ćssię do konćssa śrradu. Tylko śrrredzę. Żadnej warnki, żadnej zassadzki, w ogórrre nic takiego.

- W porządku, mnie to wystarczy. - Wyciągnąłem dwie srebrne marki.

Przyszedł Morley, oparł się o ladę obok mnie, spojrzał na Maye.

- Czy nie wybierasz sobie trochę za młodych?

- To Maya, mój samozwańczy asystent i uczennica. Mayu, to słynny Morley Dotes.

- Miło mi. - Obrzuciła go spojrzeniem. - To twój przyjaciel, Garrett?

Chyba poznała nazwisko.

- Czasami.

- Zaprosisz go na ślub?

Załatwiła mnie jednym ciosem i podcięła mi nogi.

- Jaki ślub? - Morley musiał się dowiedzieć, oczywiście.

- Jego i mój - słodko odparła Maya. - Postanowiłam, że za niego wyjdę.

Morley wyszczrzył się, przez co wyglądał jak cymbalki.

- Jasne, że przyjdę. Nie przepuściłbym takiej okazji, nawet za barkę złota.

Widziałem już ropuchy z węższymi gębami.

Zgrzytanie moich zębów słycać było chyba aż nad wodą.

- Maya Garrett? - Morley zadumał się. - Całkiem ładnie brzmi. O, Shote. Jak się masz?

Myślałem, że jesteś bezrobotny, Garrett

Chyba miał ogromny kłopot z tym, żeby się powstrzymać od śmiechu.

- Nie miałem roboty, ale teraz mam. Ktoś zlikwidował Pokeya Pigottę. Chciałbym się dowiedzieć dlaczego.

Uśmiech zniknął mu z cyferblatu, jak zdmuchnięty.

- Bierzesz to do siebie. - On chyba myślał, że wszystko biorę do siebie.

- Nie wiem. Pokey był w porządku, ale nie był dla mnie nikim bliskim. Chcę po prostu wiedzieć, dlaczego znalazł się tam, gdzie się znalazł, i dlaczego zginął.

Morley czekał, że mu powiem kiedy i gdzie, ale się rozczarował.

- Jesteś gotów? - zapytałem Shote'a. - Idziemy.

Maya wlała w siebie ostatki mojego selerowego drinka i odeszła do kontuaru. Uśmiechnęła się do mnie.

- Mogę się przyłączyć? - zapytał Morley.

- Jasne. - Przyda się, gdybyśmy w coś wdepnęli.

Garret 03 Zimne Miedziane lzy

XVIII

Spodziewałem się, że przyjaciele trupa zabiorą go, ale kiedy dotarliśmy do ciemnej alejki, leżał tam dalej i miał wszystko w nosie, jak pijak odsypiający obficie zakrapianą noc.

- Zostawili tego tutaj, a on wykorkował - wyjaśniłem. - Przynajmniej jeszcze jeden z nich krwawił, kiedy odchodzili.

Człowiek-szczur burknął coś i zaczął węszyć.

- Morley, chciałbym ci coś pokazać. - Podałem Mayi latarnię, a sam ściągnąłem denatowi portki.

- A ty co, zboczyło cię? - Morley zmarszczył czoło.

- Spójrz tylko. Widziałeś kiedy coś takiego?

Morley przyglądał się długo, bardzo długo. Nagle wzdrygnął się i potrząsnął głową.

- Nie. W życiu nie widziałem czegoś takiego. To choroba. Szaleństwo. Skąd wiedziałeś? W coś ty się chłopie wpakował?

- To już piąty dzisiaj. Wszyscy wygoleni na łyso. - Nie wnikałem w szczegóły.

- Kto pozwoliłby sobie coś takiego zrobić? - zdumiał się Morley.

- Na tym świecie jest mnóstwo szaleńców, stary.

- Nie myślałem, że ktoś może być aż tak szalony.

- To dlatego, że do myślenia służą ci jaja.

- Przygania motyka gracy.

- Jessteście gotowi? - Człowiek-szczur wydawał się urażony.

- W każdej chwili.

- Jedenn czrrowiek poszedrrr darrej. Bym ranny.

Postawcie się na moim miejscu. Prowadził, idąc na czterech łapach. Tylne nogi złożyły mu się jak u pasikonika, aż bolało patrzeć, ale jemu najwyraźniej nie przeszkadzało. Węszył, cmokał i gnał przed siebie, burcząc do Mayi, żeby zakryła to cholerne światło.

Ślad skierował się na południe, jakąś milę przez miasto, półtorej mili przez lepsze dzielnice, nie tak bogate jak granicząca z nimi Góra, ale zdecydowanie należące do klas średnich.

Zacząłem odnosić wrażenie, że coś ważnego mi umknęło. Podejrzywałem, że wiem coś, o czym nie wiem, że to wiem. Próbowałem przypomnieć sobie wszystko po kolei.

Nie powinienem był się zmuszać. To nigdy nie działa. Myślenie tylko mnie rozprasza.

Pościg skończył się jedną wielką, spektakularną klapą. Nasza ofiara czekała na nas w kolejnej ciemnej alejce.

- Mamtwy jak trrrup - oznajmił Shote. - Od kilku godzin.

- Był sam? - zdziwił się Morley.

- A nie mówiłem, że był sam? Był sam. Mówiłem, że był sam.

- Aleś ty wrażliwy.

Maya przeszukała ciało. Nie robiłem tego z innymi, z wyjątkiem pobieżnych oględzin, ale spodziewałem się, że nic nie znajdzie. Rzeczywiście, była to czysta stratą czasu.

- Nie wiedziałem, że stary Pokey ma w sobie coś takiego. Zawsze był z niego gaduła. Mógł wykręcić się ozorem z każdej sytuacji.

- Chyba nie miał czasu go użyć.

- I co teraz robimy? - zapytała Maya.

- Nie wiem. - Najchętniej poszedłbym do domu spać. Znaleźliśmy się w ślepych zaułku. - Możemy iść dalej tą drogą. Zobaczymy, a nuż coś nam podpadnie.

- Tam nic więcej nie ma - mruknął Morley. - Strefa Śmierci, Dzielnica Snów i Bagno Moralne. - Były to wulgarne nazwy społeczności dyplomatycznej, obszaru, gdzie znajdowały się główne świątynie TunFaire, oraz wąskiej wyspy, gdzie stały dwa domy pracy przymusowej, więzienie, szpital dla czubków i część szpitala charytatywnego Bledsoe. Bagno zostało otoczone wysokim murem, nie po to, żeby chronić przed dostępem, ale by zasłaniać przykry widok przed oczami przechodniów zdążających do Strefy Śmierci lub Dzielnicy Snów.

W Południowym TunFaire mieściło się o wiele więcej: przemysł, parki i rezerваты, stocznie, akry cementarza oraz większość zabudowań miejskich armii karentyńskiej. Ale wydawało mi się, że wiem, co Morley ma na myśli.

Istniała szansa, że nasi szaleńcy pochodzili właśnie z jednego z tych trzech obszarów. Trudno powiedzieć, gdzie było najwięcej wariatów.

- Ktokolwiek wysłał tych ludzi, ciekaw jest pewnie, co się z nimi stało - zauważyłem. - Wracam tam, gdzie zabili Pokeya, i zaczekam, aż ktoś się pojawi.

Maya uznała, że to dobry pomysł. Morley wzruszył ramionami.

- Miałem ciężki dzień. Idę się przespać. Garrett, powiesz mi, jeśli cokolwiek znajdziesz. Idziesz do domu, Shote?

Szczur mruknął coś pod nosem.

Nagle błysnęła mi myśl. To się zdarza. Tak samo jak plamy na księżycu.

- Czekaście, chciałbym, żebyście rzucili na coś okiem. - Wyjąłem moją kartę z monetami. - Poświeć tu, Mayu.

- Monety świątynne - mruknął Morley. - Nie wiem, co to za jedne.

Maya i Shote też nie potrafili mi nic powiedzieć.

- Czy one mają coś wspólnego z tym tutaj? - zapytał Morley.

- Nie. Mają coś wspólnego z tymi, którzy nasłali na mnie Śniegula. Ten, kto ich wynajął, zapłacił im w tej monecie.

Morley zasnuował usta.

- Sprawdź w Urzędzie Probierczym. Powinni mieć wszystkie próbki prywatnych monet.

To był bardzo dobry pomysł. Żałowałem, że sam na to nie wpadłem. Podziękowałem mu i życzyłem dobrej nocy.

Garret 03 Zimne Miedziane lzy

XIX

Spokojnie wracaliśmy z Maya do domu. Chyba była tak samo wykończona jak ja. Nie próbowałem podtrzymać rozmowy.

Usiłowałem zachować czujność. Na chukos było trochę za późno, ale szedłem przez miasto w towarzystwie herszta Sióstr Potępienia, niemal w jej barwach. Sam się prosiłem o kłopoty.

Ale kłopoty nas nie dopadły. Spotkaliśmy jedynie masy ludzi-szczurów, którzy sprząтали, czyścili, szorowali, kradli wszystko, co nie było przybite gwoździami. Musiałem przyznać, że pracują na siebie, głównie robiąc to, czego nie chce robić nikt inny. To bardzo pracowity ludek.

Wróciliśmy na schody, na których wcześniej siedzieliśmy z Maya, kiedy Jill przyniosła złe wieści. Księżyc przesunął się po niebie. Miejsce nie było już oświetlone, za to dom Jill i owszem. Siadłem i obserwowałem.

Maya pomagała, jak mogła. Chyba nie miała wielkiej ochoty wracać do swojej kwatery. Po chwili odezwała się:

- Wampiry naprawdę próbowały cię zabić?

- No cóż, tak właśnie to wyglądało. - Wzruszyłem ramionami. - Teraz to już nie ma znaczenia.

- Nie? Ten Śniegul to szaleniec. Będzie znowu próbował. Czy ona sobie kpi?

- Nie, nie będzie. On naprawdę nie żyje, Mayu. Ależ na mnie spojrzała.

Potem już niewiele rozmawialiśmy.

Wreszcie moja cierpliwość się skończyła. Tak to zwykle bywa, gdy jest się zmęczonym.

- Idę tam. Zobaczę, co się działo podczas naszej nieobecności. Maya poszła za mną. Poruszała się, jakby była wykończona.

Osiemnastolatka? Po tych paru godzinach? Do licha, przecież w tym towarzystwie to ja byłem wapniakiem.

Nie mieliśmy problemów z wejściem do bramy, zresztą podobnie jak przedtem. To znaczyło, że dom jest porządnie chroniony, choć, gdyby kobiety okazały się tym, o czym myślę, to wszystkie ślady prowadziłyby do Chodo. Jeśli dom należał do niego, a on przypadkiem dowiedział się, kim byli ci chłopcy, ktoś znalazł się teraz w niezłych opałach. Opryszki Chodo biorą się do roboty z zapalem i arogancją poborców podatkowych. Nie przestają cię nachodzić, nie masz nawet gdzie się ukryć.

W sieni panowała cisza. Sponsorzy udali się do domów, do mniej atrakcyjnych zajęć. Sponsorowane panie spały słodkim snem, a w ślicznych główkach tańczyły im marzenia o prezentach.

Wchodziliśmy po schodach powoli, ostrożnie. Przedtem lampy oświetlały nam drogę, ale teraz ktoś je pogasił. Uznałem, że to dozorca, ale nie zamierzałem wdepnąć w pułapkę tylko dlatego, że przypadkiem mógłbym się mylić.

Dotarliśmy do drzwi Jill. Nadstawiłem uszu. Nic. Pchnąłem drzwi. Otworzyły się do wewnątrz, cichutko, jak należy. Wsunąłem głowę do środka.

Wszystkie lampy już się wypaliły, z wyjątkiem dwóch, a i tym niewiele brakowało. Nie widziałem żadnego dowodu, że nie jesteśmy sami.

- Zobacz, może znajdziesz trochę oleju - poleciłem, a sam w tym czasie sprawdziłem ciała. Nie poszły sobie.

Kiedy wróciłem, Maya napełniała lampy.

- Skoro już tu jesteśmy, przetrząsnę to miejsce. Ci chłopcy czegoś szukali i nie znaleźli.

- Skąd wiesz? - Zapaliła kilka lamp.

- Nie mieli ze sobą nic, kiedy ich znaleźliśmy. A doliczyliśmy się wszystkich. Więc, cokolwiek to ma być, wciąż tu jest albo w ogóle nigdy tego tutaj nie było.

Tak mi się wydawało. Przynajmniej miałem taką nadzieję.

- Aha.

- Najpierw ten pokój, żebyśmy mogli zgasić światła. Miej oko na ulicę. Krzycz, gdyby ktoś szedł.

Przeczesałem pokój jak w poszukiwaniu wszy. Jill się wścieknie, kiedy się o tym dowie. Nie, ja jej tego nie powiem. Niech myśli, że to chłopcy.

Zdemolowałem meble w poszukiwaniu tajnej skrytki. Nie znalazłem nawet psiej kupy. A Maya nie widziała nikogo na ulicy.

- Pogaś światła, żeby nikt ich nie widział z zewnątrz, bo się zainteresuje. Odsuń się trochę, żeby księżyc nie oświetlał ci buźki. - Przypomniałem sobie o twarzy, którą widziała w oknie rzekomo pustego mieszkania. Może warto będzie zajrzeć i tam.

- W porządku.

- Zmęczona? - Przynajmniej na taką wyglądała.

- Tak.

- Pospiesz się.

- Zrób to porządnie, skoro już zacząłeś. Nie usnę. Szczerze w to wierzyłem. Nie chciałbym zostać zaskoczony jak Pokey.

Następny w kolejności był przedpokój. Dowiedziałem się tylko, że Jill nie umiała się z niczym rozstać. Są dwa typy takich ludzi - sentymentalisci, którzy trzymają wszystko, co jest im drogie, bez względu na wartość, oraz byli biedacy, którzy przechowują nawet najmniejszy drobiazg w obawie przed biedą. Zaliczyłem Jill do tej drugiej kategorii.

Następnie w ruch poszła kuchnia. Teraz dowiedziałem się, że Jill nie jadała w domu. W zasadzie, pomimo tego magazynu śmieci w przedpokoju, zacząłem podejrzewać, że Jill w ogóle tu nie mieszkała. Przyjmowała tylko kogoś i trzymała swoje rzeczy.

Nie zabrałem się do sypialni, dopóki nie przetrząsnąłem do cna innych pomieszczeń. Nie miałem wielkiej ochoty znowu nadebrać na Pokeya. Za bardzo mi przypominał, że życie takich jak my pełne jest zasadzek i niebezpieczeństw. Nieraz to wystarczało, żebym nie brał roboty.

Nie miałem ochoty, ale wreszcie tam poszedłem. Sprawdziłem wszystko pobieżnie, w nadziei że coś samo wyskoczy. Nie wyskoczyło. Właściwie i tak na to nie liczyłem. Same wyskakują jedynie problemy.

Wziąłem się zatem do roboty.

Wciąż nic.

Cóż, nie zauważyłem, żeby Jill była szczególnie głupia. Miała chyba mnóstwo zwiastunów nadciągającej burzy.

Ciekaw byłem, czy zabrała to coś do mnie do domu. Nie widziałem, jak się pakuje. Na pewno tak zrobiła, jeśli to coś można było przenieść.

Czyżbym stracił te kilka godzin, zamiast je spokojnie przespać?

Tylko jedna rzecz, na jaką natrafiłem, warta była pewnego zainteresowania.

Obok łóżka stała niewielka komoda. Bardzo kosztowne cacko. Górna szuflada była głęboka na dwa cale. Jill wrzucała tu drobne monety. Leżał tam pewnie z funt miedziaków. Dla niej były to grosze, choć po ulicy wałęsało się mnóstwo typów, gotowych pozbawić ją głowy dla mniejszej

sumy.

Usiadłem na łóżku, położyłem szufladę na kolanach i zacząłem grzebać w jej zawartości. Nie wszystkie monety były miedziane. Mniej więcej jedną na dwadzieścia znajdowałem srebrną dziesiątkę.

Mieszanina była dość eklektyczna, nowe i stare, królewskie i prywatne, jak to w kupie drobnych. Czy miałem oznajmić Mayi, że właśnie znaleźliśmy się na końcu tęczy?

Hurra! Doskonala, wprost z mennicy, siostrzyczka miedzianej monety na karcie w mojej kieszeni. Klejnocik sztuki menniczej. Wydobyłem ją...

Oczywiście, to jeszcze o niczym nie świadczyło...

- Garrett! - zawołała Maya.

Wsunąłem szufladę na miejsce i przeszedłem do salonu.

- Co się dzieje?

- Spójrz.

Spojrzałem. Na dole było sześciu ludzi. Łazili po ulicy i rozmawiali, starannie unikając patrzenia na dom.

- Jak wyjdziemy? - zapytała szeptem.

- Nie wyjdziemy. Patrz dalej. Jestem po drugiej stronie korytarza. Daj mi znać, kiedy wejdą do środka. - Wziąłem lampę, przebiegłem przez hol, przyklęknąłem i zabrałem się do roboty, używając mojego odchudzonego scyzoryka.

Akurat otworzyłem drzwi, kiedy Maya oznajmiła:

- Czterech już weszło.

Zgasilem lampę i zanurzyłem się w mrok, zakładając, że rozkład mieszkania jest odbiciem apartamentu Jill. Szedłem powoli, żeby jakiś łajdaki mebel nie podstawił mi nogi.

Przeszedłem może z osiem stóp, kiedy nagle ktoś przewrócił mnie tak, że o mało nie walnąłem łbem we własne pięty. Nie zdołałem go zobaczyć, usłyszałem tylko skrzek Mayi, kiedy przegalopował obok niej. Zrzuciłem z siebie krwiożerczy fotel o czternastu ramionach i nogach.

- Zamknij drzwi. Tylko cicho. -I co teraz zrobimy?

- Siedź cicho i módl się, żeby tu nie wleźli. Masz coś?

- Nóż.

Akurat to zawsze mają przy sobie. Dla chukos nóż to cześć duszy. Bez niego stają się byle cywilami.

- Przyjrzałaś się temu gościowi?

- Nie bardzo. Był łysy. Miał coś w ręku. Coś kanciastego, bo kantem przyłożył mi w cycek. Mało brakowało, a bym wrzasnęła.

- Nie mów tak.

- A co ja powiedziałam?

- Wiesz dobrze.... Szszsz! - Byli w holu. Próbowali zachowywać się cicho, ale znajdowali się na nieznanym terytorium i do tego w ciemnościach.

- I miał taki śmieszny nos - szepnęła.

- Śmieszny, to znaczy jaki?

- Wielki, zagięty. Jakby złamany czy coś.

- Szszsz!

Czekaliśmy. Po chwili posłałem Mayę, żeby pilnowała od strony okna, na wypadek gdyby wyszli niezauważeni. Sam zasadziłem się przy drzwiach, gdyby doszli do wniosku, że może jednak tu wpadną. Ciekaw byłem, co się stało z facetem, który zwiął.

Gdyby był jednym z nich, już mielibyśmy towarzystwo, a gdyby na nich wpadł, słysząc byłoby jakieś zamieszanie.

Czekaliśmy długo i cierpliwie. Niebo zaczęło się rozjaśniać, gdy Maya mruknęła:

- Wychodzą.

Podszedłem bliżej i zobaczyłem, że dwaj najpotężniejsi nieśli po jednym z lżejszych trupów, dwóch niosło jedne, cięższe zwłoki. Wszyscy szli bardzo szybko.

Uznałem, że mądrze byłoby pójść w ich ślady. Wziąłem zgaszoną lampę i poszedłem do mieszkania Jill, zobaczyć, czy nie uda mi się jej zapalić.

Zmitreżyłem tyle czasu, że Maya powitała mnie paniką.

- Wyczyścili wszystko tak, że wygląda, jakby się nic nie stało - oznajmiłem.

- Po co to zrobili?

- Pytaj mnie, a ja ciebie, i oboje będziemy wiedzieć.

- Masz zamiar śledzić tych facetów?

- Nie.

- Ale...

- Jest ich sześciu, a ja jeden. Będą szukać zwady. Już teraz są naprawdę bardzo nerwowi, gwarantuję ci. Byłem tam. Gdyby bogowie dali im odpowiednio dużo rozumu, pozbyliby się ciała, a potem rozeszli. Poza tym, jestem tak zmęczony, że nie uniknąłbym zasadzki, nawet gdyby umieścili nad nią tablicę informacyjną. Najlepiej zrobimy, jeśli pójdziemy spać.

- Chyba tego tak nie zostawisz? - w jej głosie brzmiała szczególna nuta.

- A co cię to obchodzi?

- Jak mam się nauczyć?

- Mayu, tu nie masz publiki. - Byłem zmęczony, wyłaził ze mnie kawał drania.

Przyjęła to jak policzek. Nie miała już nic więcej do powiedzenia.

W minutę później rozejrzałem się wokół siebie, ale Mayi już nie było.

Poczułem ukłucie wstrętu do samego siebie. Nie musiałem jej tak przydeptać. Wystarczyło to, co robili jej inni.

Garret 03 Zimne Miedziane lzy

XX

Spałem do południa. Kiedy doczłapałem się do kuchni, znalazłem tam Jill Craight i Deana, trajkoczących jak dwie stare plotkary, które nie widziały się od lat.

- I czego się dowiedziałeś ostatniej nocy? - zapytała Jill radośnie.

Dean aż wyciągnął szyję. Kiedy mnie wczoraj wpuszczał, nie pisałem ani słowa. Burczałem, parskałem i waliłem kopytami, a potem pogalopowałem do łóżka. Wszystko, co wiedział, usłyszał od Jill.

- Jedno wielkie nic - burknąłem. Klapnąłem na krzesło. Zawarczało w odpowiedzi. - Ten przeklęty Pokey walczył o wiele za dobrze. Wszyscy pozdychali, zanim dotarli tam, gdzie się wybierali.

Dean napełnił mi filiżankę.

- Pan Garrett jest zawsze trochę nieswój, nim zje śniadanie. Obnażyłem dziąsła i warknąłem z całego serca.

- Nie popisuj się tak, Garrett - upomniała mnie Jill. - I tak wiemy, że jesteś wilkiem.

- Auuu!

Roześmiała się, co trochę zbiło mnie z tropu. Czyżby królowe śniegu miały poczucie humoru? To niezgodne z przepisami.

- A więc wszyscy zginęli. To znaczy, że już po wszystkim?

- Nie. Nie znaleźli tego, czego szukali. Tym jednak zajmiesz się już sama. To twój problem.

Dean przyniósł mi talerz pełen ciepłych biszkoptów, słoik miodu, masło, sok jabłkowy i jeszcze więcej herbaty. Poranna przekąska dla szefa. Ale gość szefa jada na śniadanie lepiej niż król.

Jill podniosła na mnie wzrok.

- Powiedziałeś, że Pokey walczył za dobrze. Kto to taki? No i miałem za swoje. Gdybym był ostrożniejszy, nie musiałbym teraz gryźć się w język.

- Pokey Pigotta. Ten chudy nieboszczyk w twoim mieszkaniu. Był w tym samym fachu co ja. No, mniej więcej. Płaciłaś mu, a on znajdował różne rzeczy, zajmował się różnymi sprawami dla ciebie. Był najlepszy w tym, co robił, ale jego szczęście się skończyło.

- Znałeś go?

- Nie ma nas w tym bałaganie zbyt wielu. Znamy się wszyscy. Dean spojrział na mnie dziwnie, ale nie pisał ani słowa. Zamyśliła się na chwilę.

- Domyślasz się, kto go mógł tam posłać?

Nie miałem pojęcia, ale zamierzałem sprawdzić. - Nie.

- Chyba będę musiała znowu cię wynająć. Nie mogę tak żyć.

- Próbowалаś kiedyś biegać w nocy po ciemnym lesie?

- Nie, dlaczego?

- Bo kiedy to robisz, wciąż rozwalasz sobie głowę o rzeczy, których nie widzisz. Bieganie w ciemności skraca życie. Nie robię tego, za żadną cenę.

Dotarło do niej. Nie będę dla niej pracował, jeśli nie powie mi, co tu właściwie jest grane.

- I tak mam już wcześniejsze zobowiązania.

- To znaczy?

- Ktoś próbował mnie zabić. Chcę się dowiedzieć kto. Nie próbowała mnie od tego odwozić.- Weź Saucerheada Tharpe'a - zaproponowałem. - Nie jest geniuszem w prowadzeniu śledztwa, ale zapewni ci bezpieczeństwo. Myślałaś już, co mogłoby się stać, gdybyś była w domu, kiedy ci chłopcy tam weszli?

Widziałem, że tak. Była bardzo zakłopotana.

- Idź, złap Saucerheada. - Wstałem. Powiedziałem jej, gdzie go znaleźć. - Dean, na wypadek, gdyby Maya się tu pojawiła, powiedz jej, że bardzo przepraszam, że na nią napyskowałem. Na minutę zapomniałem, że nie jest zwykłą dziewczyną.

Twarz Deana przybrała wygląd suszonej śliwki. Wiedziałem, że zaraz powie coś, czego nie miałem ochoty słuchać.

- Panie Garrett? - Oto jest. Ciężka sprawa. Złe, złe nowiny... - Rano była tu panna Tate.

- Tak?

Suszona śliwka zwiędła całkiem.

- Ja... ee...

- Co powiedziała?

- Cóż, ja... Eee... Właściwie, Jill... to jest panna Craight... otworzyła drzwi. Panna Tate odwróciła się i odeszła, zanim zdążyłem wyjaśnić.

To cała moja Tinnie. Utrzymywała swoją wspaniałą figurę poprzez codzienne intensywne ćwiczenia w wyciąganiu pochopnych wniosków.

- Dzięki. - Uniosłem brew. - Wychodzę.

Zrobiłem to. Stałem na ganku i rozejrzałem się, zastanawiając się w duchu, co jeszcze może się spieprzyć.

Uznałem, że mam dwie możliwości do wyboru. Mogłem wybrać się do Królewskiego Urzędu Probierczego i sprawdzić pochodzenie świątynnych monet albo wybrać się do Dzielnicy Snów, do Magistra Peridonta, żeby znaleźć odpowiedź na pytanie, które drażyło mnie od chwili, gdy znalazłem Pokeya.

Mogłem jeszcze poszukać Tinnie. Ale akurat teraz wolałbym wybrać się na polowanie na gromojaszczury.

Urząd Probierczy wydał mi się dość interesujący, ale... Wyjąłem monetę, którą gwizdnałem z szuflady Jill. Podrzuciłem ją. Trudno. Wyskoczył mi Wielki Inkwizytor, to niech będzie.

Ruszyłem w drogę. Wlokłem się, udając zamyślonego, ale byłem dość czujny. Zauważyłem na przykład, że niebo jest zachmurzone, a lodowaty wiatr miota zeschniętymi liśćmi i śmieciami jak całą gromadą małych kociąt. O ile zdołałem zauważyć, nie było nic więcej do zauważenia.

Garret 03 Zimne Miedziane lzy

XXI

Chattaree, cytadela-katedra Kościoła, mieści się w środkowym punkcie Dzielnicy Snów. Patrzyłem na nią z drugiej strony ulicy, zastanawiając się, ileż to milionów marek pochłonęła budowa tej wapiennej potworności? A ile jeszcze, żeby ją utrzymać?

W mieście, gdzie brzydotę widzi się na co dzień, rzemieślnicy musieli nieźle wytężyć umysły, żeby Chattaree wyglądała dość potwornie. Dziesięć tysięcy bajecznych bestii warczy i ryczy z samego tylko frontonu katedry - podobno po to, by Grzech trzymał się w przyzwoitej odległości. Ten ostatni został przedstawiony w postaci plutonu paskudnych pomniejszych demonów. Może te potwory rzeczywiście działają. Czuję ciarki na plecach, wędrując w stronę schodów katedry.

Jest ich czterdzieści. Każdy ma nazwę i zatacza pełne koło wokół katedry. Wygląda to tak, jakby ktoś zaczął budować piramidę i w jednej trzeciej roboty nagle zmienił zdanie. Sama katedra rozpoczyna się trzydzieści stóp nad poziomem ulicy i strzela w niebo spiralnymi wieżami, pełnymi tych brzydkich chłopaków i różnych innych zawijasów. Stopnie są nierówne, co utrudnia niemiłym gościom składanie pospiesznych wizyt. Były czasy, kiedy

rywalizacja pomiędzy sektami odbywała się z zachowaniem znacznie mniejszej rezerwy.

Ciennice, w których, jak wieść gminna głosi, zabawia się Magister Peridont, znajdują się podobno w katakumbach wydrążonych poniżej stopni.

W połowie drogi natknąłem się na starego księdza. Uśmiechnął się i dobrodusznie skinął mi głową. Widocznie był to jeden z tych facetów, którzy są dokładnie tacy, jacy powinni być duchowni, i dlatego przez całe życie tkwią u stóp episkopalnej drabiny.

- Wybacz, Ojcze - zagadnąłem. - Możesz mi powiedzieć, gdzie znajdę Magistra Peridonta?

Sprawił wrażenie rozczarowanego. Przyjrzał mi się i stwierdził, że nie należę do grona wiernych. To go nieco zbiło z tropu.

- Jesteś pewien, mój synu?

- Jasne. Zaprosił mnie kiedyś, ale jeszcze nigdy tu nie byłem i nie wiem, jak do niego trafić.

Znowu spojrzał na mnie dziwnie. Zdaje się, że ludzie nie przychodzą tu w podskokach na piwko z Malevecheą, a przynajmniej nie codziennie. Wybełkotał coś tam po swojemu, to znaczy po kościelnemu, po czym, kiedy już zabrakło mu tematu, poradził mi, żebym zapytał gościa, który stoi na straży u bramy katedry.

- Dzięki, Ojcze.

- Nie ma za co, synu. Miłego dnia.

Wspiąłem się na kolejne stopnie i rozejrzałem po Dzielnicy Snów. Najbliższy sąsiad kościoła był jednocześnie jego najbardziej zawziętym konkurentem. O sto jardów na zachód rozpościerały się przepyszne ziemie bazyliki i bastionu Ortodoksów. Zza otaczających drzew kopuły i wieże miały dziwnie ponury wygląd. Ludzie wchodzili i wychodzili ze świątyni mniejszościowej, ale w tamtą stronę nie kierował się nikt. Panowała cisza, jak podczas oblężenia. Zdaje się, że skandale nie najlepiej wpływają na interesy.

Wszedłem do środka, znalazłem strażnika i go obudziłem. Nie był w najlepszym humorze. Humor jeszcze mu się pogorszył, kiedy wyjawilem, z czym przyszedłem.

- Czego od niego chcesz?

- Około dwudziestu minut.

Nie ząpał, ale taka już jego robota. Nie jest dość sprytny, żeby robić cokolwiek innego, nie jest proboszczem z byle jakiej parafii. To typ bez szyi, który w zasadzie pewnie minął się z zapaśniczym powołaniem. Zmarszczył brwi tak, że łańcuch górski na środku jego czoła sfałdował się i pomarszczył. Wydumał sobie, że się z niego nabijam, i wcale mu się to nie spodobało.

- Magister i ja jesteśmy starymi kumplami z czasów wojny. Idź i powiedz mu, że Garrett jest tutaj.

Powyżej pierwszego łańcucha górskiego pojawił się drugi. Stary kumpel Malevechei? Strażnik uznał widocznie, że musi działać ostrożnie, dopóki nie dostanie wyraźnego polecenia, żeby mnie sprzątnąć.

- Powiem mu, że tu jesteś. Ty pilnuj. Niech nikt stąd nic nie wyniesie. - Spojrzał na mnie tak, jakby się zastanawiał, czy i ja nie mógłbym obrabować ołtarza.

W sumie niezły pomysł, gdyby udało mi się uciec z łupem. Potrzebowałbym chyba całej karawany wozów, żeby wywieźć te cacka.

Nie było go przez dłuższą chwilę. Czekałem spokojnie, szczerząc zęby do przechodzących. Miejscowi wytrzeszczali na mnie oczy i marszczyli brwi, ale szli dalej, kiedy im mówiłem: „Jestem nowy. Nie zwracajcie na mnie uwagi” i popierałem to tępym uśmiechem.

Strażnik wrócił, mocno zakłopotany. Cały jego świat chwiał się w posadach. Spodziewał się, że Peridont każe mnie zrzucić ze wszystkich czterdziestu schodów.

- Masz iść za mną.

Ruszyłem, nieco zdziwiony, że tak mi szybko poszło. Dreptałem ostrożnie. Jeśli idzie tak łatwo, trzeba ostrożnie stawiać nogi, bo w trawie z reguły kryje się wąż.

Nie widziałem żadnych więźniów. Nie słyszałem jęków rozpaczki. Ale korytarze, którymi szliśmy, były wąskie i ciemne, i wilgotne, i pełne szczurów. Na pewno byłyby z nich śliczne lochy. Cholera, ależ byłem rozczarowany.

Bezszyi przyprowadził mnie do trupio bladego, łysego, krzywonośnego typu około pięćdziesiątki.

- To ten gość. Garrett.

Krzywonos wybałuszył na mnie ślepią.

- Doskonale. Zajmę się nim. Wracaj na posterunek.

Jego głos brzmiał jak chropowaty, zadyszany szept, jakby ktoś posplatał mu struny głosowe w warkoczyki. Trudno opisać, jakie to było upiorne, ale odniosłem dziwne wrażenie, że ten facet wybitnie świetnie się bawi przy wyrywaniu komuś paznokci.

Obrzucił mnie ponurym spojrzeniem.

- Po co chcesz się widzieć z Magistrem?

- A po co ci wiedzieć?

To go trochę zbiło z tropu, bo to, czego chciałem, naprawdę nie powinno go obchodzić. Odwrócił spojrzenie, opanował się, złapał papiery z biurka.

- Proszę iść ze mną.

Poprowadził mnie labiryntem przejść. Usiłowałem wyobrazić go sobie w skórze faceta, który ostatniej nocy przegalopował po mnie i po Mayi. Był łysy i miał śmieszny nos, ale miał też o stopę wzrostu za dużo.

Zapukał do drzwi.

- Sampson, Magistrze. Przyprowaździłem Garretta.

- Wejźcie.

Za drzwiami znajdował się pokój, dwadzieścia na dwadzieścia stóp i, jak na takie pogrzebane miejsce, dość przyjemny. Peridont też nie miał ascetycznego gustu.

- Widzę, że nieźle sobie radzisz.

Krzywonos wydał wargi, podał papierzyska, skłonił się Peridontowi i wybiegł, zamykając mi drzwi za plecami. Czekałem. Peridont milczał.

- Ten Sampson to paskuda - oznajmiłem.

Peridont położył papiery na stole, długim na dwanaście stóp, a na cztery szerokim. Zniknęły w stercie śmieci, która już tam się znajdowała.

- Sampson ma pewne wady, nie przeczę. Ale ma też zalety. A więc przemyślałeś sobie sprawę?

- Możliwe. Zanim się zupełnie zdecyduję, potrzebuję kilku informacji. Mogę okazać się dość dociekliwy.

Trochę go to zastanowiło. Przyjrzał mi się uważnie. Mój widok wszystkich dziś zwała z nóg. Zdaje się, że to moja nieomylna technika.

- No to zadawaj pytania. Chciałbym cię mieć po swojej stronie.

Nigdy nie ufam facetom, którzy pragną być moimi kumplami. Zawsze chcą czegoś, czego nie mam zamiaru im dać.

- Poznajesz? - Podsunąłem mu monety pod nos.

Położył kartę na stole, włożył dwuogniskowe binokle na nos i usiadł. Gapił się na nie przez pół minuty, po czym zdjął szkiełka i podniósł wzrok.

- Nie. Przykro mi. Czy one mają jakieś znaczenie w naszej sprawie?

- Na razie nic o tym nie wiem. Myślałem, że dowiem się, kto je wybił. To świątynna moneta.

- Przykro mi. To dziwne, nie? Powinienem je znać. - Jeszcze raz umieścił binokle na nochalę i przyjrzał się monetom. Oddał mi kartę. - Ciekawe.

Próbowałem.

- Może wróćmy do tematu. Czy po mojej odmowie wynająłeś kogoś innego?

Przez chwilę obracał w myślach to pytanie, zanim przytaknął.

- Czy to może był Pokey Pigotta? Wesley Pigotta? Nie otrzymałem odpowiedzi.

- To mały interes. Znam wszystkich w branży. Oni znają mnie. Pokey odpowiadałby twoim wymaganiom. A tuż po mojej odmowie wziął nowego klienta.

- Czy to ważne?

- Jeśli wynająłeś Pokeya, straciłeś najemnika. Pokeya zabito zeszłej nocy.

Nagle drgnienie i bladość mówiły same za siebie. - I co? Wielki pech?

- Tak. Opowiedz mi o tym. Kiedy, gdzie, jak, kto. I skąd o tym wiesz.

- Kiedy? Wczoraj w nocy, kiedyś tam po zachodzie słońca. Gdzie? Apartament na Shindlow Street. Nie potrafię powiedzieć kto. W grę wchodzi czterech ludzi. Żaden nie przeżył. Wiem, ponieważ osoba, która znalazła ciała, zapytała, co ma z nimi zrobić.

Burknął coś, pomyślał chwilę. Czekałem cierpliwie. - Dlatego przyszedłeś? - zapytał wreszcie. - Z powodu śmierci Pigotty?

- Tak. - Częściowo była to prawda.

- Przyjaciel?

- Znajomy. Szanowaliśmy się wzajemnie, ale zachowywaliśmy dystans. Wiedzieliśmy, że pewnego dnia możemy znaleźć się po dwóch różnych stronach.

- Wciąż nie widzę, co cię tu interesuje.

- Ktoś próbował zabić i mnie. Ja i Pokey jednocześnie? To mi nie wygląda na przypadek. Rozmawiam z tobą i ktoś zaraz próbuje mnie zgładzić. Wynajmujesz Pokeya, i ten już nie żyje. Ciekaw jestem dlaczego, ale jeszcze bardziej: kto? Mam ochotę trochę go ostudzić. Jeśli to ci pomoże, niech i tak będzie.

- Doskonale. Oczywiście, jeśli ludzie odpowiedzialni za śmierć Pigotty próbowali zabić także ciebie.

- No więc, kto to zrobił?

- Nie rozumiem, Garrett

- Dajmy spokój. Jeśli ktoś nie lubi cię tak bardzo, że gotów jest ukatrupić każdego, z kim rozmawiasz, to chyba musisz się domyślać, kto to taki. Nie może być ich aż tylu, żeby nie dało się wybrać jednego.

- Niestety, nie potrafię tego uczynić. Kiedy cię próbowałem wynająć, mówiłem, że czynione są zorganizowane wysiłki, aby zdyskredytować Wiarę, ale nie mam ani krzty dowodów, które wskazywałyby w jakimkolwiek kierunku.

Uraczyłem go moją sztuczką z brwią, przygotowując ten gest sporą dozą sarkazmu. Nie zwaliło go to z nóg. Muszę nauczyć się ruszać uszami.

- Jeśli chcesz, żebym odnalazł coś lub kogoś, na przykład Strażnika i jego Relikwie, musisz mi dać punkt zaczepienia. Nie mogę po prostu wrzasnąć „Gdzie jesteś, do cholery?!”. Szukanie kogoś to jak prucie starego swetra. Ciągniesz luźne nitki tak długo, aż wszystko się rozleci. Ale te luźne nitki trzeba najpierw znaleźć. Co dałeś Pokeyowi? Dlaczego był tam, gdzie był, kiedy go zabili?

Peridont wstał. Zaczął krążyć. Jego życie toczyło się w innym świecie. Był głuchy na wszystko, czego nie chciał usłyszeć. Ale... czy na pewno?

- Jestem niespokojny, Garrett. Dopóki jesteś poza tym, unikasz najbardziej kłopotliwych implikacji. A one, niestety, wiążą mi ręce i zamykają usta. Przynajmniej na razie.

- Ach! - Dałem mojej utalentowanej brwi ostatnią szansę. Znowu nie zauważył.

- Potrzebuje twojej pomocy, Garrett. Naprawdę bardzo potrzebuję. Ale to, co teraz usłyszałem, zmieniło moją perspektywę patrzenia na niektóre sprawy. Wbrew ogólnemu mniemaniu nie jestem prawem samym w sobie. Jestem drzewem w puszczy hierarchii.

- Wysokim drzewem. Uśmiechnął się.

- Tak. Wysokim. Ale jednym z wielu. Muszę skonsultować się z moimi braćmi i podjąć decyzję o wadze politycznej. Proszę wytrzymać te kilka godzin. Jeśli zechcą wnikać w sprawę głębiej, prześlę ci informacje, jakie posiadam. Jakakolwiek będzie decyzja, pozostaniemy w kontakcie. Dopilnuję, aby wynagrodzono cię za już wykonaną pracę.

Jakiż on troskliwy. Jakim cudem taki miły facet cieszy się tak niemiłą reputacją?

Jest taki miły, ponieważ chce czegoś ode mnie, a wie, że nie osiągnie tego, wtrącając mnie do celi i wyrwijając mi paznokcie.

- Muszę wyruszyć na moje własne łowy.

- Odnajdę cię w domu. Zanim pójdziesz...

- Czy mówi ci coś nazwisko Jill Craight? - wpadłem mu w słowo.

- Nie. A powinno?

- Nie wiem. Pokey zginął w mieszkaniu zajmowanym przez niejaką Jill Craight.

- Rozumiem. Zaczekaj minutę. - Otworzył szafkę. - Nie chcę stracić następnego człowieka. Dam ci coś, co obroni cię przed niespodziankami, które zaskoczyły Pigottę. - Zaczął macać pośród kilkuset małych butelek i fiolek, aż wybrał trzy.

Postawił je na stole, w szeregu, jak trzech kolorowych żołnierzy: ultramaryna, rubin i szmaragd. Każda wysoka na dwa cale. Każda zatkana korkiem.

- To najnowszy produkt mojej sztuki - rzekł. - Niebieskiej użyj tam, gdzie będzie ci potrzebne jak największe zamieszanie. Zieloną przyda się, jeśli jedynym rozwiązaniem będzie śmierć. Rozbij je lub odkorkuj. To nie ma znaczenia. Zacerpnął tchu, ostrożnie uniósł czerwoną fiolkę.

- To ciężka artyleria. Bądź ostrożny. Jest zabójcza. Rzuć nią o twardą powierzchnię co najmniej pięćdziesiąt stóp od siebie. I uciekaj, jeśli to możliwe. Nie chciałbyś znaleźć się w zasięgu jej działania, wierz mi. Rozumiesz?

Skinąłem głową.

- Uważaj na siebie. Chciałbym za dwadzieścia lat wychylić z tobą kufel piwa i pogadać o niedobrych starych czasach.

- Ostrożność to moje drugie imię, Magistrze. - Skwapliwie schowałem buteleczki tam, skąd mogłem je szybko wyciągnąć. Garrett nigdy nie zagląda w zęby darowanemu koniowi. Najwyżej odda go potem do fabryki kleju.

Dyskretnie rzuciłem okiem na szafeczkę. Ciekawe, co mogą te inne buteleczki? Było ich pełno, we wszystkich kolorach tęczy.

- Dzięki. Potrafię sam trafić do wyjścia. - Wycofując się ku drzwiom, rzuciłem moje ostatnie pytanie: - Słyszałeś kiedyś o kulcie, który nakazuje obcięcie genitaliów? Całego urzędnika, nie tylko jąder?

Pobladł. To znaczy, naprawdę zrobił się całkiem biały. Przez chwilę wydawało mi się, że włosy też mu zbieleją. Ale innej reakcji już nie okazał.

- Nie. To upiorne. Czy to coś ważnego?

Ty kłamiesz, to i ja skłamię.

- Nie. Coś takiego wyszło na wieczornym spotkaniu. Pogoda była wyjątkowo barowa i knajpiana. Ktoś usłyszał coś takiego od kogoś, kto słyszał coś takiego od kogoś jeszcze innego. Wiesz, jak to leci. Nie można odnaleźć źródła.

- Tak. Dobrego dnia, Garrett. - Nagle chyba zapragnął, żebym sobie poszedł.

- Dobrego dnia, Magistrze.

Zaniknąłem drzwi z drugiej strony. Sampson, jadownicie uśmiechnięty, czekał już na mnie, żeby upewnić się, że na pewno odnajdę wyjście.

Garret 03 Zimne Miedziane lzy

XXII

Zaczął zacinać drobny deszczyk. Wiatr był coraz zimniejszy. Wcisnąłem głowę w ramiona i ruszyłem mu naprzeciw, burcząc pod nosem. Nie byłoby mnie tu teraz, gdyby świat nauczył się, że należy zostawić mnie w spokoju. Świat jest bezmyślny.

Z głową między ramionami - głową, w której i tak nic się nie działo (niektórzy powiedzieliby, że to normalny stan mojej makówki) - ruszyłem w stronę małej dzielnicy, gdzie Korona i miasto mają swoje urzędy. Miałem nadzieję, że ludzie z Urzędu Probierczego powiedzą mi to, czego nie powiedział Peridot.

A rozpoznał monety, drań.

Nie uwierzyłem w to, co mi powiedział, choć może częściowo była to prawda. Moja niewiara była selektywna. Nic nie brałem na słowo. Wszędzie, gdzie się obróciłem, wyłaziła na wierzch religia, a to największa gra masek, kłamstw i iluzji, jaką znał świat.

Moja wędrówka zawiodła mnie na ulice sąsiadującą z Błękitną Butelką, gdzie zaszyły się te dwa egzemplarze, Smith i Smith. Nie zaszkodzi zatrzymać się, zobaczyć, czy Maya czegoś nie przeoczyła

Dom nie wyglądał zbyt obiecująco. Ostatnie dokładniejsze sprzątanie musiało mieć tu miejsce jeszcze przed moim urodzeniem, ale i tak był o niebo lepszy niż noclegownie, gdzie za miedziaka dostaje się miejsce przy sznurze, na którym można się oprzeć, śpiąc na stojąco.

Było to jednak miejsce najchętniej odwiedzane przez ubogich oraz najgorszych łobuzów. Ludzie, którzy prowadzą ten dom, na pewno nie będą zbyt rozmowni. Aby wyciągnąć z nich cokolwiek, będę musiał użyć całego mojego sprytu.

W moim przypadku nie zawsze jest to dużo.

Wnętrze spełniało obietnicę, jaką dawała fasada. Wkroczyłem do mrocznego pomieszczenia, zaludnionego jedynie przez tłumek trzech pijaków, z sercem oddających się swojemu codziennemu zajęciu. Jakaś niewidzialna siła pchnęła ich w trzy kąty pomieszczenia. Jeden pouczał sam siebie monotonnym, ciągłym mamrotaniem. Rozumiałem jedno słowo na pięć, ale chyba zaangażowany był we wściekłą debatę na tematy socjalne. Oponenta nie było widać, ale i tak miałby biedę, żeby go ktoś wysłuchał.

Nie widać było nikogo, kto choćby w przybliżeniu wyglądał jak właściciel tej budy. Zadzwoniłem do drzwi, ale nikt nie odpowiedział.

- Hej! Jest tam kto?

Niestety, żaden usłużny gospodarz nie wyłonił się w podskokach z kuchni. Za to jeden z milczących pijusów wydobył się z krzesła i pohalsował w moim kierunku.

- Szeszego chseszsz? Pokoju?

- Szukam kumpli. Smith i Smith. Podobno tu mieszkają. Oparł się o kontuar, chuchnął na mnie oparami i zwinął gębę w pomarszczoną śliwkę.

- Uh. Och. Tszesie piętro. Żwi na końsu. - Nie ukrywał, że byłby rozczarowany, gdybym nie miał zamiaru wynagrodzić go za kłopot brzęczącą monetą.

- Dzięki, stary. - Dałem mu kilka miedziaków. - Napij się jednego za moje zdrowie.

Spojrzał na miedziaki, jakby nie mógł sobie przypomnieć, co to takiego. Zanim rozwiązał zagadkę, poszedłem na górę. Ostrożnie, bo stopnie tak trzeszczały i skrzypiały za każdym krokiem, że

tylko czekałem, jak któryś się zapadnie.

Trzecie piętro także mnie nie rozczarowało. Wyglądało raczej jak półpiętro - pięć pokoi pod belkami dachowymi, po dwa z każdej strony i jeden na końcu klaustrofobicznie wąskiego korytarzyka. Dwa boczne pokoje nie miały nawet zasłon, żeby się odgradzić od innych. Trzeci miał, o dziwo, drzwi, które nieruchomo zwisały na jednym zawiasie. Moim celem był czwarty pokój, gdzie odrzwia nie domykały się z powodu wypaczonej podłogi.

Smithów nie było w domu. Ciekawe, ciekawe. Nie spodziewałem się, że ich zastane, zwłaszcza po ich spotkaniu z Siostrzyczkami. Wszedłem do środka.

Ktokolwiek ich zatrudniał, w cokółwiek byli wplątani, nędza aż skrzeczała. Musieli spać na kocach rozłożonych wprost na podłodze i nie mieli nawet ubrań na zmianę.

Zacząłem przeszukiwać pomieszczenie. Nigdy nie wiadomo, jaki drobny szczegół sprawi nagle, że wszystkie klocki wskoczą na swoje miejsca.

Kłęczałem na podłodze, zaglądając w kaniony pomiędzy deskami, kiedy usłyszałem skrzypienie podłogi. Obejrzałem się przez ramię.

Kobieta wyglądała jak żona Truposza. Było jej dość, żeby wykroić cztery baby, i jeszcze by zostało. Jakim cudem udało jej się podejść tak blisko, nie powodując nawet skrzypnięcia? Jakim cudem przeżyły schody? Jakim sposobem budynek wciąż jeszcze stał na fundamentach? Powinien już dawno się przewrócić z powodu nadmiernego obciążenia ostatniego pietra.

- Czego tu, u diabła, szukasz, chłopcze?

Była gotowa do walki, a ja nie miałem pojęcia, jak ją wyminąć.

- Dlaczego pani pyta?

- Bo chce wiedzieć, półgłówku.

Cóż, widać to nie zawsze działa.

Kobiecina trzymała w garści pałę, prawdziwą „łamiągówkę”. Nie zazdroszczę facetowi, który nią dostanie, jeśli jej właścicielka dobrze się przyłoży.

Wyglądało, że odczuje to na sobie, jeśli czym prędzej nie użyję sprytu, o którym mi się marzyło.

- Kim ty, u diabła, jesteś? Co ty sobie wyobrażasz, tak się wpychać do mojego pokoju? - Kiedy nie masz miejsca, żeby oszalać szybkością, trzeba oślepić kłamstwem.

- Twój pokój? Co ty wygadujesz, chłopcze? Ten pokój należy do dwóch facetów nazwiskiem Smith.

- Gość, któremu zapłaciłem, kazał mi wziąć ten pokój. Zrobiłem, co mówił. Jeśli ci się to nie podoba, załatw tę sprawę z zarządcą.

Wytrzeszczyła na mnie gały.

- Ten pieprzony Blake znowu zaczyna swoje głodne kawałki, co?! - ryknęła. - To JA jestem zarządcą, dupku! Jakiś pijak zrobił cię w konia. A teraz zabieraj stąd swój brudny tyłek. I nie przychodź do mnie z płaczem po forszę.

Co za kor-r-r-weta!

Okręciła się na pięcie i poczłapała z powrotem. Jeszcze nie podnosiłem się z podłogi. Jeśli budynek się zawali, może przeżyję w tej pozycji.

- Tym razem zabiję tego sukinsyna - dobiegało mnie z oddali jej mamrotanie.

Słodziutka istotka. Dobrze, że nie przeszła do rękoczynów, bo chybaby mnie spłaszczyla na naleśnik.

Szybciotko przeszukałem resztę pokoju, ale kiedy z dołu zaczęły dochodzić wrzaski i porykiwania, uznałem, że lepiej będzie zmienić miejsce pobytu.

I nagle coś spostrzegłem.

Była to miedziana moneta, wbita głęboko w szparę. Wyciągnąłem nóż i zacząłem dłubać.

Nie miałem żadnych powodów, by uważać, że moneta została zgubiona przez Smithów. Na dobrą sprawę mogła tu leżeć od stu lat.

Mogła, mogła. Ale osobiście ani przez sekundę w to nie wierzyłem.

Może naprawdę mocno się o to modliłem. Wytarty, zaśniedziały miedziak był braciszkiem tych, które smacznie spały w mojej kieszeni.

Klik! Klik! Klik! Kawałeczki zaczęły zbierać się w większą całość. Wszystko było częścią tej samej zagadki, może (ale to mało prawdopodobne) z wyjątkiem Magistra Peridonta. Mało prawdopodobne, bo mnie okłamał. Wiedział coś o tym, co się działo, nawet jeśli sam nie był w to zaangażowany.

Najwyższy czas ruszać w drogę.

Garret 03 Zimne Miedziane lzy

XXIII

Zanim dotarłem do końca schodów, mamuśka była już pod pełnymi żaglami i wszystkie armaty prawo na burt. Usiłowała upolować tego samego pijusa, któremu dałem miedziaki. Uciekał jej ze zwinnością świadcząca o niemałej praktyce. W chwili, kiedy wszedłem, zamachnęła się z całego serca, ale nie trafiła. Pałą utraciła potężny kawał dechy ze stołu. Babinka zawyła, przeklinając dzień, w którym poślubiła tego moczymordę.

Mamroczący pijak nawet nie zwracał na to uwagi. Może był tu bywalcem i widział te scenę już nie raz. Trzeci gość zniknął, dając mi dobry przykład.

Zacząłem sunąć w stronę drzwi.

Mamuśka zdążyła mnie zauważyć.

- Ty sukinsynu! Ty kłamliwy sukinsynu! - Ruszyła w moją stronę jak galeon pod pełnymi żaglami.

Nie zawsze jestem durniem. Wyleciałem stamtąd jak z procy. Pijany małżonek musiał chyba zrobić zyg zamiast zak. Wyfrunął za drzwi w ślad za mną, na łeb na szyję, i pokulał się po deszczu, dysząc i rzygając na przemian. Kobieta ryczała jeszcze, ale nie wybiegła, żadna krwi. Kiedy się uspokoiła, ostrożnie poszedłem zobaczyć, jak się ma jej chłop.

Był podrapany, nos miał rozkwaszony i potrzebował solidnej kipieli w rzece, ale wyglądało, że przeżyje.

- Chodź. - Podałem mu dłoń.

Chwycił ją, podniósł się, otrząsnął i spojrzał na mnie wzrokiem, który za żadne skarby nie chciał się zogniskować.

- Naprawdę mnie załatwiłeś, człowieku.

- Aha. Przepraszam. Nie wiedziałem, że masz taką ciężką sytuację rodzinną.

Wzruszył ramionami.

- Jak się uspokoi, sama przyjdzie błagać, żebym wrócił. Kupa bab w ogóle nie ma chłopca.

- To prawda.

- A ja jej ani nie zdradzam, ani nie biję.

Jakoś nie mogłem go sobie wyobrazić bijącego żonę. W każdym razie nie tę żonę.

- A tak w ogóle to czego tam szukałeś? - zapytał.

- Chciałem dowiedzieć się czegoś o tych Smithach. Ich kumple zabili mojego kumpla. Chodź, schowamy się gdzieś przed deszczem.

- Dlaczego miałbym ci wierzyć po tych wszystkich historiach, które już opowiedziałeś? - Nie mówił jeszcze całkiem wyraźnie, ale chyba to właśnie chciał powiedzieć.

Nie za bardzo mnie lubił, ale to mu nie przeszkadzało wlec się za mną.

- Muszę się wyczyścić - wymamrotał.

Więc jeszcze nie całkiem zakonserwowałem swój mózg w winie. Jeszcze nie. Jest taki punkt, poza którym już ich to kompletnie nie obchodzi.

Zaprowadziłem go do lokalu położonego o kilka ulic dalej. Był nieco bardziej zatłoczony - przed nami dotarło tam jeszcze pięciu chłopców - ale ambicje miał mniej więcej te same: brud, smród, nędza i ubóstwo.

Tym razem barmanka była nieco bardziej operatywna. Delikatna, wiekowa, ale znalazła się przy

nas, za ledwie przekroczyliśmy próg. Na widok mojego nowego znajomego skrzywiła się tylko.

- Chcemy coś zjeść - oznajmiłem. - Dla mnie piwo, dla kolegi herbata. Jest tu miejsce, gdzie mógłby się doprowadzić do porządku? - Uciszyłem jej protesty błyskiem srebra.

- Chodź za mną - powiedziała do niego, a do mnie rzuciła:

- Siadaj przy tamtym stole.

- Jasne. Dzięki.

Oczekałem, aż wyjdą z sali, i wyjrzałem na zewnątrz. Nie myliłem się. Maruda dotarł za mną aż tutaj. Grał swoją rolę oparty o ścianę po przeciwnej stronie ulicy. Myślę, że teraz gadał o pogodzie.

Jeśli ubzdurał sobie, że będzie mnie miał na oku, daleko nie zajdzie. Jeśli zechcę, dam sobie z nim radę. Usadawiłem się zatem za wskazanym stołem i czekałem na piwo. Na samą myśl o jedzeniu, jakie można dostać w takich miejscach, robiło mi się nieco dziwnie w żołądku.

Mój nowy kumpel nie wyglądał o wiele lepiej, kiedy wrócił, ale pachniał znacznie ładniej. To mi wystarczyło.

- Wyglądasz o wiele lepiej - skłamałem.

- Pierdoły. - Opadł ciężko na krzesło. Staruszka przyniosła piwo i herbatę. Pozbierał się, objął kubek dłońmi i spojrzał na mnie.

- No więc czego chcesz, kolego?

- Chcę wiedzieć wszystko o Smithach.

- Nie ma tego wiele. To nie są ich prawdziwe nazwiska.

- Nie. Ale mów. Jak długo tam mieszkają?

- Przyjechali dwa tygodnie temu. Był z nimi taki starszy facet Zapłacił za ich pobyt, za pokój i wyżywienie na miesiąc. Zimna ryba. Oczy jak u bazyliuszka. Żaden z nich nie pochodził z TunFaire.

Wpadłem mu w słowo:

- Skąd wiesz?

- Słyszałem ich akcent, człowieku. Jakby z KroenStat lub CyderBen, albo gdzieś z tamtych okolic. Ale nie całkiem. Wcześniej nigdy takiego nie słyszałem. Ale trochę podobny, jeśli wiesz, co mam na myśli.

- Aha. - Wiedziałem. Nieraz chwytam naprawdę szybko. - A ten, co z nimi przyjechał? Czy miał imię? Jak wyglądał?

- Mówiłem, jak wyglądał. Zimny, chłopie. Jak morderca. Nie bardzo miało się ochotę zadawać mu pytania. Jeden ze Smithów nazywał go Bratem Jersey.

- Jercé?

- No. Chyba tak.

Dobrze, dobrze. Ten sam koleś, który wynajął Śniegula i Doca. Tamta moneta może niczego nie dowodziła, ale ta i owszem.

- Masz pojęcie, gdzie mógłbym go znaleźć? To chyba ten facet, który zabił mojego kumpla.

- Nie. Powiedział, że wróci, jeśli Smith i Smith będą musieli zostać dłużej niż miesiąc.

- A oni? Co z nimi?

- Żartujesz chyba. Nigdy nie odezwali się więcej niż dwa słowa naraz. Nietowarzyscy. Jedli w pokoju. Z reguły pozostawali na zewnątrz.

Próbowałem go zająć to od tej, to od tamtej strony. Jedliśmy kurczaka i jakąś mieszaninę, która wcale nie była taka zła. Nie dowiedziałem się niczego więcej, dopóki nie pokazałem mu monet.

Ledwie na nie spojrzał.

- Jasne. Tymi monetami Brat Jersey płacił czynsz. Zauważyłem, że większość z nich była całkiem nowa. Nie widuje się tylu nowych monet naraz.

Ano nie. To był głupi ruch, zwracający uwagę. Jercé prawdopodobnie nie wyobrażał sobie, że Smith i Smith mogą dostać po łbie.

- Dzięki. - Zapłaciłem.

- Pomogłem?

- Trochę. - Dałem mu srebrną monetę wartości jednej dziesiątej marki. - Nie wydaj wszystkiego w jednym miejscu.

Zamówił wino, zanim jeszcze dotarłem do drzwi.

Wyszedłem na zewnątrz, dumając, że właściwie powinienem podciągnąć się z geografii. KroenState i CyderBen znajdują się gdzieś na zachodzie i zachodnim północnym zachodzie. Dobre karentyńskie miasta, ale trochę daleko stąd. Nigdy tam nie byłem. Nie wiem wiele o tym rejonie.

Pomyślałem sobie, że warto byłoby zadać Jill Craight jeszcze kilka pytań. Znajdowała się w centrum akcji. Wiedziała znacznie więcej, niż chciała przyznać.

Maruda pilnie pracował. Ułatwiałem mu śledzenie, jak długo miał na to ochotę - może śledził nie mnie, tylko mojego pijanego kumpla, albo w ogóle nikogo. Nie obchodziło mnie, czy byłem śledzony.

Garret 03 Zimne Miedziane lzy

XXIV

Byłem śledzony.

Przez dłuższą część mojej wędrówki mżawka udawała, że jej nie ma. Zaledwie jednak zbliżyłem się do Królewskiego Urzędu Probiernego, niebiosa rozwarły się na dobre. Z radośnie wyszczerzonymi zębiskami skoczyłem do środka, pozostawiając Marudę sam na sam z ulewą. Niech sobie radzi.

Jeśli weźmiemy pod uwagę wielkość królestwa Karenty oraz znaczenie TunFaire jako największego miasta i centrum handlowego, Urząd Probierny okazał się niejakim rozczarowaniem. Był to trzymetrowej szerokości barak bez okien. Sześć stóp od wejścia drogę barykadował kantor obsługi, rzecz jasna pusty. Ścian nie było widać spod szklanych gablot, prezentujących egzemplarze monet, zarówno nowych, jak i przestarzałych. Wystrój dopełniały dwa przedpotopowe krzesła i mnóstwo kurzu.

Kiedy wchodziłem, odezwał się dzwonek, ale nikt się nie pojawił.

Zacząłem oglądać monety.

Po pewnym czasie ktoś doszedł do wniosku, że chyba sobie nie pójdę.

Był to facet pod siedemdziesiątkę lub osiemdziesiątkę, istny strach na wróble, mojego wzrostu, ale ważył o połowę mniej. Wydawał się wściekły, że jeszcze się nie wyniosłem.

- Zamykamy za pół godziny - wyskrzypiał.

- To nie zajmie nawet dziesięciu minut. Potrzebuję informacji na temat nieznanych monet.

- Co takiego? A co to jest, według pana?

- Królewski Urząd Probierny. Miejsce, gdzie się przychodzi, jeśli się ma wrażenie, że ktoś usiłuje nam wcisnąć fałszywe pieniądze. - Doszedłem do wniosku, że chyba bardzo szybko mógłbym zniechęcić tego pana, ale się pohamowałem. Od takich gryziopiórków można się wiele dowiedzieć. Pokazałem mu kartę.

- Wyglądają jak monety świątynne, ale ich nie rozpoznaję i nikt z moich znajomych nie potrafi mi powiedzieć, skąd są. Tutaj w gablotach także ich nie widzę.

Miał szczery zamiar dać mi popalić, ale jego uwagę przykuła złota moneta.

- Emisja świątynna, co? Złoto? - Wziął kartę i przyjrzał się monetom. - Tak, świątynna. Ale nigdy czegoś takiego nie widziałem, choć jestem tu od sześćdziesięciu lat. - Okrążył kantor i podszedł do jednej z gablot, łypiąc okiem na jej zawartość. Potrząsnął głową, prychnął i wymamrotał: - Przecież wiem, że nie zapomniałem.

Pokuśtykał na drugą stronę kantorka, wziął wagę, zdjął złotą monetę z karty i zważył ją. Burknął coś pod nosem, sprawdził, czy na pewno jest cała ze złota, po czym zaczął kombinować z jakimiś odczynnikami. Chyba chciał sprawdzić, co to za stop.

Spokojniutko oglądałem monety, starając się nie zwracać na siebie uwagi. Nigdzie nie zauważyłem nawet cienia ósmionożnych stworów, podobnych do tych na monetach. Wyglądały na prawdziwe paskudy.

- Monety wydają się prawdziwe - odezwał się stary, kręcąc głową. - Rzadko się myłę. Dużo ich jest w obiegu?

- To jedyne, jakie widziałem do tej pory, ale podobno jest ich dużo więcej. - Przypomniałem

sobie, że mój pijak mamrotał coś o jakichś akcentach. - Czy one mogą pochodzić spoza miasta?

- Sądząc po wzorze na obrzeżu, pochodzą z miasta, ale oczywiście, jeśli są stare, to taki wzór nic nie znaczy. Wzory na obrzeżach i godło miasta zostały unormowane dopiero jakieś sto pięćdziesiąt lat temu.

Oho! to prawie wczoraj wieczorem. Staruszek zdaje się wsiadł na swoją kobyłkę. Jego pół godziny dawno minęło. Postanowiłem, że nie będę mu przerywał.

- Może znajdę coś w rejestrach na zapleczu.

Polegając na jego profesjonalnej ciekawości, powlokłem się w ślad za nim. Nie zaprotestował, choć jestem pewien, że mijając kantorek, starłem w proch wszystkie możliwe przepisy.

- Myśli pan pewnie, że jest tu tego dosyć, aby odnaleźć odpowiedź na każde pytanie, co? A jednak co najmniej raz w tygodniu przychodzi tu ktoś z monetami, których nie ma w gablotach. Zazwyczaj są to nowe monety spoza miasta, których wzorców jeszcze nie dostałem. Jeśli chodzi o pozostałe, moje rejestry zawierają wszystko, co kiedykolwiek było w emisji od czasów, gdy cesarstwo przejęło markę karentyńską.

Wrogość znika jak zaczarowana, kiedy ktoś zapyta cię o twojego ukochanego konika.

- Jestem tu od tak dawna, że wystarczy mi spojrzeć, żeby wiedzieć, z czym mam do czynienia. Do licha, ostatni raz szukałem tu czegoś z pięć lat temu.

A więc podniecało go wyzwanie. Wniosłem w jego smętny żywot coś nowego.

Pomieszczenie, do którego weszliśmy, miało jakieś siedem metrów długości. Wszystkie ściany prawie do połowy zabudowane były trzypółcalowymi szufladkami, zawierającymi, jak przypuszczałem, starsze i rzadsze okazy monet. Ponad nimi znajdowały się półki, zastawione największymi książkami, jakie zdarzyło mi się widzieć. Były to tomiska grube na sześć cali, wysokie na osiemnaście, oprawione w brązową skórę z wybitymi złotymi literami.

Tylna ściana pokryta była półkami pełnymi chemikaliów, narzędzi i miarek, których probierz używa w swojej pracy. Nawet nie przypuszczałem, że jest ich tak dużo.

Środek pokoju zajmował wąski stół i podstawka do czytania.

- Myślę, że zaczniemy od najprostszych rozwiązań, a potem zwrócimy się ku bardziej nieprawdopodobnym - oznajmił starzec i wyciągnął księgę zatytułowaną: Standardowe karentyńskie monety markowe: Wspólne wzory obrzeży. TunFaire Typ I. II. i III.

- Jestem pod wrażeniem - stwierdziłem. - Nie miałem pojęcia, że trzeba tak dużo wiedzieć.

- Marka karentyńską ma pięćsetletnią historię, najpierw jako moneta izby handlowej, potem standard miejski, potem imperialny, wreszcie królewski. Od samego początku dozwolone było bicie własnych monet, ponieważ jej rodowód wywodzi się z prywatnego standardu, który miał jedynie gwarantować wartość.

- Dlaczego zatem nie zacząć od moich monet?

- Ponieważ one niewiele nam mówią? - Potrząsnął nowiutką, lśniąca srebrną pieciomarkówką. - Dopiero co wyszła. Jedna z tysięcy upamiętniających zwycięską kampanię karentyńską wiosną tego roku. Awers: popiersie króla. Pod spodem mamy datę. U góry inskrypcję mówiącą o tytułach i zaszczytach królewskich. U dołu popiersia widnieje znak tego, który zaprojektował i wykonał rysunek na stemplu, w tym przypadku Claddio Winscha. Za popiersiem mamy winne grono, znak miasta TunFaire.

Umieścił obok pieciomarkówki jedną z moich monet.

- Zamiast popiersia wybito tu kłębowisko kończyn, które mogą należeć do ośmiornicy lub pająka. Jest data, ale ponieważ to moneta świątynna, nie znamy jej odniesienia. Nie ma znaku grawera ani projektanta. Znak miasta wygląda jak ryba, i prawdopodobnie wcale nie jest to symbol miasta, lecz

znak świątyni, która ją wybiła. Góma inskrypcja nie jest po karentyńsku, ale w języku Faharhan i głosi „A Będzie Królował w Chwale”.

- Kto?

Wzruszył ramionami.

- To moneta świątynna. Jest przeznaczona dla wiernych, a oni już tam wiedzą kto. - Postawił monetę pionowo. - Na obrzeżu pieciomarkówki typ TunFaire Trzy. Używany przez mennicę królewską od początku wieku. Na złotej monecie mamy Typ Jeden. Typ Jeden zawsze oznacza, że moneta została wybita przed normalizacją symboliki i obrzeży. Sprzęt menniczy jest drogi. Prawo normalizacyjne dopuszcza, by mennice stosowały dawny sprzęt, dopóki się nie zużyje. Trochę ich jeszcze pracuje.

Byłem zaintrygowany, ale pomału zacząłem tracić grunt pod nogami.

- Po co jednocześnie oznaczenie miasta i moletowanie obrzeża?

- Ponieważ te same stemple stosuje się do tłoczenia miedzi, srebra i złota, ale miedziaki i drobniejsze srebrne monety nie są moletowane na obrzeżach. Tylko cenniejsze monety są nacina-ne, wycinane lub opiłowywane.

Tyle to i ja zrozumiałem. Dodaje się takie małe kreseczki na obrzeżach, żeby było widać wszystkie zmiany. Bez nich co cwański chłopcy obcinaliby po odrobinie z każdej monety, która przejdzie przez ich ręce, żeby potem sprzedać wszystko na boku.

Ludzka zdolność do oszustwa jest bezgraniczna. Znałem kiedyś faceta o tak lekkiej ręce, że potrafił wwiercić się w brzeg monety, wybrać ćwierć zawartości, dopełnić ołowiem i zalutować bez śladu.

Skazali go za gwałt, którego nie popełnił. Zdaje się, że to właśnie nazywa się karma.

Staruszek obrócił monety i zajął się oznaczeniami na rewersach. One też nic nam nie powiedziały na temat pochodzenia monet.

- Umie pan czytać? - zapytał.

- Tak. - Większość ludzi nie umie.

- Dobrze. Te książki, o, tam, mówią o monetach świątynnych. Myśl pan trochę sam. Może się panu poszczęści. Zaczniemy z dwóch końców i zobaczymy, co nam się uda odkryć.

- Nie ma sprawy. - Wziąłem pierwszą z brzegu księgę o emisji Ortodoksów, tylko po to, żeby zobaczyć, jaki ma układ.

Na górze każdej ze stron znajdowała się ilustracja każdej monety wykonana metodą odbijania przez papier, a następnie miłośnie i delikatnie obrysowana atramentem. Poniżej znajdowało się wszystko, czego człowiek mógłby chcieć się dowiedzieć o monecie: liczba stempli w projekcie, daty ich wejścia do użytku, daty wyjścia z obiegu i zniszczenia, daty napraw i poprawek grawerskich, liczba wybitych monet. Była nawet informacja, czy istnieją stwierdzone fałszerstwa.

Miałem przed sobą skarbnicę informacji, z którymi nie wiedziałem, co zrobić. Cel działalności Urzędu Probierczego jest częściowo symboliczny. Stanowi on widoczny dowód dobrej woli Karenty, aby posiadać zdrowy, niezawodny pieniądz, dowód, który istniał jeszcze przed utworzeniem państwa karentyńskiego. Naszymi przodkami w filozofii byli handlarze, a nasz pieniądz cieszy się największym zaufaniem na tym krańcu świata, pomimo wszystkich absurdów związanych z jego produkcją.

Spędziłem pełną godzinę, grzebiąc w księgach i nie znajdując nic pożytecznego. Staruszek, który lepiej wiedział, co robi, poruszał się od ogółu do szczegółów, jeden zapis po drugim, zawężając zakres poszukiwań poprzez eliminację. Podszedł do ściany, przy której pracowałem, przyjrzał się tytułom, przytaszczył z kąta drabinkę, wspiął się na nią i strzepnął z kilku książek na górnej półce

mniej więcej stuletni ładunek kurzu. Wybrał jedną, położył na stole i zaczął przerzucać kartki.

- No i mamy. - Uśmiechnął się, ukazując garnitur zepsutych zębów.

I rzeczywiście, mieliśmy. Podane były jedynie dwa przykłady, z których jeden pasował do moich monet, z wyjątkiem daty.

- Sprawdź datę - zaproponowałem.

To musiało być coś ważnego, ponieważ zgodnie z księgą monety te wybito sto siedemdziesiąt siedem lat temu. A jeśli do tej daty dodałoby się sto siedemdziesiąt sześć, otrzymałoby się datę wybitą na mojej złotej monecie.

- Ciekawe. - Staruszek porównywał monetę z rysunkiem, a ja usiłowałem zajrzeć mu przez palce.

Mój typ monety wybijany był w TunFaire od kilku lat, podczas gdy ten starszy został wybity w Carathca... Ach! Carathca! Ta stara legenda... Mroczna legenda. Ostatnie nie-ludzkie miasto, zniszczone w tych okolicach, jedyne, które trzeba było zrównać z ziemią, zanim karentyńscy królowie zastąpili cesarza.

Ci królowie z dawnych lat musieli mieć poważne powody, aby zniszczyć Carathcę, ale nie mogłem sobie przypomnieć, o co chodziło, tyle tylko, że walka była ponura.

Jeszcze jeden powód, taki sam dobry jak każdy inny, by zbudzić Truposza. On pamięta te czasy, podczas gdy dla nas jest to tylko mgliste, stłumione echo historii zaledwie pamiętanych i jeszcze mniej rozumianych.

Starzec burknął coś, odwrócił się od stołu i ściągnął jeszcze jedną księgę. Kiedy się odsunął, nareszcie mogłem swobodnie rzucić okiem na nazwę instytucji, która wybiła mój pieniążek. Świątynia Hammona.

Nigdy o czymś takim nie słyszałem.

Linia z TunFaire została zlikwidowana i istnieje jedynie jako zakon dobroczynny. Żadnej innej informacji, z wyjątkiem lokalizacji świątyni zakonu. Urząd Probiereczy nie był zainteresowany niczym innym.

Nie znalazłem garnka złota na drugim końcu tarczy - ale miałem dość poszlak, żeby się nie nudzić, zwłaszcza jeśli uda mi się wkurzyć Truposza.

- Chciałbym podziękować panu za pomoc - powiedziałem. - Co by pan powiedział na kolację. Ma pan czas?

Podniósł na mnie wzrok i zmarszczył brwi.

- Nie. Nie, to niepotrzebne. Robię tylko to, co do mnie należy. Dobrze, że pan przyszedł. Teraz nie ma już takich ciekawych spraw.

- Ale? - Sądząc z tonu i zachowania, miał zamiar poczęstować mnie czymś, co mi będzie raczej nie w smak.

- W księgach znajduje się edykt dotyczący tej emisji. Wciąż obowiązuje. Wycofać z obiegu i przetopić. Brian Trzeci. Nie wspomnę, że te, które pan przyniósł, zostały wyprodukowane bez licencji.

- Czy mam przez to rozumieć, że nie mogę ich zatrzymać?

- Takie jest prawo. - Nie patrzył mi w oczy. Jasne.

- Ja i prawo chodzimy sobie każde własnymi ścieżkami.

- Dam panu skrypt dłużny, który będzie pan mógł...

- Czy wyglądam tak młodo?

- Co?

- Ciekaw byłem, czy wyglądam dość młodo, aby być wystarczająco głupim i przyjąć skrypt dłużny od przedstawiciela Korony.

- Sir!

- Jeśli ktoś przynosi tu złom albo podroby, płacisz dobrą monetą. Na pewno wyskrobiesz dość, żeby zapłacić mi i za te.

Skrzywił się, złapany na własną wędkę.

- Albo zabieram je i wychodzę, a ty zostajesz z niczym i nic nikomu nie możesz pokazać. - Odniosłem wrażenie, że gdyby pokazał te monety swoim przełożonym, mógłby dostać awans.

Zważył wszystkie za i przeciw, burknął z irytacją i poczłapał do tylnych drzwi. Wrócił z jedną złotą i dwoma srebrnymi markami oraz z jednym miedziakiem. Wszystkie nowiutkie, wprost z królewskiej mennicy.

- Dzięki - powiedziałem.

- Czy zauważył pan - zagadnął, kiedy już odwracałem się do wyjścia - że ten zużyty egzemplarz był oryginalny?

Zatrzymałem się. Miał rację, cholera. Wymamrotałem coś pod nosem i wyszedłem, łamiąc sobie głowę, czy to też miała być dla mnie jakaś informacja.

Nie chciałem nawet zbliżyć się do kacyka, ale mój szósty zmysł mówił mi, że chyba będę musiał. Może on będzie wiedział, o co tu chodzi.

Garret 03 Zimne Miedziane lzy

XXV

Zrobiło się ciemno. Deszcz przeszedł, ale mój kumpel Maruda pozostał. Był dokładnie tam, gdzie go zostawiłem, przemoczony do nitki i dygoczący na wietrze. Rzeczywiście było zimno. Przymrozek przed świtem wcale by mnie nie zdziwił.

Minąłem go w odległości dwóch stóp.

- Pogoda pod psem, nie? - Szkoda, że było tak mało światła. Chciałbym napawać się jego paniką. Chyba uznał, że po prostu próbuje być miły, ale go nie odszyfrowałem. Dał mi nieduże fory, po czym powlókł się za mną. Nie był za dobry.

Zastanawiałem się, co z nim zrobić. Nie mogłem sobie wyobrazić, żeby był groźny. I nie mogłem na mnie donieść, dopóki był na tropie - o ile nie był to zwykły pijak, który po prostu lubi chodzić sobie za ludźmi.

Przemknęło mi przez myśl, żeby zajrzeć pod Błękitną Butelkę i go sprawdzić, ale nie mogłem się zmusić, aby jeszcze raz stanąć oko w oko z Mamuską. Miałem ochotę nieco nim potrząsnąć, a potem odwrócić role, ale byłem zmarznięty, zmęczony i dość miałem łażenia po mieście, w którym najdziwniejsze typy zaczęły się interesować właśnie moją osobą. Chciałem znaleźć się gdzieś, gdzie mnie nakarmią, ogrzeją, a ja nie będę musiał się martwić, kto się na mnie gapi. Nasuwały się dwa miejsca: dom i knajpa Morleya. Żarcie w domu będzie o niebo lepsze, ale u Morleya będę mógł jednocześnie jeść i pracować. Jeśli dobrze wszystko rozegram, ktoś zajmie się Marudą w moim imieniu. Jediną wadą tego rozwiązania było jedzenie.

Ta sama stara śpiewka. Tłumek - trochę mniejszy z powodu fatalnej pogody - zamilkł i wlepił we mnie gały, gdy tylko przekroczyłem próg. Coś jednak wisiało w powietrzu. Nie wiedzieć dlaczego, tym razem nie czułem się jak wężący wilk z innego stada. Raczej jak baran.

Saucerhead siedział przy swoim stoliku. Zaprosiłem się do kompanii i skinąłem głową ślicznotce, którą zabawiał. Ten facet w jakiś dziwny sposób przyciąga drobne kobietki, które natychmiast stają się mu bezgranicznie oddane.

- Zdaje się, że Jill Craight nie skontaktowała się z tobą? Nie był zachwycony moim wtargnięciem. Cóż, takie jest całe moje życie.

- A miała?

- Poradziłem jej to. - Wydawało mi się, że mój widok go nieco zaskoczył. - Potrzebuje ochrony.

- Nie, nie było jej tu.

- Trudno. Przepraszam. Morley na mnie kiwa. - Skinąłem głową jego przyjaciółce i ruszyłem w stronę Dotesa, który zjawił się u szczytu schodów.

On także wydawał się zdumiony moim widokiem. I był zdenerwowany, co źle wróżyło. Morley denerwuje się chyba tylko wtedy, jeśli ktoś przypala mu tyłek.

- Ruszaj na górę, ale już - syknął.

Minąłem go. Wydawało się, że chroni moje tyły. Dziwne. Zatrzasnął za sobą drzwi biura i zasunął rygle.

- Co ty sobie myślisz? Chcesz spowodować awanturę?

- Myślałem, że przydałoby mi się małe co nieco.

- Nie bądź dupkiem.
- Nie jestem. A niby dlaczego? Wybałuszył na mnie oczy jak spodeczki.

- Co? Nie wiesz?

- Nie. Nie wiem. Byłem zajęty ściganiem dwustuletniego upiora dobroczynności. Masz szansę zabłysnąć. Co jest?

- To cud, że żyjesz. Naprawdę. - Potrząsnął głową.

- Daj spokój. Przestań się krygować jak stary materac i powiedz, co ci leży na wątrobie.

- Wyznaczyli cenę za twoją głowę, Garrett. Tysiąc marek w złocie dla faceta, który dostarczy twój głupi łeb.

Spojrzałem na niego surowo. Ech, to jego czarnoelfickie poczucie humoru.

Ale nie. Mówił poważnie.

- Wchodząc tu, wlałeś w gniazdo żmij, gdzie tylko dwie kobry nie myślą o tym, żeby cię zjeść: ja i Tharpe.

Nie byłbym taki pewien, jeśli chodzi o Morleya Dotesa. Tysiączek w złocie potrafi spowodować solidne napięcia w najwierniejszej przyjaźni. To większa kwota, niż niejeden potrafi sobie wyobrazić.

- Kto? - zapytałem.

- Nazywa się Brat Jercé. Mieszka pod Różą i Delfinem w North End i tam też przyjmuje dostawę o każdej porze dnia i nocy.

- Głupota. A jeśli to ja się tam wybiorę i wykurzę go jako pierwszy?

- Chcesz spróbować? Przemyśl to jeszcze.

Pewnie siedzi tam już pluton cwaniaczków, którzy tylko czekają na taką okazję.

- Chyba wiem, co masz na myśli. Staruszek musi się trochę bać, że uda mi się do niego dobrać.

- Nie pracujesz przypadkiem nad jakąś sprawą, która i tak by cię zabiła?

- Pracuję. Dla siebie. Usiłuję się dowiedzieć, kto chce mnie zabić i dlaczego.

- Teraz już wiesz... - Zachichotał.

- Wysoce dowcipne, Morley. - Wyciągnąłem jedną z moich miedzianych monet. Nie pokazałem ich wszystkich w Urzędzie Probierczym. W kilku słowach wyjaśniłem, czego się dowiedziałem.

- Carathca to czarnoelfickie miasto. Wiesz coś na ten temat? Zdaje się, że sprawa sięga aż tam - wypaliłem prosto z mostu na zakończenie.

- A niby dlaczego miałbym wiedzieć coś więcej na temat Carathca niż ty na temat FellDorhst? To dawne czasy, Garrett. Nikogo nie obchodzą. Cała ta sprawa na milę śmierdzi religią. Poszukaj odpowiedzi w Dzielnicy Snów. - Przyjrzał się monecie. - Nie, nic mi to nie mówi. Może powinieneś przeprowadzić burzę szarej masy z Truposzem.

- Ha, chciałbym bardzo. Może uda mi się nakłonić go, żeby zrobił sobie dwadzieścia minut przerwy w krucjacie przeciwko świadomości.

Ktoś zastukał do drzwi. Morley podskoczył, ale zaraz przybrał zatroskaną minę. Wskazał mi kąt pomieszczenia.

- Kto tam? - zawołał.

- Kałuża, szefie.

Morley otworzył dużą szafę, która mieściła domowy arsenał, zawierający dość broni, by wyekwipować pluton marines. Rzucił mi niewielką kuszę i kilka bełtów, a dla siebie wybrał oszczep.

- Kto jest z tobą, Kałuża?

- Jestem sam, szefie. - Kałuża był chyba zakłopotany. No, ale jego wprawia w zakłopotanie samo

życie.

Morley odsunął rygiel i odskoczył. - Właż.

Kałuza posłusznie wszedł i spojrział w oblicze wyczekującej śmierci.

- Szeffie, co ja zrobiłem?

- Nic, Kałuza. Wszystko w porządku. Zamknij drzwi, zarygluj, a potem zrób sobie drinka. -

Morley schował broń, zamknął szafę i usadowił się w fotelu. - No, co masz dla mnie?

Kałuza wybałuszył na mnie rybnie oko, ale widocznie uznał, że może przy mnie mówić.

- Chodzą gadki, że Chodo wyznaczył dwa tysiące nagrody za faceta, który wyznaczył tysiąc nagrody za Garretta.

Morley ryknął śmiechem.

Bomba.

- Nie ma w tym nic śmiesznego.

Jedyna w swoim rodzaju okazja, żeby zrobić naprawdę nieziemski interes. Najpierw sprzedać moją biedną łepetynę Bratu Jercé, a następnie zabrać jego i sprzedać Chodo.

Morley parsknął znowu.

- To JEST śmieszne. Aukcja się zaczęła. A ten Braciszek Jercé musi być naprawdę ciężkim naiwniakiem, jeśli sądzi, że uda mu się przelicytować Chodo.

- Chodo powiedział, że płaci dwie setki za każdego, kto choćby mówi o złapaniu Garretta - wtrącił Kałuza. - Trzy, jeśli przyprowadzisz go żywego, bo wtedy będzie nim mógł nakarmić swoje jaszczury.

Mój aniołek stróż. Zamiast psów obronnych ma w ogródku sforę gromojaszczurów, atakujących wszystko, co się rusza. Lubi je, bo zacierają wszystkie ślady, włącznie z kośćmi i ubraniami.

- Ale karuzela - kwiczał Morley. - Nagle wszyscy w TunFaire szukają wyłącznie ciebie.

Błąd.

- Wszyscy nagle patrzą tylko na mnie. Kropka. No, może jeszcze włożą mi pod nogi, czekając, aż ktoś się na mnie rzuci, a potem oni na niego i tak dalej.

Teraz i on to zobaczył.

- Ahaaa... Może lepiej byłoby, gdyby wszyscy uważali, że nie żyjesz.

- Gdybym miał trochę rozumu we łbie, powinienem rzucić to wszystko w diabły i poszukać pracy na pełny etat w browarze Weidera. - Bez zaproszenia poczęstowałem się drinkiem. Morley sam sobie nie pozwala, ale trzyma butelczynę dla gości. Myślałem przez chwilę, po czym poinformowałem Morleya o Marudzie i o tym, czego chciałbym się dowiedzieć na temat tego faceta. Na razie jednak tego, co przeszedłem, było dla mnie aż za wiele jak na jeden dzień, dlatego chciałem wrócić do domu i trochę się przespać.

- Przyczepię mu broszkę i zobaczymy, dokąd pójdzie - odrzekł Morley. Od momentu, gdy usłyszał nowiny Kałuży, zrobił się jakiś roztargniony. Zawsze taki jest, kiedy kombinuje coś paskudnego. Nie miałem pojęcia, jak mógłby jeszcze pogorszyć sprawę, więc niewiele mnie to obeszło.

- Teraz powinno być już bezpiecznie - mruknąłem. - Wynoszę się.

Niewiele mnie obchodziło, co zastanę na zewnątrz. Marzyłem tylko o kawałku spokojnego miejsca w domu.

- Rozumiem. - Morley uśmiechnął się. - Postaw Deana na straży i zatrzymaj go na noc. Kałuza, zostań jeszcze na słówko, a potem przyślesz mi Slade'a.

- Dzięki, Morley.

Na dole sprawy przybrały całkiem inny obrót Informacja poszła w świat. Ale sposób, w jaki patrzyli na mnie teraz, nie podobał mi się ani trochę bardziej niż poprzedni.

Wyszedłem w mrok i przez chwilę stałem nieruchomo, żeby wzrok przywykł do ciemności. Ruszyłem do domu. Mijając Marudę, ukloniłem się grzecznie.

- To znowu pan? Życzę miłego wieczoru.

Garret 03 Zimne Miedziane lzy

XXVI

Wyszedłem na Macunado, marząc o funtowym, krwistym befsztyku, galonie zimnego piwa, ciepłym łóżku i szlabanie na robotę. Powiniennem był pamiętać, że nie mam aż takiego szczęścia w życiu.

Mikrobożek o ptasim mózdzku, którego misja polega na utrudnianiu mi życia, właśnie zabrał się do pracy.

Przed domem zebrał się niewielki tłumek. W powietrzu unosiło się chyba z pół tuzina jaskrawo płonących kul ognia. Co, u licha...?

Szara masa w mojej czaszce pracowała na mocno zwolnionych obrotach. Zanim zorientowałem się, o co chodzi, minęła cała minuta.

Jakaś banda moich fanów postanowiła obrzucić mój dom bombami zapalającymi. Truposz wyczuł niebezpieczeństwo i obudził się, przechwytyjąc bombki w locie, a teraz żonglował nimi, ku wielkiemu zdumieniu napastników i gapiów.

Przecisnąłem się bliżej. Napastnicy wciąż tam byli, sztywni jak posągi, o gębach wykrzywionych grymasami paskudnymi jak u gargulców z Chattaree. Żyli, zachowali świadomość i byli tak ciężko przerażeni, jak tylko może być ludzka istota. Stałem przed jednym z nich.

- No, jak tam? Nie za dobrze, co? Nie martw się. Wszystko się jakoś ułoży.

Bomby zaczęły pryskać i syczeć.

- Przykro mi, muszę wejść do środka. Czekać tu. Porozmawiamy, kiedy wrócę. - Wiedziałem, że się ucieszą.

Dean uchylił drzwi o pół milimetra.

- Panie Garrett!

No tak. Rzeczywiście. Nie powiniennem był wygłupiać się z tymi facetami.

- No to na razie - rzuciłem przez ramię i podreptałem po schodach. Dean wpuścił mnie, zatrzasnął drzwi i dokładnie pozasuwał wszystkie rygle.

- Co się dzieje, panie Garrett?

- Miałem nadzieję, że ty mi powiesz.

Spojrzał na mnie, jakbym nagle zgłupiał. Chyba nie mylił się aż tak bardzo.

- No cóż, zobaczymy, co Chichotek ma nam do powiedzenia.

Nie musiałbym fatygować ani siebie, ani ich, gdybym zdołał jakoś zmusić Truposza do czytania w ich umysłach. Z wyjątkiem jego osoby wszystkim zaoszczędziłoby to mnóstwo kłopotów.

Wszedłem do jego pokoju. Dean został na korytarzu. Pomijając całkowicie - oczywiście, jego zdaniem - wyjątkowe sytuacje, nie wszedłby tam za żadne skarby.

- Przypilnuję tych łotrzyków, panie Garrett.

- Jasne, stary.

Stałem przed Truposzem.

- No, Kupo Gnatów, obudziłeś się, żeby uratować własną nadzartą przez myszy skórę. Teraz już wiem, jak zwrócić twoją szanowną uwagę. Rozpalić ci ogień pod tyłkiem.

Garrett, ty plago moich ostatnich godzin, co tym razem sprowadziłeś na mój dom?

- Nic a nic. - Oho, szykowała się jedna z tych niekończących się dyskusji.

To dlaczego ci szaleńcy obrzucają mnie bombami?

- Ci chłopcy na zewnątrz? Do licha, przecież oni nawet nie wiedzą o twoim istnieniu. Biedacy chcieli się tylko zabawić spaleniem MOJEGO domu.

Garrett!

- Nie mam cienia seledynowego pojęcia. Chcesz wiedzieć, to podłub im w głowach.

Już to zrobiłem i znalazłem tylko mgłę. Zrobili to, bo im kazano. Uważają, że nie potrzebują innego powodu niż wola Mistrza. Byli radzi, że przydzielono im zadanie, które Mu się spodoba.

- No to tkwimy w tym po uszy. Co za Mistrz? Kim jest? Gdzie go znaleźć?

Nie umiem odpowiedzieć na żadne z tych pytań. Może się to okazać niemożliwe. Nie przesadzę, jeśli stwierdzę, że ich jedyną i niezmienną wiarą jest wiara w to, że Mistrz, któremu służą, nie ma ani materialnej formy, ani substancji, a pojawia się wtedy, kiedy uzna to za stosowne - w jednej ze swych stu postaci.

- To jakiś duch, upiór czy coś w tym stylu? - Słowo „bóg” jakoś nie mogło przejść mi przez gardło.

To zły sen, wyśniony przez wielu tak intensywnie, że zaczął żyć własnym życiem. Istnieje, ponieważ wiara i wola sprawiają, że istnieje.

- Uhu-ha! Dziwne dziwy opowiadasz.

Czemu drażnisz tych szaleńców, Garrett?

- Nikogo nie drażnię, Chichotku. To oni drażnią mnie. Nagle, ni stąd, ni zowąd, ktoś próbuje mnie ukatrupić. Cały czas dzieją się jakieś dziwne rzeczy. Zwłaszcza w Dzielnicy Snów. Może powinienem najpierw wszystko ci opowiedzieć.

Garrett, twoje nędzne podrygi w smrodzie i gnoju tego do cna zepsutego miasta nie interesują mnie w najmniejszym stopniu. Zachowaj je dla tych pomiotel, z którymi wyprawiasz bezeceństwa tuż pod moim nosem, a wszystko mnie na złość!

Aha, wściekał się o Jill. Nie za bardzo lubi kobiety, oj, nie. Dostaje szału, kiedy ma w domu cokolwiek płci żeńskiej.

Kiepsko.

- Aha, wprost z etapu chrapania wkraczamy na etap dąsów? Wspaniale, zaoszczędzimy czasu na grzeczności i opowieści o ostatnich wyczynach Glory'ego Mooncalleda. Budzimy się i zachowujemy jak wściekły trzylatek?

Garrett, nie wkurzaj mnie.

- Brońcie mnie bogowie! Ja miałbym być wkurzający? Przy moim anielskim charakterze? - Nic a nic mi się to nie podobało.

Rzucamy się na siebie z zębami i pazurami, ale gra zawsze pozostaje grą. Tym razem jednak wyczułem mroczny prąd wrogości. To już nie była zabawa. Ciekaw byłem, czy przypadkiem Truposz nie wchodzi w kolejną, bardziej ponurą fazę śmierci. Nikt nie wie zbyt wiele na temat martwych Loghyrów, nie mówiąc już o żywych, bo oba gatunki są cholernie rzadko spotykane.

Już dość długo korzystałeś z mej nieskończonej mądrości i inteligencji. Najwyższy czas, żebyś stanął na własnych nogach i przestał zawracać mi głowę. Nie masz już żadnego usprawiedliwienia.

- Tak samo jak na twoje mieszkanie na waleta, a mimo to wcale się nie krępujesz. - Miałem, zdaje się, gorszy humor, niż mi się zdawało. - Strażniczka Burz Raver Styx chciała cię kupić, i to za całkiem przyzwoitą kwotę. Cholera, sam nie rozumiem, czemu byłem taki sentymentalny.

Wyszedłem, żeby zły humor nie wymknął mi się spod kontroli. Rozejrzałem się za Deanem.

Wyglądał przez okno.

Bomby zapalające już się wypaliły. Z braku rozrywki tłum nieco się przerzedził, ale zamachowcy

wciąż tam byli, sztywni i nieruchomi jak pomniki na skwerku.

- Pomóż mi przynieść tu jednego z tych chłopców. Wypytam go i zaraz się wszystkiego dowiemy.

- Otworzyłem drzwi.

- Czy to mądre? - zainteresował się Dean.

Aha, więc już nie „Panie Garrett”? Chyba przestał się bać.

- Nie. Niczego już nie jestem pewien. Patrz no... niech cholera weźmie tę dzieciinną duszyczkę.

Truposz zwolnił chwyt i teraz właśnie wszyscy zamachowcy rozpierzchli się jak przerażone myszy.

Nawet wściekły, nie przypuszczałem, że uwolnił ich na złość. Lubi się kłócić, ale i myśli niemało. Przypuszczałem, że chce prześledzić, dokąd uciekną. A w takim przypadku nie miałyby czasu przyjrzeć mi się uważniej.

Nie mogłem nic zarzucić temu rozumowaniu, ale nie miałem siły go wprowadzić w życie. Za dużo wysiłku, za mało odpoczynku. Padałem na nos.

Wzruszyłem ramionami.

- Nie szkodzi, do diabła z nimi. I tak załatwię ich prędzej czy później - oto wołanie Garretta na puszczy. - Poproś pannę Craight do mojego gabinetu. I przynieś mi dzban piwa. Potem ugotuj kolację i przynieś, kiedy będzie gotowa. Panna Craight wie, co się święci. Najwyższy czas wycisnąć z tego kamienia trochę krwi. Cholera, dlaczego tak ciągle kręcisz głową?

- Jill wyszła wkrótce po panu. Prosiła przekazać, że przeprasza za kłopot, jaki panu sprawiła. Ma nadzieję, że zaliczka wynagrodzi to panu. Zanim pan zapyta: nie, nie wyglądało, jakby miała jeszcze wrócić. Zostawiła list, położyłem go na pana biurku.

- Wobec tego piwo i kolacja, a ja wypytam list. - Nic wokół mnie nie trwało na tyle długo, bym mógł to złapać.

Przeszedłem do biura, rozsiadłem się, położyłem nogi na biurku i czekałem. Przy otwarciu listu Jill chciałem mieć pod ręką piwo.

Garrett

Naprawdę się w tobie kochałam. Potem zdarzyło się dużo różnych rzeczy i serce mój dziewczynki skamieniało. Zostały tylko słodko-gorzkie wspomnienia, zimne, miedziane łyzy. Ale dzięki za troskę.

Hester P.

Odchyliłem się, przymknąłem powieki i zamyśliłem nad moją królową śniegu.

Ta mała dziewczynka jeszcze nie umarła. Ukryła się gdzieś, bardzo głęboko, przerażona ciemnością, pozwalając, by Jill Craight przejęła rolę żywiciela rodziny. Napisała ten list. Jill Craight nigdy by tego nie zrobiła. Nawet nie pomyślałaby o tym.

Po pięciu dobrych piwach i przyzwoitej kolacji Garrett staje się nieomal ludzką istotą. Znowu poprosiłem Deana, żeby został do późna. Przy kolejnych piwach opowiedziałem mu całą historię, nie po to, żeby ją znał, ale dlatego, że Truposz podsłuchiwał. Skoro nie chce usłyszeć żadnych nowin bezpośrednio, usłyszy je w ten sposób.

Spróbuję pogadać z nim rano, kiedy będę wypoczęty i cywilizowany, a on będzie miał czas na rachunek sumienia.

Zasnąłem w absolutnie rekordowym tempie.

Garret 03 Zimne Miedziane lzy

XXVII

Nie pobiłem rekordu w długości snu, choć załapałem się na cztery godziny piłowania drewna na skalę przemysłową, zanim zjawił się Dean.

- He? Ssoje? Wyocha. - Również inne wysoce inteligentne wypowiedzi były moją jedyną reakcją. Nie budzę się łatwo.

- Jest tu pan Dotes - powiedział Dean. - Niech pan do niego wyjdzie. Mówi, że to ważne.

- Zawsze jest ważne. Wszyscy i wszystko jest tak ważne, że zawsze ważniejsze od tego, co akurat chcę robić.

- Jeśli pan tak uważa, sir. Miłych snów.

Oczywiście, że to coś ważnego, jeśli Morley dźwignął swój elfi tyłek i pofatygował się do mnie osobiście. Mimo to mój entuzjazm nie wzrósł ani o jotę.

Ja po prostu nie umiem robić więcej niż jedną rzecz naraz. A akurat w tym momencie moim ulubionym i preferowanym zajęciem było spanie.

Dean wrócił po króciutkiej chwili i bez najmniejszego zamiaru ponownej rejterady.

- Wstawaj, ty leniwa klucho!

Wie, jak mnie rozruszać - rozwścieczyć do tego stopnia, żebym miał ochotę zjeść na śniadanie jego mózg.

To mniej więcej ta sama technika, jaką stosuję, żeby rozruszać Truposza.

Wolałem zatem podźwignąć zwłoki i ruszyć na dół, niż znosić jego molestowanie.

Morley siedział z Deanem w kuchni, popijał herbatę i szczerze mu współczuł w kłopotach, jakie staruszek przeżywał, usiłując przyzwoicie - lub nawet nieprzyzwoicie - wydać za mąż swój wianuszek bratanic. Dean uskarżał się, jak te dziewczuchy doprowadzają go do szaleństwa; wierzył, że pewnego dnia poczuje się wystarczająco winny, by zdjąć z jego karku przynajmniej jedną.

- A może je sprzedać? - zaproponowałem.

- Co?

- Mają przed sobą jeszcze parę dobrych lat i umieją gotować. Znam faceta, który dałby pięćdziesiąt marek za sztukę. Sprzedaje żony chłopcom polującym w krainie gromojaszczurów.

- Pańskie poczucie humoru pozostawia co nieco do życzenia, panie Garrett - nadał się Dean. Użył słowa „pan” jako obelgi.

- Masz rację. Nie jestem w najlepszej formie. Chyba za mało wypoczywam.

- Teraz możesz odpocząć - odparł Morley. - Twoja nemezis, niejaki brat Jercé, niedawno trochę się podniecił i stracił głowę.

Sposób, w jaki to powiedział, wyraźnie sugerował, że osobiście maczał w tym paluchy.

Cóż, to jego zawód i jest w tym dobry. A dwa tysiące wystarczy, żeby zwrócić jego uwagę.

Może powinienem być mu wdzięczny. Wdzięczność jednak przychodzi niektórym ludziom dość trudno, a ja, w moim ponurym nastroju nie stanowiłem wyjątku. Skryłem ją w sobie i udałem, że jej nie znam. Wraz z nią zachowałem sporo z mego kwaśnego humoru. Więcej nie potrzebowałem, żeby ludzie uważali wszelkie zamachy na moją osobę za usprawiedliwione.

- Ciekawe, czego mógłbym się od niego dowiedzieć - mruknąłem.

- A co za różnica - skrzywił się Morley. - To już zamknięta sprawa. Możesz żyć dalej, na nic się

nie oglądając.

- Chcesz się założyć?

Posłał mi paskudne spojrzenie.

- Przepraszam. Źle dobrałem słowa. Chciałem tylko powiedzieć, że on nie był źródłem, jedynie jego agentem. Jeśli jego śmierć ich nie odstraszy, jeszcze o nich usłyszymy. Nie wiem, co kombinują, ale traktują to śmiertelnie poważnie i nie martwią się ani o koszty, ani o konsekwencje.

Morley miał ochotę się pokłócić, ale nie znał faktów. Mógł sobie jedynie pomarzyć i dobrze o tym wiedział.

- A co z facetem, który mnie śledził? - zapytałem.

- Poszczułem na niego Kałuże, Klina i Slade'a. Śledzili go, gdy on śledził ciebie, aż tu. Próbował zaczepiać jakichś ludzi w tym zamieszaniu. Podzielili się i patrz, co się porobiło.

Poznaję mojego Morleya Dotesa. Przeciągał opowieść, żeby nie przekazać złych wiadomości.

- No i co się porobiło?

- Kałuża i Klin pogubili swoich ludzi, Slade jeszcze nie wrócił.

A zatem ważną wieścią był brak wieści.

- Ciekawe. Jak na amatorów, ci goście są całkiem dobrzy. Morley wzruszył ramionami.

- Nawet amatora trudno przypilnować jeden na jednego. Prawda. Porządny ogon odbywa się z udziałem co najmniej czterech ludzi.

Ktoś zapukał do frontowych drzwi.

- Ja otworzę - powiedziałem do Deana, ciekaw, kto następny. Zaledwie zacząłem się zastanawiać, jak spławić Morleya, a już pcha się kolejny klient. Miałem nadzieję, że to Jill, zanim przyszło mi do głowy, że jeszcze do niedawna byłem celem na dwóch nogach.

Na wszelki wypadek wyjrzałem, zanim otworzyłem drzwi.

Tym razem na progu domu Garretta zamiast blondyny z falującą przerażeniem pierśią stał drobny, paskudny Magister, w dodatku okropnie nieszczęśliwy.

Otwarłem i sprawdziłem, czy nikt nie wyskoczy mu zza pleców.

- Wejdz. Omal nie zrezygnowałem. - Tak naprawdę zapomniałem, że ma przyjść.

Wepchnął mnie i siebie do środka.

- Te łazegi, te krótkowzroczne głupki! Zmuszają mnie! Mnie! Do wykradania się w mroku, jak złodziej, ponieważ za bardzo się boją, żeby mnie wypuścić.

O co chodzi? Jeśli jest wściekły, to przynajmniej nie na mnie Zaprowadziłem go do biura, posadziłem w wygodnym fotelu, zapaliłem światło i zapytałem:

- Może się czegoś napijesz?

- Brandy. W dzbanku. Nie byłem urżnięty od czasów seminarium. Jeśli kiedykolwiek jest na to właściwy czas, to właśnie teraz.

- Zaraz coś znajdę. - Pognałem do kuchni. Dean i Morley usłyszeli już dość, żeby siedzieć cicho.

Dean już wytaszczył mój kufel i właśnie węszył za butelką brandy. Morley usiłował przybrać taki wygląd, jakby miał wybuchnąć, jeśli nie szepnę jakiegoś imienia. Nie szepnąłem, a on i tak pozostał w jednym kawałku. Złapałem cały transport trunków i pognałem do biura.

Rozsiedliśmy się wygodnie. Peridot nalał sobie brandy, siorbnął i przybrał zaskoczoną minę.

- Niezła.

- Wiedziałem, że ją polubisz. - Sam również umoczyłem dziób. - Zdaje się, że sprawy mają się kiepsko.

- Słabo powiedziane. Moi bracia w Bogu są tchórzami. Przedstawiłem im moje informacje i podejrzenia, a oni, zamiast żywo zareagować pełną mocą Kościoła, odwrócili się plecami, w nadziei

że sprawa przycichnie. Wycofali pozwolenie na zaangażowanie cię. Zabronili mi mówić ci cokolwiek. Zrobili wszystko, żeby mnie uciszyć, skępować, zamknąć mi usta. Wiedzą, że po latach spędzonych na umacnianiu prawa kanonicznego nie zrobię teraz nic, aby mu się sprzeciwić.

- Innymi słowy, zamiast skierować mnie na właściwy trop, przyszedłeś powiedzieć mi, żebym o wszystkim zapomniał.

Uśmiechnął się. Paskudny facet z legendy przebił się przez facjatę poczciwego księżyny.

- Niezupełnie. Zapomnieli o jednej możliwości. Nie zdołali odebrać mi praw jako osobie prywatnej.

Wypróbowałem moją sztuczkę z brwią. Tym razem poskutkowało.

- Garrett, zapomnieli zabronić mi, no powiedzmy, zaangażowania detektywa, który zająłby się sprawą śmierci Wesleya Pigotty. Proszę to uznać za ekspresowe wprowadzenie w sprawę. Jakie inne smrody poruszysz, to już twoja sprawa i pozostaje poza moją kontrolą.

Odwzajemniłem jego uśmiech.

- Twoje rozumowanie jest równie pokrętne jak logika prawników. W takim razie - odłożyłem resztę uśmiechu na lepsze czasy - proszę mi powiedzieć: jak gęsta jest mgła, w której będę błędził?

- Jak mleko, albo i jeszcze gęstsza. Tyle zdołali zapewnić. Wiesz już wystarczająco dużo, aby zachować ostrożność. Masz wszystkie podstawowe informacje. To dobry początek. Kiedy już będziesz łotrom deptał po piętach, możemy się znowu spotkać. Moi bracia na pewno ulegną pokusie otrzymania szybkiego rozwiązania.

Nie lubię, nie lubię takich gier. Ale uśmiechnąłem się i udawałem dalej. Wolałem pozostać z nim w jak najlepszych stosunkach. Przyda mi się, nawet jeśli będę musiał rozegrać partię szachów w pamięci, żeby coś z niego wydobyć.

- W porządku, wchodzę w to. - I tak miałem zamiar zająć się tą sprawą, niezależnie od tego, czego zażąda. - A co właściwie możesz mi dać?

Pociągnął solidny łyk brandy. Chyba mówił poważnie, że ma nerwy w strzępach. Nagle uśmiechnął się i rzucił mi sakiewkę z pieniędzmi. Dużą sakiewkę.

- To moja własna forsa. Nie Kościoła. - Spowaźniał trochę. - Mogę ci powiedzieć tylko tyle, synu, że kobieta, w której mieszkaniu znaleziono Pokeya Pigottę, była moją kochanką. Znałem ją jako Donnę Soldat. To chyba przybrane nazwisko. Dawałem jej tyle, że mogła prowadzić życie na poziomie, ale i tak miała innych kochanków. Sądzę, że jeden z nich mógł stanowić powód, dla którego Pigotta znajdował się tam właśnie tej nocy.

Zadałem mu kilka standardowych pytań o jego związek z Jill i otrzymałem kilka równie standardowych, obleśnych odpowiedzi, które wprawiły go w cholerne zakłopotanie.

- Sądzę, że dla ciebie, Garrett, cała ta historia jest bardziej śmieszna niż ponura. Na pewno w swojej pracy widzisz na co dzień gorsze rzeczy.

Zgadza się.

- Dla mnie była to wstrząsająca kapitulacja na rzecz mojej grzesznej strony charakteru. - Znowu pociągnął łyk brandy. Teraz pił już prosto z butelki. - Niestety, zawsze cierpiełem z powodu słabości do kobiecego ciała.

- A kto jest inny? Skrzywił się boleśnie.

- Kiedy byłem młodszy, nie stanowiło to problemu. Gdybym odwiedził prostytutkę, a ona dowiedziałyby się, kim jestem, po prostu by mnie wyśmiała. Księża to ich najlepsi klienci. Ale teraz... teraz, gdybym został zdemaskowany, mógłbym zostać zniszczony.

Rozumiałem go. Nie chodziło o to, czy przez swoją słabość jest lepszym, czy gorszym człowiekiem, ale o narzędzie, którym można by go nękać.

- Próbowałem walczyć z demonem gnieźdzącym się w moim ciele, ale na próżno. Dlatego niezbędne mi były dyskretne kobiety. Donna była dla mnie jak dar od bogów. Miała swoje wady, ale buzię zawsze trzymała na kłódkę.

O, tak. O, tak.

- Wiedziała, kim jesteś?

- Tak.

- To potężny argument w rękach damy lekkich obyczajów.

- Dostała go do ręki całkiem przypadkowo i nigdy nie nadużywała.

Może, może.

- Jak się poznaliście?

- Była aktorką. Pracowała w takiej budzie na Old Shipway. Spodobała mi się, zapragnąłem jej.

Długo musiałem się starać, ale upór się opłacił.

Już miałem na końcu języka, że nie tylko jemu, ale przemilczałem sprawę.

- Przeprowadziła się tam dopiero trzy miesiące temu. Bezpieczniej było odwiedzać ją w tamtym domu. Garrett, te trzy miesiące były naprawdę szczęśliwe. A teraz to wszystko...

Dokończył brandy. Wyglądało na to, że właśnie zaczął upijać się na smutno. Nie miałem ani ochoty, ani czasu, żeby uzalać się nad kimkolwiek oprócz mnie samego. Był już najwyższy czas, żeby skierować go w stronę drzwi i dobrze popchnąć.

- Jak mogę się z tobą skontaktować?

- Proszę nawet nie próbować, to ja będę się kontaktował. - Nagle zaczęło mu się spieszyć do wyjścia w równym chyba stopniu, jak ja pragnąłem się go pozbyć. Piwo zmuliło mnie lekko i coraz trudniej było mi się skoncentrować. Peridont ruszył w stronę wyjścia.

- Życzę szczęścia, Garrett. I dziękuję za doskonałą brandy. To moja wina, że potraktowałem ją jak tani bełt.

Odprowadziłem go do drzwi frontowych, zaryglowałem je za nim i pędem wróciłem do biura, żeby sprawdzić, ile też marek może się mieścić w sakiewce troszkę większej od mojej pięści.

Zaledwie zacząłem, władował się Morley.

- Garrett, kto to był? Dziwnie wyglądał.

- Klient, który woli pozostać anonimowy.

Nie spodobała mu się ta odpowiedź. Jak wszyscy, uważa, że dla niego właśnie powinienem zrobić wyjątek i zaufać jego dyskrecji.

- Morley, nie chciałbym wydać się niegrzeczny, ale nie zdążyłem złapać zbyt wiele snu.

- Pojąłem aluzję, przyjacielu. Pójdę pożegnać się ze staruszką.

- Ruszaj.

W minutę później, kiedy niosłem pieniądze do Truposza, usłyszałem, jak Morley szeptem instruuje Deana, co powinienem jeść, żebym nie był wiecznie zmęczony i upierdliwy.

Dobry, stary Morley, tak troszczy się o moje dobro za moimi plecami. Jeśli Dean choćby spróbuje karmić mnie zgodnie z jego radami, sałatą i fasolówką, to uduszę ich obydwu.

Garret 03 Zimne Miedziane lzy

XXVIII

Zamknąłem drzwi za Dotesem, zarygłowałem, oparłem się o nie plecami i westchnąłem ciężko. No to wracamy w krainę marzeń sennych i blondynek z dużymi oczami w kształcie migdałów. Może tym razem uda mi się zostać z nimi na dłużej. Po co się spieszyć i dokąd?

A potem przypomniałem sobie, że powinienem porozmawiać z Tinnie. Im dłużej będę to odkładał, tym trudniej będzie osiągnąć cel. I koniecznie muszę odnaleźć Maye, żeby ją przeprosić.

Doba ma tylko dwadzieścia cztery godziny.

Ulica była tak cicha, że słyszałem głucho, rozlegające się stłumionym echem człapanie końskich kopyt, metaliczny grzechot obręczy kół na kocich łbach. Zacząłem nasłuchiwać. Po zmroku ruch kołowy jest niewielki, bo już sam dźwięk oznajmia wszem i wobec, że oto zbliża się ktoś wart obrabowania.

Dźwięk ucichł.

Zadrzałem, choć z pozoru nie miałem powodu.

Zawróciłem do kuchni, by sprawdzić, czy Dean nie potrzebuje pomocy. Może jestem nieco przewrażliwiony, ale czułem, że na górę nie mam po co iść.

Ktoś zastukał do drzwi. Stukanie brzmiało dość zdecydowanie, jakby osoba znajdująca się z drugiej strony nie miała zamiaru rezygnować.

Wybrałem jedno z moich najlepszych westchnień i ruszyłem w stronę drzwi.

Za drzwiami znajdował się człowiek kacyka, Crask. Wyglądał paskudniej i bardziej złośliwie niż zwykle, ponieważ wyraźnie starał się być grzeczny i układny.

- Chodo mówi, że uznałby to za wielką uprzejmość, jeśli zaraz zjawiłby się pan u niego, panie Garrett. Zapewnia, że to pilne i że zostanie pan odpowiednio wynagrodzony za kłopot.

Wciąż byłem wynagradzany przez wszystkich w zasięgu, nie mając zielonego pojęcia, o co chodzi w tej całej kołomyi. Jeśli bałagan się sam nie wyjaśni, będę bogaty.

A Truposz myślał, że bez niego nie dam sobie rady.

Nie odmówiłem. Wcześniej czy później będę musiał pokłócić się z jego szefem, ale kiedy już to się stanie, powodem będzie coś znacznie poważniejszego niż parę nieprzespanych godzin.

- Niech się tylko skończą ubierać - mruknąłem. Cholera, ciarki mi chodziły po plecach, kiedy patrzyłem na Craska. Nigdy nie widziałem człowieka, który rozsiewałby wokół taką atmosferę strachu. Wyjątek stanowi jego kumpel, Sadler, duszyczka odlana na zimno z tej samej formy.

Pięć minut potem sadowiłem się już w osobistym powozie pana Chodo. Właściciela nie było na pokładzie, za to był Morley Dotes. Wcale mnie to nie zdziwiło. Wyglądał na równie wściekłego jak ja.

Niewiele rozmawialiśmy po drodze. Crask nie jest duszą towarzystwa. Jego obecność mogłaby zmrozić środek karnawału.

Posiadłość Chodo znajduje się o kilka mil na północ od najdalej wysuniętej w tym kierunku bramy TunFaire. Zamkiem mógłby się szczyścić niejeden książę. Tereny są rozległe, wypielegnowane i ogrodzone murem, który broni raczej wyjścia aniżeli wstępu. Kilkaset gromojaszczurów przemierzało ogrody, zapewniając lepszą ochronę niż fosa i mury warowne. Słyszałem, że Chodo przeżył próby morderstwa, o których nawet nic nie wie, bo jego strażnicy zjedli zamachowców w

całości z wyjątkiem nazwisk.

Wyjrzałem przez okno.

- Pupilki Chodo wydają się dziś nerwowe.

Było chłodno. Gromojaszczury z reguły stają się powolne wraz ze spadkiem temperatury.

- Kazał je rozgrzać - wyjaśnił Crask. - Spodziewał się pewnych kłopotów.

- Wiec dlatego tu jesteście?

- Możliwe.

W skórze Craska musi mieszkać dwóch facetów. Jeden to sztywny i formalny lokaj, którego Chodo wysyła z misjami dyplomatycznymi, a drugi to Crask, który wychował się na nabrzeżu, w wolnych chwilach odgryzając głowy kobrom. Wolałbym nigdy nie znaleźć się naprzeciw niego, choć sądzę, że jest to w jakiś sposób nieuniknione. Crask to morderca całkowicie beztroski i pozbawiony wyrzutów sumienia. Gdyby dostał rozkaz, żeby mnie zabić, zrobiłby to, zanim zorientowałbym się, że nadchodzi.

Powóz zatrzymał się u stóp schodów prowadzących do drzwi wejściowych. Lampy paliły się tuzinami, więc było jasno jak w dzień. Wyglądało to tak, jakby Chodo urządzał imprezę, a my bylibyśmy jego pierwszymi gośćmi.

- Nie wychodźcie - uprzedził Crask. Jakbyśmy z Morleyem byli na tyle głupi, żeby wyleźć i pogłaskać bestie wężące wokół stopni powozu.

Morley oszczędnie używa przekleństw, więc kiedy usłyszałem „O, szlag!” wiedziałem, że ma po temu poważne powody.

Gromojaszczur o łbie wielkości pięciogalonowego antałka i oddechu, który mógłby udusić wszystkie robale w okolicy, zaglądał przez okno powozu od strony Morleya. Miał na oko tak z tysiąc zębów, każdy wielkości czterocalowego sztyletu. Kiedy stanął na tylnych łapach, drapiąc w drzwi pojazdu śmiesznymi, małymi rączkami, miał około dwunastu stóp wysokości, a jego łuski były w pięknym, zgnięzionoszarzym odcieniu. Woźnica przyłożył mu po pysku ręką bata. Stwór zaryczał jak tysiąc śpiewających wron i poczłapał dalej.

- Przypomina mi jedną taką, którą znałem - mruknął Morley. - Ale z pyska pachnie mu znacznie ładniej.

- Zawsze wiedziałem, że przeleciałbyś wszystko, co się rusza. Co zrobiłeś z jej ogonem?

- Patrzcie, ludzie, kto to mówi. Widziałem te wełniste mamuty, z którymi ty się zadajesz.

- Za to zęby mają własne.

- Zauważyłem, wtedy wieczorem. A jak się wytwornie ubiera... Ma bardzo ciekawe pojęcie na temat higieny osobistej. Oczywiście, kopniesz ją w tyłek, jak już straci mleczone zęby?

Przybycie Craska uratowało mnie od konieczności wystąpienia w obronie Mayi. Wsiadł do powozu i dał nam po kamiennym wisiorze na metalowym łańcuchu.

- Noście je, kiedy tu przebywacie. Odstraszą jaszczury. Chodźcie.

Włożyłem swój i wysiadłem. Jaszczur, sięgający mi do ramienia, trącił mnie mordą, ale nie skosztował. Jakoś udało mi się powstrzymać przed zmoczeniem spodni.

Wnętrze domu Chodo to pałac. Sam Król mieszka chyba podobnie. Było spokojniej niż podczas mojej ostatniej wizyty, choć kręciło się więcej masek. Ostatnim razem była tu grupka nagich dziewcząt, stanowiących część wyposażenia. Dzisiaj je usunięto.

Kacyk czekał na nas nad brzegiem basenu, gdzie zwykły igrać te ślicznotki. Już, już miałem na końcu języka uwagę, że bardzo mnie rozczarował ich brak.

Chodo to bezwłosy, bezbarwny, paskudny kawał cielska, przykuty do fotela na kołach. Ludzie

zastanawiają się, jak kaleka może być takim postrachem. Prawdopodobnie nie podeszli dość blisko, by spojrzeć w jego oczy. Wszystko to, co mają w ślepiach Sadler i Crask, Chodo ma do kwadratu. Służą mu jako ręce i nogi. W pewnym sensie nie posiadają niezależnego istnienia, ale i tak wyglądają na zadowolonych.

Sadler stał za fotelem Chodo, podobnie jak grupka niższych rangą poruczników, których nie znałem z nazwiska. Zatrzymałem się dwa metry od starucha, nie wyciągnąłem ręki. On nie lubi, kiedy się go dotyka.

- Panie Garrett, dziękuję za tak szybkie przybycie - jego głos był jedynie chrapliwym szeptem.

- Crask powiedział, że to ważne. Wydawało mi się, że wręcz pilne.

Chodo uśmiechnął się lekko. Wiedział doskonale, że to stek bzdur. W pewnym sensie doskonale się rozumiemy, ale wydaje mi się, że jeśli ktoś na tym korzysta, to nie ja.

- Dzieje się coś dziwnego, panie Garrett. - To tyle, jeśli chodziło o wymianę grzeczności. - Właśnie z tego powodu, z powodu moich wysiłków, aby utrzymać cię przy życiu, wpakowałem się w to jeszcze głębiej i chyba jeszcze bardziej jestem twoim dłużnikiem.

Otwarłem usta, żeby zaprzeczyć, ale on uniósł białą dłoń na dwa centymetry ponad szorstki brunatny pled, okrywający mu kolana, co w jego wykonaniu było gwałtownym gestem. Zachowałem milczenie.

- Dziś rano dowiedziałem się, że ludzie, którzy pana ścigają, mieli czelność napaść na budynek należący do organizacji. Zabili tam człowieka. Uważam, że to nie do zniesienia.

Nie spojrzałem na Morleya, chociaż to on musiał być źródłem informacji Chodo. I on miał sumienie udawać urażonego, kiedy nie chciałem podać mu nazwiska Peridonta.

- Mógłbym jednak o tym zapomnieć, biorąc pod uwagę ich młodzieńcze zapędy, gdyby dziś, po raz kolejny, nie obrazili mnie w sposób niewybaczalny.

Teraz to zauważyłem. Był wściekły. Tak wściekły, że właściwie dym powinien mu walić uszami.

- Sadler, opowiedz panu Garrettowi. - Staruch najwyraźniej próbował oszczędzać siły.

Sadler przemówił głosem zimniejszym niż najmroźniejsza zima;

- Krótco po zachodzie słońca u bramy pojawili się trzej mężczyźni, reprezentujący kogoś, kogo nazywali Mistrzem. Ich zachowanie było tak obraźliwe, że pan Chodo postanowił zobaczyć się z nimi osobiście.

Oburzenie kacyka znalazło wreszcie ujście.

- Krótco mówiąc, panie Garrett, ten Mistrz zabronił mi wtrącać się w jego sprawy. Zagroził mi.

Nazwałbym to bardzo głupim posunięciem. Nawet Król nie odważyłby się otwarcie zdrzeć z władcą podziemia. Chodo ma ego, jeśli nawet brakuje mu wszystkiego innego. To ego właśnie nie przepuści takiej zniewagi. Było mi żal nieszczęsnych kurierów, bo to oni zapłacą pierwszą ratę daniny, jaką Chodo sobie odbierze.

Sadler uśmiechnął się blado, zgadując moje myśli.

- Jeden przeżył, żeby odnieść głowy pozostałych temu, kto ich wysłał.

- Ci ludzie to cholerni amatorzy - stwierdziłem. - Nawet nie chce im się sprawdzić, w co wpadną, zanim skoczą.

- Tym niemniej ich zadufanie może nie być pozbawione podstaw - burknął Chodo. - Im chyba nie zależy na ludzkim życiu. Może mają go trochę na zbyciu.

Urwał, żeby znowu nabrać sił, i dał znak, że mamy czekać.

- Tam, gdzie łączą nas wspólne interesy, powinniśmy połączyć siły, panie Garrett - rzekł po chwili. Ten stary łotr jest realistą, wie, że nie lubię ani jego, ani jego popleczników. - Nie ma pan dość sił, aby walczyć z organizacją. Spędzi pan wieki na łożeniu za głupstwami. Ja mam i czas, i

możliwości. Z drugiej strony, pan dysponuje siecią przyjaciół i kontaktów, własną wiedzą i dostępem do miejsc, do których moi ludzie nie mają wstępu. - Znów zabrakło mu sił.

- Nie miałbym nic przeciwko temu - odparłem, zdumiony własnymi słowami. - Ale nie mam zbyt wiele do wniesienia. Nie wiem, co się dzieje. Wydaje mi się, że gdzieś w głębi cienia budzi się paskudny smok, że wszystko to ma podłoże religijne i że zaangażowani w to ludzie nie mają żadnych skrupułów.

- A może zbierzemy do kupy wszystko, co wiemy? - zaproponował Sadler. Jestem pewien, że Chodo kazał mu wyrecytować ten wers, zanim jeszcze się tu zjawiłem. Zaczął mówić.

Przekazał mi wszystko, co wiedzieli. Nie było tego wiele. Dla nich ta sprawa nie miałaby większego znaczenia, gdyby nie urażona godność Chodo. Na przykład, nie przywiązywali szczególnej wagi do monet, które mi przesłali. Uznali jedynie, że ich widok naprowadzi mnie na trop świątyni, która im się naraziła.

- Rzeczywiście - odparłem. - Tyle tylko, że według wszelkich danych ten interes nie istnieje od dwustu lat. Został zlikwidowany przez Briana Trzeciego. - Opowiedziałem całą historię. I o złotej monecie, i o miedziaku. Powiedziałem im wszystko, z wyjątkiem mojej wtyczki w Kościele. Szybko na to wpadli.

- To chyba dobry moment na poczęstunek - zauważył Chodo. Jeden z niższych rangą poruczników wystartował natychmiast i po dwóch minutach powrócił z barkiem na kółkach pełnym różnych pyszności. W milczeniu, które nastąpiło, podczas gdy Chodo rozmyślał, uświadomiliśmy sobie, że od strony rzeki zbliża się paskudna burza.

Dla mnie znalazło się piwo. Oddałem mu pełny honor, zamierzając przynajmniej w ten sposób sprawić, by moja podróż nie była daremna. Wszystko wskazywało na to, że zaraz będzie świtać. Zanim dotrę do domu, będzie tak późno, że nawet nie warto marzyć o podleczeniu oka.

- Ten klecha coś wie - mruknął Chodo. - Może powinienem go przycisnąć.

- To może nie być rozsądne. - Wymieniłem nazwisko.

- Sam Malevechea? - zdziwił się Chodo. Widać, że wywarło to na nim pewne wrażenie. Są moce, na których gniew nawet on nie chciałby się narażać bez potrzeby.

- We własnej osobie. - Organizacja kacyka jest niebezpieczna i potężna, ale Kościół jest silniejszy, ma po swojej stronie niebiosy i w razie potrzeby bez trudu uzyska pomoc od państwa.

Nad naszymi głowami przetoczył się grzmot, jakby podkreślając jego słowa.

- A zatem kluczem do wszystkiego jest ta kobieta, panie Garrett. Ja zajmę się Mistrzem. Będę go prześladował i dręczył, odwracając jego uwagę. Stanę się najgorszym z jego koszmarów. Pan ma znaleźć kobietę.

Prawdopodobnie dlatego, że tylko ja wiedziałem, czego szukać.

Życie musi być proste, jeśli nie masz sumienia, a za to jesteś dość potężny, by tylko o czymś zamarzyć, a już wszyscy ludzie chcą sobie nogi wyrwać z tyłków, żeby to dla ciebie zdobyć.

- Bogowie chyba zabawiają się w dyskotekę na klepisku - odezwał się Morley, po raz pierwszy w czasie tej rozmowy.

Grzmoty zaczęły rozbrzmiewać jeden za drugim, bez przerw.

Chodo dał znak. Sadler wyciągnął zza jego fotela dwa worki. Rzucił mi jeden, a drugi, większy, podał Morleyowi. Zapracowane dwa tysiące, jak sędzę.

- Słyszałem, że unikasz wyścigów pajaków wodnych? Jeden ze zbirów podszedł i szepnął coś w ucho Craskowi. Wydawał się podniecony.

- Staralem się - mówił Morley do Sadlera.

Sadler spojrział na worek i uśmiechnął się, pewny, że teraz Dotes już nie odmówi sobie zakładu, a

zatem pieniądze szybko wrócą tam, skąd przyszły.

- Sadler - wtrącił Crask. - Mamy problemy. Przy bramie. - Wybiegł, a za nim cała reszta, z wyjątkiem Chodo i jego goryla.

- Będę w kontakcie, panie Garrett - pospiesznie odezwał się Chodo. - Proszę dać mi znać, kiedy znajdzie pan kobietę. Crask zabierze pana do domu, gdy tylko upora się z tym, co się tu dzieje.

Skinąłem głową i odszedłem, czując się zwolniony z obowiązku.

Chodo ma ogromne zaufanie do Craska i Sadlera. Ale to właśnie zaufanie zawiodło go na sam szczyt podziemia TunFaire.

Morley nie poruszył się. Otrzymał jakiś znak, że Chodo chce z nim porozmawiać prywatnie.

W zadumie skierowałem się do drzwi frontowych. Zawarłem przymierze z człowiekiem, którego nie znośłem najbardziej na świecie.

Miałem tylko nadzieję, że nie będę musiał tego żałować.

Garret 03 Zimne Miedziane lzy

XXIX

Wyszedłem z domu Chodo w świat dziwów, jakiego jeszcze do tej pory nie widziałem.

Crask, Sadler i z tuzin innych becwałów, wraz ze stadkiem gromojaszczurów, zebrali się na podwórzu i z rozdziawionymi gębami gapili się na niebo.

Burza, która narobiła tyle łomotu, zajmowała może z akr nieba i żeglowała wprost w kierunku rezydencji Chodo. Nigdy nie widziałem burzy tak nisko nad ziemią.

W kłębowisku chmur podskakiwały światła, trzy w kolorze ognia, czwarte jadowicie czerwone. Chmura zbliżyła się i żółte światła opadły ku tłumowi na trawniku. Kiedy zbliżyły się bardziej, stwierdziłem, że to faceci maszerujący w powietrzu, odziani w niemodne zbroje.

Dziwne są drogi, jakimi wędruje myśl. Nie zaskoczyło mnie że maszerują sobie w powietrzu. Ciekaw byłem, z jakiego muzeum podwędzili te swoje blaszane garniturki.

Kilku zbirów wyrwało się w stronę domostwa. Kiedy mnie mijali, widziałem, jakie mają wielkie oczy. Crask i Sadler stwierdzili widocznie, że ich zachowanie ma pewne praktyczne zalety i gestem nakazali wszystkim, by weszli do środka. Nie byli przygotowani na starcie z ludźmi w zbrojach, a co dopiero z takimi, którzy tańczą sobie na promieniach księżyca.

Minęli mnie bez słowa. Dopiero w środku Crask i Sadler zaczęli wrzeszczeć o piki, kusze i co tylko się da. Gdy już dostaną broń do łapy, będą wiedzieli, jak się nią posłużyć. W końcu odbębnił swoją piątkę w Kantardzie, tak jak i ja.

Nikt mnie nie zaprosił, żebym dołączył do imprezy.

Nie poczułem się urażony.

Pierwszy z latających facetów wylądował. Światło wokół niego przygasło. Postąpił krok w moją stronę, unosząc dłoń.

I to było wszystko. Gromojaszczury dopadły go w okamgnieniu, rozszarpując na strzępy. Na szczęście dla niego, nosił zbroję. Inaczej załatwiłyby go szybciej.

Pozostali dwaj jakby się rozmyślili co do schodzenia na ziemię. Nie wiem, czego się spodziewali, ale na pewno nie zamierzali stać się przekąską dla potworów. Zawisli zatem, zastanawiając się, co robić dalej. Jaszczury zaczęły podgryzać im pięty. Chłopcy zdecydowali się podfrunąć wyżej.

Zaczęli miotać błyskawice. Gromojaszczury są za głupie, żeby zrejterować, gdy znajdują się na straconych pozycjach, ale Garrett wie doskonale, kiedy wziąć nogi za pas.

Odwracając się, zauważyłem, że w chmurze brakuje czerwonego światła.

Nabrałem złych przeczuć.

Crask, Sadler i reszta chłopców wybiegli na zewnątrz, obładowani taką ilością żelastwa, jakby chcieli rozpocząć oblężenie. Nigdy nie widziałem żadnego z tych dużych urządzeń, nawet podczas wojny, ale znając te mniejsze, wiedziałem, że moi latający chłopcy powinni zauważyć, w jakich są tarapatach.

Nie mogli robić trzech rzeczy naraz. Jeśli bronili się przed pociskami i wymachiwali wokół piorunami, nie mogli jednocześnie latać. Musieli lądować. Bingo. Błyskawiczna przekąska dla paskud.

To nie mój problem. Ruszyłem w stronę basenu.

Nagle cała posesja zatrzęsła się w posadach.

Dotarłem do wejścia i wyhamowałem.

Coś przedzierało się przez dach do pomieszczenia z basenem. Zabrało się do tego, jakby dom był zbudowany z papieru. Przez dziurę zajrzała wielka, lśniaca, ohydna, purpurowo-czerwona gęba, przypominająca goryla z zębami tygrysa szablozębego. Zajrzała, a potem zaczęła poszerzać dziurę.

Cholera, ależ to było wielkie!

Osobisty strażnik Chodo ruszył w stronę tego czegoś. Nie wiem, co chciał zrobić i jakie miał złudzenia. Może tylko próbował pokazać szefowi, jaki jest dzielny.

Podszedłem do Morleya i Chodo.

- Może lepiej byłoby go stąd zabrać. To draństwo nie wygląda na zbyt towarzyskie.

Draństwo wskoczyło do dziury i wylądowało w drugim końcu basenu, o pięćdziesiąt stóp od nas. Było wysokie na dwanaście stóp, miało sześć ramion i wyglądało jak brat bliźniak gościa na świątynnych monetach. Było całe rozedrgane, jakby widziane przez intensywnie gorące powietrze. Albo jakby nie mogło się zdecydować, czy chce być sześciornym gorylem, czy czymś jeszcze brzydszym.

Strażnik Chodo nagle zatrzymał się w pół kroku. Zdaje się, że doznał ataku zdrowego rozsądku.

- Chyba masz rację - mruknął Morley.

Istota skoczyła na człowieka Chodo, zanim ten zdołał się obrócić. Walka trwała jedną sekundę, może mniej. Kawałki zbira rozprysły się we wszystkich kierunkach. Małpowata istota zaczęła obgryzać jego nogę, przyglądając się nam spod oka.

Chodo zaklął. Morley pchnął jego fotel. Wsunąłem rękę do kieszeni. Zdaje się, że był na to najwyższy czas.

Istota ryknęła i ruszyła w przód. Cisnąłem rubinową flaszkę otrzymaną od Peridonta. Rozprysła się na piersi stwora. Obróciłem się i pobiegłem za Morleyem i kacykiem.

Potwór wyhamował, podrapał się i zawył ze zdumienia, a potem rozdarł się na cały głos. Podbiegłem do drzwi i zatrzymałem się.

Ciało spływało z piersi stwora jak wosk ze świecy, zamieniając się w parę i czerwoną mgiełkę. Kreatura zawyla znowu, drąc ciało pazurami, aż galaretowate strzępki zaczęły fruwać po pomieszczeniu, rozbryzgując się na marmurowej podłodze, gdzie zamieniały się w parę, pozostawiając dziobate plamy wyżartego kamienia. Stwór zaczął się wic w konwulsjach, zatoczył się i wpadł do basenu, gdzie miotał się, wzbijając szkarłatną pianę.

- Nie chciałbym być tym, który będzie tu sprzątał - mruknął Morley.

- Teraz zawdzięczam panu życie, panie Garrett - wyskrzecztał Chodo.

Morley dorzucił:

- Wiesz, Garrett, coraz bardziej boję się, że któregoś dnia będziemy razem, a tobie zabraknie asów w rękawie.

- Ja też, Morley, ja też.

- Co to był za stwór?

- Pytaj mnie, a ja ciebie, i obaj będziemy wiedzieć.

- Nieważne - burknął Chodo. - Gadki na później. Zabierzcie mnie do drzwi frontowych.

Miał rację. Nic się jeszcze nie skończyło. Na podwórku panowało zamieszanie.

Przyszliśmy akurat na koniec. Większość zbirów i połowa jaszczurów zostały już wyeliminowane. Ale i latający chłopcy także nieco się zmęczyli. Jakiś bardziej atletycznie zbudowany jaszczur sięgnął jednego z nich, wykonując doskonały skok, i ściągnął go w dół. Drugi, z około pięćdziesięciu pociskami sterczącymi ze zbroi, wystrzelił w górę jak kometa, która pomyliła

kierunki.

Crask i Sadler zauważyli swojego szefa. Przykuśtykali do niego najszybciej, jak mogli.

- Panowie, jestem wściekły - oznajmił Chodo.

Nie wyglądał na wściekłego. To jeden z tych facetów, którzy są najgorsi wtedy, kiedy są najspokojniejsi.

- Nie będzie więcej niespodzianek.

Dom i ziemia zadrżały. Wnętrze posesji czknęło szkarłatnym dymem, który szybko rozwiął się na wietrze.

Odchudzona chmura burzowa odpłynęła wraz z ostatnim podniebnym wędrowcem. Zza horyzontu wyjrzało słońce, nieśmiało, jakby sprawdzało, czy droga wolna.

Chodo odezwał się do swoich chłopców:

- Znaleźć tych ludzi. Zabić wszystkich. - Co za słodziutki facecik. Spojrzał na mnie i na Morleya - Niech ktoś odwiezie panów do domu.

Wydawał się całkowicie obojętny na fakt, że Sadler i Crask byli poobijani jak ulęgalki.

- Idą Klata i Fletcher. Zbieracie od nich raporty. I do roboty. Podjazdem zbliżało się dwóch kolejnych zabijaków. Szczęki i nosy mieli na wysokości kolan.

Garret 03 Zimne Miedziane lzy

XXX

Wywlokłem się z powozu przed moim domem i zdawało mi się, że zapomniałem zabrać nóg.

- Jestem na to za stary - wymamrotałem. Cała ta sprawa zrobiła się zbyt niebezpieczna. Miałem zaledwie czas na szybkie mycie i godzinną drzemkę, zanim ruszę za Jill.

Jeśli zdecyduję, skąd zacząć.

Jestem pewien, że nie wróciła do domu, ale sprawdzę. Chyba jest bardziej cwana.

Dean wpuścił mnie do środka. Nakarmił. Opowiedziałem mu, co się wydarzyło, żeby mój beużyteczny sublokator-darmozjad wiedział. Dean okazał odpowiednie przerażenie, choć na pewno sądził, że połowę przemilczałem. Po śniadaniu poszedłem na górę, przeciągnąłem się i wróciłem do moich trosk, które nękały mnie przez całą drogę do domu.

Czy oni przypadkiem nie zaczynają mnie identyfikować z kacykiem?

Jedni ludzie giną, drudzy próbują mnie zabić, a ja myślę tylko o tym, żeby moja sława niezależnej osoby nie została zrujnowana.

Ten szczur Dean pozwolił mi spać przez cztery godziny. Wydarłem się na niego, a on jedynie stał z głupim uśmiechem na gębie. Nie darłem się długo. Mam pewne przesłanki, by sądzić, że jego rozumowanie jest bardziej sensowne niż moje. Wypoczęty, nie jestem tak skłonny do popełniania fatalnych głupstw.

Wyskoczyłem z betów, szybko umyłem się i przebrałem, i jeszcze szybciej wyskoczyłem na ulicę. Pierwszym przystankiem był apartament Jill. Nie miałem trudności z wejściem. Na pierwszy rzut oka nic się nie zmieniło. Ale ja wyczuwałem zmianę. Rozglądałem się tak długo, aż do mnie dotarło, co to jest.

Szuflada z monetami była pusta. Każdy mógł ją opróżnić, ale zniknęła również zniszczona szmaciana lalka. Gotów byłem się założyć, że nikt inny nie robiłby aż tyle zachodu.

A zatem zaryzykowała powrót, chociaż na krótko. Złapała tylko lalkę i parę majtek na zmianę? Nie sądzę, to niepodobne do tej lodowej dziewicy. Mogła to zrobić przy okazji jakiejś znacznie bardziej karkołomnej misji. Jeszcze raz przeczesiałem mieszkanie, ale nic więcej ani nie ubyło, ani nie przybyło.

Wymknąłem się, niezbyt zadowolony. Powinno było coś zostać... Łypnąłem okiem na drzwi po drugiej stronie holu.

A dlaczego by nie zajrzeć?

Pchnąłem drzwi. Otwarły się cicho. Nikt na mnie nie wyskoczył, nie przegalopował po moim grzbiecie. Wszedłem do środka. I oto ujrzałem to, czego szukałem, na widoku, na niewielkim biurczku.

Kochanie

Klucz jest bezpieczny. Muszę zniknąć. Oni są już zdesperowani. Bądź ostrożny. Kocham cię.

Marigold

Marigold? Pismo było takie samo jak w liście przysłanym mi przez osobę nazwiskiem Hester Podegill. Czyżby dla każdego klienta miała inne nazwisko? To znacznie utrudniałoby mi znalezienie jej. Nikt nie będzie wiedział, kogo mam na myśli.

Jest aktorką. A jeśli za każdym razem, kiedy podaje inne nazwisko, staje się zupełnie inną osobą? Wtedy naprawdę trudno będzie ją odnaleźć.

Aby znaleźć obecną Jill, muszę dowiedzieć się, kim była przedtem. Pokey używał tej techniki, kiedy szukał ludzi, którzy udawali zaginionych. Rozmawiał z krewnymi, przyjaciółmi, wrogami, sąsiadami, znajomymi, skłaniając ich do mówienia i nie przebierając w metodach, dopóki nie poznał zaginionej osoby lepiej niż ktokolwiek na świecie - aż wreszcie był w stanie śledzić tok myślenia ofiary.

To jednak wymagało czasu, a tu liczyła się każda sekunda.

Największe szansę miała Maya i Potępione. Były pod ręką. A ja byłem winien Mayi przeprosiny.

Wyszedłem na ulicę, dziwnie pewien, że pominąłem coś niesłychanie ważnego. Ale co? Nic nie przychodziło mi do głowy. Szedłem powoli, sprawdzając otoczenie. Aha. Chłopaczki już tu są.

Przejęli mnie, kiedy wyszedłem z domu. Dostrzegłem trzech, którzy właśnie nadchodzili. Nie wydawali się chętni do zmniejszenia odległości. Chyba nie zamierzali wejść mi w drogę, ale niezbyt starali się, żeby pozostać w ukryciu. Nie przyjrzałem się dokładnie, ale nie wyglądali na takich zabiedzonych i chudych jak moi poprzedni prześladowcy.

Jeśli dalej będą się trzymać w przyzwoitej odległości, zajmę się nimi, kiedy przyjdzie na nich czas.

Byłem o jedną przecznicę od Potępionych, kiedy stwierdziłem, że nie oni jedni mnie śledzą. Siostrzyczki także się za mną włokły. O, jak miło.

Ludzie nie zwracają uwagi na dzieci, zwłaszcza na niedojrzałe dziewczynki, jeśli nie pokazują, co mają. Nie zauważyłem ich, dopóki nie zorientowałem się, że widzę te same twarze po kilka razy. Od tej pory zacząłem uważać i dostrzegłem kilka znajomych.

No i co teraz?

W miarę, jak zbliżałem się do ich kryjówki, one zbliżały się do mnie. Chyba zraniłem uczucia Mayi bardziej, niż sądziłem.

Zawsze była wrażliwa i nieprzewidywalna.

Jeśli to miała być konfrontacja, lepiej, aby odbyła się na otwartej przestrzeni, gdzie przynajmniej mogę wybrać kierunek ucieczki.

Przysiadłem na stopniach budynku.

To je zbiło z tropu. O to chodziło. Spodziewałem się, że pójdą po Mayę i już ona mi osobiście wyjaśni, jaki to ze mnie dupek żółędny.

Wyszło trochę inaczej.

Po kilku minutach dziewczyny zorientowały się, że je wzywam. Podeszły. Na ulicy zapanowała dziwnie elektryzująca atmosfera, pachnąca poważnymi kłopotami. Wszyscy nie zaangażowani w sprawę poznikali, choć nikt nie ucieka) i nikt nie krzyczał. Dziewczynki zbliżały się z pewnością siebie watahy wilków. Wsunąłem dłoń do kieszeni i namacałem jeden z podarków Peridonta.

Wybrałem znajomą szesnastolatkę, spojrzałem jej w oczy i wyszeptałem:

- Maya przesadza, Tey. Powiedz jej, żeby wzięła tyłek w garść i przyszła tu pogadać, zanim komuś stanie się krzywda.

Dziewczyny spojrzały po sobie z zakłopotaniem. Ale ta, do której przemówiłem, nie pozwoliła, aby jakiś stary wapniak wciskał jej kit.

- Gdzie ona jest, Garrett? Co z nią zrobiłeś?

Gang był teraz całkiem blisko i wyglądał coraz bardziej niebezpiecznie. Za dziewczętami podchodzili chłopcy, których wcześniej nie zauważyłem. Dwóch z nich znałem: Saucerheada Tharpe i łotrzyka nazwiskiem Coltrain.

Teraz byłem w domu.

Chodo był pewien, że wiadomości o Jill będą mu potrzebne znacznie wcześniej, niż zdoła się dostać Mistrzowi do skóry. Równie pewien był tego, że to ja będę facetem, który ją znajdzie. Dlatego załatwił, by Morley mnie dyskretnie krył, zapewniając go, że ja pozostanę w dobrym zdrowiu, a on będzie miał zajęcie.

Morley jest dla mnie czymś w rodzaju przyjaciela. Jest znacznie lepszym przyjacielem, jeśli ma się na niego oko. To sprawa głównie między nim a jego sumieniem.

Obserwowałem, jak moi rycerze zbliżają się do dziewczyn. Zachichotałem.

- Co, Garrett, myślisz, że to zabawne? Chcesz wiedzieć, co robimy z wesółkami? Wepchniemy ci twoje własne jaja do gardła i zobaczymy, jak się wtedy będziesz śmiał. Co zrobiłeś z Mayą?

- Nic z nią nie zrobiłem, Tey. Nie widziałem jej. Dlatego tu przyszedłem. Chcę z nią porozmawiać.

- Nie wciskaj nam ciemnoty, dobrze? Ostatni raz, kiedy ktokolwiek ją widział, była w twoim towarzystwie i robiła do ciebie cielejące oczy, wielkie jak księżycy.

Jedna z młodszych dostrzegła moje aniołki.

- Tey, mamy towarzystwo. - Dziewczęta rozejrzały się i poziom ich wrogości spadł na łeb na szyję. Pięciu facetów; takich jak tych pięciu facetów, wystarczy, żeby wybić z głowy zadziorność największym zuchom.

- Tak - powiedziałem, szczerząc zęby. - A teraz, Tey, może usiądziemy sobie i pogadamy jak starzy przyjaciele. - Poklepałem schodek.

Tey rozejrzała się, a wraz z nią jej koleżanki. Ci chłopcy wyglądali tak, jakby rozwalenie w drobny mak grupki dziewcząt w najmniejszym stopniu nie mogło zaciążyć na ich sumieniach. Wydawało się, że małe dziewczynki są ich ulubionym przysmakiem na śniadanie.

Tey była jedną z adiutantek Mayi. Marzyła, że kiedyś zostanie jej następczynią. Mała bestia o wstrętnym charakterku, brzydka jak gotowana bulwa, o takich manierach, że Maya wydawała się przy niej damą. Na szczęście miała rozum. Uznawała rozmowę za jedną z bardziej popularnych alternatywnych metod rozwiązywania sporów. Usiadła.

- Mam wrażenie, że pomyliłyście się co do miejsca pobytu Mayi - zauważyłem.

- Nie wróciła do domu. Mówiła tak, jakby miała jakieś plany.

- Była ze mną - przyznałem. - Spacerowaliśmy sobie, próbując natrafić na facetów, którzy zamordowali mojego kumpla.

Opisałem cały wieczór. Grupa słuchała, jakby chciały przyłapać mnie na kłamstwie.

- Nie znasz Mayi tak dobrze, jak myślisz - odezwała się Tey. - Musisz brać ją poważnie. Nie mówi niczego, czego nie ma na myśli. Wiesz, co zrobiła potem, prawda?

- Próbowała iść za tymi chłopakami, żeby pokazać mi, ile może zdziałać sama.

- Aha. Nieraz jest cholernie uparta. Co zrobimy?

- Znajdę ją, Tey.

- Ona należy do Potępionych, Garrett.

- Ci chłopcy grają na całego. To nie przewalanka w błocie, rozwalenie paru łbów i po wszystkim. Próbowali zniszczyć Choda Contague'a. Użyli czarów.

Nawet nie mrugnęła.

- Czarownicy mają taką samą krew jak inni i można jej upuścić. Spojrzałem na nią uważnie. Nie rzucała słów na wiatr.

- Pamiętasz może blondynkę, która do was kiedyś należała? Używała wielu przybranych nazwisk, mówiła mnóstwo kłamstw o sobie, żeby się wydać bardziej interesującą.

- Hester Podegill?

- To jedno z nazwisk, jakich używała. Może być z lekka stuknięta.

- Bardziej niż z lekka. Jasne, że ją pamiętam. Hester to było, jej prawdziwe imię. Chciała być stuknięta. Mówiła, że kiedy jest się stukniętą, prawdą jest wszystko, czego się zapagnie. Chciała, żeby to, co pamięta, było nieprawdą.

- Byłyście blisko. - Zmierzyłem ją zimnym spojrzeniem.

- Byłam jej jedyną przyjaciółką, ponieważ tylko ja jej słuchałam. Tylko ja ją rozumiałam. Tylko ja wiedziałam, o czym tak bardzo chciała zapomnieć.

Nieraz przekraczasz rzekę tak szybko, że nawet nie zdążysz zamoczyć sobie pięt, a już jesteś na drugim brzegu. Mój umysł rozjaśnił się, jakby zapalono w nim wszystkie lampy z apartamentu Jill.

- To ona wzniciła pożar, w którym zginęła jej rodzina. Tey skinęła głową.

- Wylała na swojego ojczyma galon oliwy, kiedy znów wrócił do domu pijany. Nie zastanawiała się, jakie skutki będzie miał pożar. Chciała tylko zrobić mu krzywdę.

Gdybym wymordował całą swoją rodzinę, też chciałbym być kimś innym. Chciałbym być szalony. Może nawet chciałbym dołączyć do Potępionych.

- A co z nią? - dopytywała się Tey.

- Ona stanowi klucz do zagadki, którą zajmowaliśmy się z Mayą. - Wprowadziłem ją w kilka szczegółów. - Mogłaby nam coś niecoś powiedzieć.

Mówiłem cicho, nie chciałem, żeby ktokolwiek wiedział, że Garrett jest jedyną nicią prowadzącą do Jill Craight. Dla dobra mojego i Potępionych.

Jak mówiłem, Tey miała łeb nie od parady. Powiedziałem jej sporo, a ona domyśliła się reszty.

- Jesteś jak wąż, Garrett. Śliski, układny wężyk. Wypuścimy cię tym razem. Ale kiedy spotkamy się znowu, mogę przypadkiem być druhną Mayi.

Trudno mi było to przełknąć. Roześmiała mi się w nos i nie był to przyjemny śmiech.

- Mam parę pomysłów, gdzie szukać Hester - mruknęła. - Dam ci znać.

Chciałem zaoponować, ale było już za późno. Moja ochrona uznała, że nic mi nie grozi, i ulotniła się. Gdybym zaczął naciskać, wrogość mogłaby pojawić się znowu. Siedziałem zatem, czekając, aż dziewczęta się rozejdą.

Naprawdę, nie mogłem już nic więcej wymyślić, udałem się zatem do domu. Dean oznajmił mi, że nie miałem w międzyczasie żadnych gości ani wiadomości. Powiedziałem mu, że Maya ma kłopoty. Zdenerwował się. Bez jednego słowa zwałił na mnie całą winę. Zapytałem, czy humor Truposza się poprawił. Otrzymałem odpowiedź, że ten stary worek zjełczanego łoju znów zasnął.

- Świetnie. Zapomnimy o nim, jeśli tak sobie życzy. Nie będziemy go niepokoić nawet najnowszymi wieściami o Glorym Mooncalledzie.

Byłem rozgoryczony. Czuję się winny z powodu Mayi i musiałem się jakoś na kimś wyładować. Truposz świetnie się do tego celu nadawał.

Garret 03 Zimne Miedziane lzy

XXXI

Wykąpałem się, przebrałem jeszcze raz, zjadłem coś niecoś i z braku jakiegokolwiek błyskotliwego planu wybrałem się do domostwa Tate'ów, gdzie odbyłem solidną kłótnię z Tinnie. A potem się przeprosiliśmy.

Wzajemne przeprosiny były tak świetną zabawą, że zdecydowaliśmy się na powtórkę.

Kiedy skończyliśmy się przepraszać po raz trzeci, było już prawie ciemno i zacząłem mieć kłopoty z zebraniem myśli, toteż pokłóciłem się jeszcze raz, tak troszeczkę, żeby mieć pretekst do następnych przeprosin, po czym wróciłem do domu.

Po drodze wpadłem na wujcia Willarda, który okrężnymi drogami zaczął zastanawiać się, kiedy ustalimy z Tinnie datę ślubu. Miał, biedaczek, ten sam problem co Dean.

Czyżby i jego wzięło?

Jak to się dzieje, że jest tylu ludzi, którzy tylko marzą o tym żeby wyswatać innych? Może gdyby się wycofali i nie przypominali facetowi o sprawie, wpadłby w nią z uszami, zanimby się obejrzał.

No i dlaczego mam taki kiepski nastrój?

Ponieważ to było bardzo miłe popołudnie. Ponieważ w czasie, kiedy się zabawiałem, niegrzeczni chłopcy ciężko się trudzili. Ponieważ zagubione dziecko, które bardzo lubiłem, siedziało w tym po uszy, a ja nie ruszyłem palcem, żeby je z tego wyciągnąć.

- Ojejku. Znowu się zaczyna. - Dobrze znałem te symptomy. Wyłazi z człowieka skrzypiąca, stara zbroja i zardzewiały miecz. Szlachetny Garrett znów rusza w bój.

Przynajmniej tym razem ktoś mi zapłaci za kłopot... Chociaż nie będę robił dokładnie tego, za co mi płacą.

Ale ja nigdy nie robię dokładnie tego, co powinienem. Robię to, co uważam za stosowne. Dlatego nie wszyscy z moich poprzednich klientów dają mi przychylne referencje.

Nie mając nic lepszego do roboty, ruszyłem w stronę dzielnicy teatralnej Old Shipway. Kto wie? Może wpadnę na coś jasnowłosego?

Mój konwój wyruszył za mną. Twarze zmieniały się co jakiś czas, ale nigdy nie było ich mniej niż czterech. Miło wiedzieć, że ktoś cię kocha.

Zastanawiałem się, dlaczego gang Mistrza nie próbuje mnie dopaść po raz kolejny. Ci, których do tej pory widziałem, byli zbyt głupi na to, by się zorientować, że chodzę z obstawą.

W teatrze wypytałem wszystkich znajomych. Blondynek mieli na pęczki, ale żadna z nich nie nosiła nazwiska, które mógłbym skojarzyć z Jill. A ponieważ nie miała niczego takiego, czego nie miałyby inne, moi informatorzy nie mogli mi pomóc. Ograniczyli się jedynie do wskazania mi grupki aktualnie (a niekiedy bardzo) dostępnych blondynek. Wszystkie były śliczne, do schrupania, ale żadna z nich nie była Jill Craight.

Niektóre ze ślicznotek przebąkiwały coś o innych ślicznotkach, nieosiągalnych w danej chwili; używały języka niezbyt pochlebnego i wybrednego, ale niewiele mi to dało. Niektóre tylko mru-czały i łaśliły się jak kotki.

Życie jest ciężkie.

Gdybym był w innym nastroju, wyprawa mogłaby przerodzić się w rozkoszne poszukiwanie

małych skarbeczków. Musze sobie to zapamiętać. Któregoś dnia sam wymyślę podobną historie i przyjdę tutaj, powłóczyć się po tej krainie czarów, i wtedy będę miał czas powąchać te cudne kwiatki.

Skąd one wszystkie się biorą? Gdzie się podziewały w moich lepszych czasach?

Mniej więcej pod koniec spaceru dotarło do mnie coś, o czym wszyscy już od dawna wiedzieli, a ja zorientowałem się w temacie dopiero wtedy, gdy podsłuchiłem rozmowę dwóch strażników miejskich z żonami.

Straż miejska słynie z tego, że jest całkowicie niewidzialna. TunFaire ma około tysiąca strażników zatrudnionych w interesie bezpieczeństwa publicznego, ale w ciągu ostatnich stu lat straż stała się miejscem, gdzie lokowało się rozrzutnych bratanków i innych kłopotliwych członków rodziny, aby nie nadwerężali rodzinnej kasy. Obecnie dziewięćdziesiąt procent tych wspaniałych młodzieńców zrobiłoby wszystko, by pozostać z dala od problemów i nie wtrącać się do pełnego zasadzek życia. A jeśli już czegoś spróbują, zrobią akurat nie to co trzeba.

Za to oficerowie mają ładne mundury i lubią je pokazywać. Najchętniej w teatrze.

Grupka ta rozprawiała o zbrodni tak potwornej, że opinia publiczna mogłaby zmusić ich do podniesienia tyłków i zajęcia stanowiska. Żony na to zgodnie stwierdziły, że Armia powinna wybić do nogi wszystkich przedstawicieli klas niższych i nie-ludzi.

Ciekaw byłem, kto wtedy gotowałby dla nich, kto by prał, oporządzał ogród, szył im śliczne butki i eleganckie suknie.

- O czym oni mówią? - zapytałem młodzieńca, który w imieniu Stratosy prowadził mnie od blondynki do blondynki.

- Nie słyszał pan?

- Jeszcze nie.

- Największe masowe morderstwo od wielu lat Prawdziwa masakra. Miasto aż się trzęsie. Co ty, człowieku, trzymałeś głowę w piasku?

- Nie, pod kołdrą. Skończ z pierdołami. Co się stało?

- W biały dzień banda gangsterów wparowała do noclegowni na Wharf Street w South End i wymordowała wszystko, co się rusza. Najmniejsza liczba, jaką słyszałem, to dwadzieścia dwie osoby zabite i z tuzin zakładników. Powiadają, że to Chodo Contugue. Zdaje się, że mamy wojnę gangów.

- Kiedy Chodo się wścieka, od razu wszyscy wiedzą i do wszystkich to dociera - mruknąłem. Ciekawe, co Crask i Sadler wydobyli ze swoich więźniów. Z przykrością doszedłem do wniosku, że pewnie już wiedzą dużo więcej niż ja, bo nie są tak wybredni w doborze metodyki.

Co mogłem zrobić? Jedynym śladem, jaki miałem, była Jill Craight. A ta poszlaka prowadziła do ślepego zaułka.

Do licha. Równie dobrze mogę wrócić do domu, odespać osiem godzin i od samego rana wziąć się do roboty.

Garret 03 Zimne Miedziane lzy

XXXII

Dean wpuścił mnie i szepnął:

- Jest tu jakaś młoda dama, która chce rozmawiać z panem na temat Mayi.

Zmarszczony nos powiedział mi dosadnie, co Dean myśli na temat gościa, i wyrobił mi niejasne pojecie, kto to mógł być.

- Tey Koto?

- Nie raczyła się przedstawić.

Pod nieobecność Deana Tey dobrała się do piwa.

- Masz przerąbane, wiesz o tym, Garrett? - Próbowała pić piwo tak, jakby to robiła przez ostatnie dwadzieścia lat, poleciała jej w niewłaściwy otwór i zaczęła prychać pianą po całej kuchni. Dean nie był zbyt szczęśliwy. Trzepnąłem ją w plecy.

W tym momencie ktoś zaczął walić pięścią w drzwi wejściowe. Jakby tylko czekał na mój powrót do domu.

- Cholera! Co znowu? - Ruszyłem do holu i wyrząłem. To nie był nikt znajomy. Miał ten sam zabiedzony, wychudzony i zniszczony wygląd jak każdy, kogo kojarzyłem z gangiem Mistrza. A zatem Chodo nie dopadł wszystkich.

Rozejrzałem się, czy za nim nie kryje się cała banda, po czym obejrzałem sobie dokładniej samego gościa, zastanawiając się, ile może zdziałać w pojedynkę. A on dalej walił w drzwi.

- Chyba lepiej z tobą pogadam, zanim Saucerhead zrobi sobie z, ciebie przekąskę. - Banda goryli nieraz trochę przeszkadza.

Gwałtownym ruchem otwarłem drzwi, złapałem go za frak, wrzuciłem do środka i przywaliłem nim w ścianę. Wyglądał na nieco zdumionego.

- Czego? - zapytałem łagodnie.

Łapał powietrze wielkimi haustami i mamrotał coś pod nosem. Walnąłem nim o mur jeszcze parę razy.

- Gadaj wreszcie.

- Mistrz... Mistrz - wypowiedź miał chyba wykutą na pamięć. Moje powitanie wytrąciło go z rytmu i zapomniał kwestii.

Łup!

- Nie mam czasu bawić się z tobą przez całą noc, mendo! Masz coś do powiedzenia, to wal. Już mnie wszyscy doprowadzacie do szału. Jeszcze chwila, a pożałujesz dnia, w którym przyszedłeś na świat.

Z jego nieskładnego bełkotu wywnioskowałem, że Mistrz żywił te same uczucia w stosunku do mnie i daje mi ostatnią szansę, żebym wycofał się ze sprawy i wsadził nos gdzie indziej. Albo...

- Albo wsadzi mi żabę za kołnierz? Słuchaj, kolego. Ten stary dureń ma więcej bezczelności niż rozumu. To chodzący trup, ma przed sobą akurat tyle żywota, ile trzeba, żeby Chodo Con-tague go dopadł. Jeśli ty i twoi kumple macie choć tyle instynktu samozachowawczego co pluskwa, już was tu nie powinno być. - Zacząłem wypychać go za drzwi. - Powiedz temu swojemu półgłówkowi szefowi, że to on jest moją sprawą i zamierzam wsadzić mu coś innego niż nos tam, gdzie słońce nie zagląda. Jasne?

- Czekaj!

I wtedy pojawiło się to „albo”. Nie była to osobista groźba, jak sądziłem z początku. Tyle razy mi grozili, że nawet przestałem na to zwracać uwagę. Ale facet powiedział:

- Mistrz kazał ci przekazać, że mamy twoją przyjaciółkę, Mayę Stump, i to ona zapłaci za...

Łup! Z powrotem o ścianę i pod ścianę.

- A ja mam ciebie, staruszk.

- Ja jestem niczym. Palcem u jego dłoni. Odetnij mnie i na moim miejscu zaraz wyrośnie następny.

- Naprawdę wierzysz w te pierdoły?

Wierzył. Nasi dowódcy w Kantardzie oddaliby wszystko za parę tysięcy facetów, którym nie przeszkadza, że są mięsem armatnim.

- Tey! Chodź no tu na chwilę. Przyszła. I tak podsłuchiwała.

- Ten gość twierdzi, że jego szef ma Mayę i że zrobią jej parę niemiłych rzeczy. Nie obchodzi go, co my z nim zrobimy.

Uśmiechnęła się uroczo.

- Zacznie go obchodzić, zanim jeszcze skończę z nim rozmawiać. - O, młodzieży, jak łatwo przychodzi ci okrucieństwo.

- Na pewno. Ale jego szef nie przysłałby akurat tego tu, gdyby można było z niego wyciągnąć jakieś informacje. Myślę, że chyba go tylko trochę posiniaczę, a potem wyrzucę razem ze śmieciami.

Jak mówiłem, to sprytnie dziecko. Już wiedziała, co ma zrobić.

- Cóż, jeśli nie mogę go dostać, do diabła z tobą. - W podskokach wróciła do kuchni i prędko do tylnych drzwi, za którymi zostawiła całą watahę Sióstr.

Jeszcze raz wypróbowałem faceta na ścianie.

- Powiedz szefowi, że jeśli tknie Mayę, niech lepiej na klęczkach modli się, żeby to Chodo dopadł go pierwszy. Chodo w końcu chce go tylko zabić.

No dobrze. Pogroziliśmy sobie, pobębniliśmy pięściami po kłatach i poskakaliśmy do oczu jak dwa dumie. A teraz wynoś się, zanim stracę cierpliwość.

Spojrzał, jakby podejrzewał jakiś podstęp, a potem szybko posznurował w stronę drzwi. Kiedy już tam był, skoczyłem w jego stronę. Zawył i wystartował jak oparzony.

Usiadłem na ganku i patrzyłem, jak zmyka.

Cała ta szarpanina nic mi nie dała. Nawet się przy niej nie ubawiłem. I wcale nie poczułem się lepiej. Nawet nie mogłem przekonać samego siebie, że w ogóle była potrzebna.

Garret 03 Zimne Miedziane lzy

XXXIII

Z mroku wynurzyła się Tey.

- Przyczepiłaś mu kogoś? - zagadnąłem.

- Aha.

- A więc to mamy z głowy. Po co wróciłaś? Dean mówił, że chodzi o Mayę.

- Tak. Myślę, że mamy trop.

Poczęstowałem ją uniesieniem brwi. Niepotrzebny wysiłek w tych ciemnościach.

- Jak to? - zapytałem.

- Słyszałaś o tej rozróbie na Wharf Street? Chłopcy Chodo wypruli flaki z całego tłumu ludzi.

Wydawało mi się, że brzmi to podobnie jak to, co ty mi opowiadałaś. Poszliśmy i przepytaliśmy dzieciaki, które tam mieszkają. Kilkoro z nich widziało całe zdarzenie. Ludzie Chodo nikogo nie zabili. Duża grupa uciekła tyłem. Pociągnęli za sobą kilka osób. Jedna z nich wyglądała jak Maya...

No, no.

- Ciekawe, bardzo ciekawe. Gdzie poszli?

- Nie wiemy. Wsiedli na łódzie i ruszyli w dół rzeki. Ale nie odpłynęli daleko. Dzieciaki powiedziały nam, jak wyglądały łódzie. Znalazłyśmy jedną z nich o mile dalej. Wiemy, że nie opuścili TunFaire, ponieważ jeden z nich właśnie wrócił, żeby cię nastraszyć.

Z całą pewnością nie miałem ochoty na spacer, ale na wszelki wypadek zapytałem:

- Może pójdziemy trochę powęszyc?

Powiedziałem Deanowi, dokąd idę. Spodziewałem się, że zacznie pyskować, ponieważ musi przez to spędzić więcej czasu poza domem, ale nie powiedział ani słowa. Powiedziałby pewnie niejedno, gdybym nie szukał akurat Mayi.

Do miejsca masakry przy Wharf Street było dobrych kilka mil. Łódzie, o których mówiła Tey, wyruszyły stąd na południe, też niezły kawałek drogi. Po paru minutach zaczęliśmy rozmawiać. Mówiła głównie Tey, malowniczo przedstawiając swoją wspaniałą pozycję w gangu. Zapytałem ją o Mayę. Nie powiedziała mi niczego, czego bym już nie wiedział. Od czasu do czasu zaczepiali ją posłańcy, przekazujący informację o śledzonym człowieku. Szedł w tym samym kierunku co my. Tey powiedziała posłańcom, którędy pójdziemy, żeby mogli nas później odnaleźć.

Moje aniołki też tu były, osłaniając mi plecy.

Ale parada.

- Próbowałem dziś szukać Hester - zagailem w pewnej chwili. - Obejrzałem wszystkie blondynki, które pracują w Old Shipway. Żadna z nich.

Tey wybuchnęła śmiechem.

- Old Shipway? Ależ ty jesteś słodziutki, Garrett.

- He? - Słodziutki?

- Naprawdę uwierzyłeś w te bzdury o teatrze?

Cóż, tak, kupiłem to, kiedy Peridont potwierdził.

- Garrett, jedyną sceną, jaka ją znała, było miejsce, gdzie spotykają się osły, oraz faceci, którzy powinni byli urodzić się osłami, wilkolakami lub trollami. Wiesz, o czym mówię?

Sieknąłem z cicha. Wiedziałem; jasne, że wiedziałem. Czulem wstręt, w zasadzie nie z powodu

tego, co mogła robić Jill, ale z powodu moich zamydlonych oczu. Patrzyłem i widziałem tylko to, co chciałem widzieć. Kiedy Peridont zafundował mi gigantyczny stek bzdur dotyczących pochodzenia jego kochanki, skonsumowałem go w całości. Zapomniałem o pierwszej zasadzie: na temat seksu kłamią wszyscy, a zwłaszcza klienci. Poczułem, że wyszedłem na durnia.

- Wróciła do Dzielnicy - zapewniła mnie Tey. - Moje dziewczyny poleciały tam zaraz i widziały ją, ale zniknęła, zanim zdążyły ją podejść.

Zastanawiałem się, czy mam uwierzyć także i w to. Jill wychowała się u Potępionych, a te nie miały zbyt wielu powodów, żeby mi ją wystawić.

Dziwna sprawa. Nic namacalnego. Kiedy chodzi o kupę forsy, masz punkt zaczepienia. Pilnujesz jej i bardzo szybko wszystko staje się jasne, nawet jeśli nie wszystkimi graczami kieruje chciwość. Dla nich ta forsa stanowi przynajmniej wymówkę lub bodziec.

Do tej pory nie wywahałem nawet grosika, z wyjątkiem może Relikwii, o których wspominał Peridont podczas pierwszego spotkania, i tego, co tak bardzo chcieli ukraść Jill, cokolwiek to było. Ale akurat te dwie sprawy w trakcie całego zamieszania uległy całkowitemu zapomnieniu.

Nie jestem facetem, który zna się na sprawach niematerialnych. Wiem, niektórzy sprzeczaliby się, że sam mam pewne wartości, które traktuję bardzo poważnie, ale jeśli czegoś nie mogę zjeść, wydać lub sprawić, żeby to coś mruczało w nocy na mojej poduszce, nie wiem, co jeszcze mógłbym z tym zrobić. Taka mała słabość, ślepa plamka. Nieraz zapominam, że są faceci, którzy dają się zabić dla idei. Prę naprzód i szukam mojej kupy forsy.

Dotarliśmy do Wharf Street. Gość, który złożył mi wizytę, wciąż był przed nami. Moje aniołki majaczyły w ciemności, prawdopodobnie przeklinając mnie za to, że przegoniłem ich przez całe miasto. Czy ja nigdy nie śpię?

Ludzie, a jak ja przeklinałem sam siebie! Dokładnie z tego samego powodu.

- To było właśnie tu.

Wharf Street, nabrzeże - rząd sklepów i kramów wzdłuż rzeki - jest do mnie bardzo podobne. Nigdy nie zasypia. Kiedy znikają ludzie dnia, pojawiają się ludzie nocy i handel idzie pełną parą.

Grupa czterdziestu lub pięćdziesięciu goblinów i wilkołaków, i czego tam jeszcze; stali, dyskutując zawzięcie, podczas gdy miejscy ludzie-szczury ładowali kolejne partie ciał na wozy krematoryjne. Miasto właśnie zabrało się do sprzątanina ze zwykłą, zadziwiającą szybkością i efektywnością.

Wszystko odbywało się w normalnym zamieszaniu, jak w czasie alarmu pożarowego.

Ludzie-szczury poruszali się z taką szybkością, że ledwie było widać, że w ogóle się ruszają.

- Pójdę powęszyc - powiedziałem.

- Nie zatrzymają cię?

- Może i tak. Ale każdy człowiek pojawiający się o tej porze nocy, jeśli wygląda na szefa, jest za takowego uznawany.

Rzeczywiście. Pochwyciłem kilka ponurych spojrzeń, ale były to spojrzenia zarezerwowane dla szefów. Właśnie dlatego, że nimi są. Nikt nie pisnął ani słowa. '

Nie spodziewałem się znaleźć wiele i jak zwykle miałem rację. Nocne marki, rabusie, czarownicy i łowcy pamiątek oczyścili miejsce z gnatów, nawet trupy rozebrali do naga. Ludzie-szczury klęli, bo nie zostało nic dla nich.

Jeśli chcą śmietanki, muszą się spieszyć, żeby zdążyć ją zebrać.

Zauważyłem tylko jedną dziwną rzecz. Te soprany zajęły cały budynek i przebywały w nim dość długo, by przekształcić go w najdziwniejszą ze stałych świątyń.

W każdym pomieszczeniu jedna ściana została na nowo pokryta tynkiem i freskami

przedstawiającymi istoty o ośmiu kończynach. Nie znalazłem dwóch identycznych. Był tam pająk, krab, wyjątkowo brzydka ośmiornica, oraz sporo stworzeń, które w naturze mają mniejszą liczbę kończyn. Jedno wyglądało jak brat bliźniak potwora, który złożył wizytę Chodo. Inne, najpaskudniejsze ze wszystkich, miało ludzką postać, ale czaszkę na miejscu twarzy i w każdej z ośmiu rąk coś obrzydliwego. Ponad nim widniało to samo motto co na monetach: „I Będzie Królował w Chwale”.

- Chyba mi się to nie podoba - mruknąłem.

- Brzydka mamuśka, co nie? - zauważył jeden z ludzi-szczurów.

- Jeszcze jak. Wiesz może, kto to ma być?

- Szeffie, ale skąd. Wygląda, jakby się przyśnił na haju komuś, kto bardzo szybko chciał wytrzeźwieć.

- Aha. To nie żaden sąsiad z przeciwka.

Nie znalazłem nic więcej. Wyszedłem na ulicę. Ruszyliśmy na południe. Nie miałem wiele do powiedzenia. Postanowiłem sobie, że jeśli uda mi się na wystarczająco długo zaprzestać gonitwy, zajmę się bardziej wnikliwie tymi chłoptasiami i ich diabelskim bożyszczem.

Przeszliśmy kolejną milę. Pomyślałem, że dopiero teraz zaczynam sobie zdawać sprawę, jak wielkie jest TunFaire. Jedna z Sióstr doniosła nam, że facet, którego śledzimy, wszedł do jakiegoś ma-gazynu, około pół mili przed nami, pięćdziesiąt jardów od miejsca, gdzie znaleziono porzuconą łódź.

Zanim doszliśmy, dziewczęta już zrobiły rozpoznanie.

Wyjścia były dwa: frontowe i tylne, na parterze brak okien, tylko jeden malutki lufcik do odprowadzania ciepła latem. Główna brama była na tyle duża, żeby minęły się w niej dwa wozy. Dziewczyny kryły tylne wyjście. Nie miały pojęcia, co lub kto jest w środku. I chyba nie chciały się tego dowiedzieć.

Rozejrzałem się. No i czymże ja tu dysponuję? Armią dzieciaków, nieznośnych, ale nie nadających się do prawdziwej walki. Moimi aniołkami, które nie są zainteresowane najazdem. I wielką niewiadomą.

- Wchodzę tam - oznajmiłem.

- Garrett, jesteś szalony. - Tey powoli pokręciła głową.

- Nieraz trzeba przyspieszyć bieg wydarzeń.

Garret 03 Zimne Miedziane lzy

XXXIV

Drzwi przeznaczone dla ludzi - w bramie dla wozów - nie były zamknięte. Wszedłem do środka. Pomieszczenie było mroczne jak serce poborcy podatków. Nasłuchiwałem. Nie usłyszałem niczego, z wyjątkiem dźwięku, który mógł pochodzić od czmychających myszy. Gdzieś w głębi pomieszczenia trzasnęły drzwi.

Ruszyłem naprzód, szurając nogami, lewą ręką macając przed sobą powietrze. Gdzieś w oddali spostrzegłem błysk światła mniej więcej na poziomie głowy. Ostrożnie posuwałem się dalej. Żałowałem, że nie mam sowych oczu.

Chwilę później mogłem przestać żałować, bo zabłysło światło.

Nagle i znikąd wyskoczyła grupka opryszków, odsłaniając doskonale zamaskowane latarnie. Naliczyłem dziewięciu. Dziesiąty, za moimi plecami, odezwał się:

- Pan Garrett. Już zaczęliśmy się bać, że nie połknąłeś haczyka.

- Przepraszam za spóźnienie. Niepunktualność to mój największy problem.

W rękach drabów pojawiły się różne typy broni. Zdaje się, że ten tłumek nie doceniał mojego poczucia humoru.

- Gdybym wiedział, że to aż taka impreza, włożyłbym smoking...

Nie miałem pojęcia, jaki to będzie miało na mnie wpływ, ale rzuciłem zieloną fiolkę.

Zareagowałem tak samo jak cała reszta. W ciągu trzech sekund nie tylko nie wiedziałem, gdzie jestem i po co tu przyszedłem, ale nie byłem też pewien, kim jestem. Nie byłem w stanie poruszać się po linii prostej. Spróbowałem - i momentalnie skręciłem na lewo, w stos skrzyń. Były puste. Szedłem dalej. Cała sterta poleciała mi na łeb.

Byłoby o czym opowiadać wnukom.

Próbowałem walczyć ze skrzyniami, ale były dla mnie za szybkie. Poddałem się zatem i pozwoliłem im robić ze mną, co chciały.

Już bym sobie uciął drzemkę, ale jakaś cholerna banda zaczęła wołać faceta nazwiskiem Garrett i nie mogłem usnąć w tym hałasie.

Ktoś wykopał mnie spod sterty. Dwa z moich aniołków postawiły mnie w pionie, a trzeci walił po pysku. Niewiele pomogło.

Pozostała dwójka zaczęła wiązać resztę towarzystwa. Wszędzie pętały się dziewczyny, szukając wszystkiego co cenne i słabo przymocowane. Wreszcie język trochę mi się rozwiązał.

- Maya.

- Maya! - zaczęły nawoływać dzieciaki.

Chłopcy gadali coś o facecie nazwiskiem Chodo, z którym należy się skontaktować, żeby mu sprzedać więźniów. A ja, zdaje się, pamiętałem ich jako anioły. Niezbyt anielskie podejście.

Zaczęło mi się rozjaśniać w makówce.

- Już dobrze, chłopaki, nie musicie mnie trzymać.

- Co to był za fikołek, Garrett? - prychnął Klin. - Włazisz w pułapkę, chociaż wiesz, że ona tam jest.

- Musiałem jakoś rozruszać sprawy. - Nie chciałem się przyznać, że pułapka była dla mnie zaskoczeniem. Uznałem też, że nie warto im mówić o tym, iż chciałem ich wciągnąć do tego ma-

gazynu. Mogliby tego nie docenić.

Burknęli coś i puścili mnie. Wziąłem latarnię i podreptałem na tyły magazynu, kierując się na okrzyki dziewczyn.

Maya siedziała w niewielkim kantorku, nad kolejną, paskudną świątynią domowej roboty. Była nieco poobtłukiwana, posiniaczona i podrapana, co wskazywało, że nie okazała się więźniem zbyt skorym do współpracy.

To nie ja ją znalazłem. Dziewczyny były tam pierwsze. Kiedy przyszedłem, wyciągały ją z kokonu. Mimo to, ja zostałem bohaterem dnia.

- Garrett! Wiedziałaś, że przyjdiesz!

- Musiałem, Mayu. Kiedy ktoś chce załatwić mojego partnera, to ja chyba powinienem coś z tym zrobić.

Kwiknęła rozkosznie i padła mi w ramiona. Niektóre samice nie potrafią odróżnić mądrej sentencji od oświadczyn.

- Dziecko, nie chce cię urazić, ale lepiej stań po zawietrznej, dopóki nie znajdziemy jakiegoś mydła i wody.

- Garrett, a może wrzucimy ją do rzeki? - zaproponowała Tey.

Maya spojrzała na nią, i wydało mi się, że ktoś plunął zielonym ogniem. Tey odparła atak podobnym spojrzeniem. Nie, te dwie dziewczuszki raczej nie będą się kochać.

- Ilu uciekło? - zapytałem, na wszelki wypadek.

- Nikt - podchwyciła Tey. - Wszyscy czekają na ciebie, z wyjątkiem jednego. Wyprowadzili go tylnymi drzwiami.

- Dobrze. Mayu, dasz radę iść? Nie możemy tu stać. Ci chłopcy mają kumpli, którzy zechcą sprawdzić, co się dzieje. Nie mówiąc już o tym, że Potępione są tu z dala od swojego terenu.

- Nie przepytasz tych gości?

- Gdybym zastawiał pułapkę, nie użyłbym ludzi, którzy coś wiedzą. Na wypadek, gdyby się nie udała. A ci tutaj to tylko mięso armatnie. Sądziś, że powiedzieliby coś więcej ponad to, co sama podsłuchałaś?

Przyznała, że to mało prawdopodobne.

- Zanim przybyli do TunFaire, byli grupą farmerów. Nie odróżnią złota od gówna. Próbuje tylko spełnić żądania tego ich stukniętego bożka. - Chyba miała wielką ochotę porachować komuś żebra.

- Po drodze kopnij kogoś w tyłek. Chodź, musimy stąd spadać. Podziękuj Tey za pomoc. Nie musiała tego robić.

Maya zgodziła się, ale niechętnie. Chyba poczuła się zagrożona. Chuko musi co dzień pokazywać, jaki jest dobry.

Niestety, nie miała już kogo kopnąć. Klin stwierdził, że zaraz mogą nadejść posiłki, więc razem z koleśkami zajęli się dostawą oprychów tam, gdzie będzie można odebrać za nich nagrodę.

Na ulicy stwierdziłem, że Maya nie wygląda najlepiej.

- Mówiłem, że Klin to nie materiał na kumpla.

- Wiem. - Po chwili dodała: - Ludzie tacy jak ten... Klin to całkiem odmienny rodzaj zła, prawda? Ludzie tacy jak mój ojczym... Był okrutny, ale chyba nie umiałby zabić nawet psa. A ten Klin zrobił to jakby od niechcenia.

Chukos bardzo sobie cenią twardego charakter. Wielu z nich to wstrętne, podłe stworzenia - zwłaszcza w obecności widzów. Niektórzy są już straceni w wieku trzynastu lat. Ale inni za tymi wszystkimi barierami obronnymi wciąż jeszcze zachowali coś z dziecka. A to dziecko chciałoby uwierzyć, że życie ma jakiś sens. W Mayi wciąż jeszcze tkwił ten ukryty malec. Tkwił i domagał się

pociechy.

- Jak sądzisz, kto narobi najwięcej szkody? - zagadnąłem, czując, że to nie do mnie należy wygłaszanie tych kazań. - Uczuciowy kaleka, który będzie chciał ranić wszystkich, którzy nie umieją się bronić, czy taki martwy emocjonalnie Klin, który zabija tylko tych, którzy się o to prosili?

Nie było to dokładnie to, co chciałem w tej chwili powiedzieć. W całej tej przemowie ziało mnóstwo dziur, ale i wiele prawdy. Cierpienie, które zadał ten stary, pozostaje na całe życie, nieraz nawet na następne pokolenia. Zło, które wyrządza Klin, jest niejako błyskawiczne. Spektakularne, ale krótkotrwałe. I nie zżera bezbronnych dzieciaków.

Nie lubię Klina. Nie lubię takich jak on. On prawdopodobnie też nie darzy mnie sympatią, ale chyba by się ze mną zgodził.

W każdym razie wiedziałem, co mówię. Do Mayi też dotarło.

- Garrett....

- Nieważne. Pogadamy w domu. To co najgorsze już za nami.

Jasne. Garrett, ty wężu. Teraz spróbuj przekonać i siebie.

Dean rozczulał się nad Maya jak najtroskliwsza mamuśka. Nie miałem okazji zamienić z nią nawet kilku słów. Słońce już wstawało, więc powiedziałem sobie, że do diabła z tym, i poszedłem spać.

Garret 03 Zimne Miedziane lzy

XXXV

Zdradziło mnie własne ciało. W południe obudziłem się i nie mogłem spać dalej. Powiniennem czuć się wspaniale, jak bohater; który uratował dziewczynę w nieszczęściu. Ale cóż, nie czułem się ani wspaniale, ani bohatersko. Byłem zmieszany, wściekły, podminowany, sfrustrowany. A zwłaszcza nieprzewidywalny.

Nie lubię, kiedy mną rzucają w te i wewte, a ja nie mam pojęcia, co się dzieje i dlaczego. Tym razem wydawało mi się wręcz, że nikt tego nie wie i każdy jest cholernie zajęty orientowaniem się, co właściwie robi na tym ringu.

Do licha, jestem draniem do wynajęcia. Płacą mi. Czy muszę jeszcze myśleć?

Chciałem wiedzieć tylko dla własnego spokoju ducha. Nie jestem Morleyem Dotesem, dla którego jedyną moralnością są pieniądze.

Zszedłem na dół, żeby ugasić pożar ciała.

Dean już usłyszał, że się miotam, i przygotował śniadanie. Na stole czekała gorąca herbata. Zaledwie wszedłem do kuchni, wylądowała obok niej taca podgrzanych bułeczek. Było masło, konfitury z jagód i sok jabłkowy. Na patelni podskakiwały kiełbaski, a w garnku tańczyły jajka.

W kuchni panował tłok.

- Co to, impreza?

Oprócz Deana były tam dwie kobiety. Rozpoznałem jedną z jego bardziej zdeterminowanych brata-nic. Bess, ale ta druga, której Bess właśnie zaplatała włosy...

- Maya?

- Czy wyglądam tak okropnie? Neeee!

- Wstań. Obróć się. Niech na ciebie popatrzę. - Wcale nie wyglądała okropnie. Gdyby ją ktoś tak zobaczył, wyleciałaby z Potępionych na zbity pysk.

- Chyba już zabrakło mi pretekstów, żeby cię nie zabrać na spacer - mruknąłem. - Aha, możesz ewentualnie wzbudzić zamieszki.

Wyglądała świetnie. Domyślałem się tego, ale nie przypuszczałem, że aż tak.

- Siad, chłopcze - mruknęła Bess.

- Panie Garrett! - karcąco odezwał się Dean. Gadał jak troskliwy ojciec.

- Oho, nie dobieram się do dzieci!

- Nie jestem dzieckiem - zaprotestowała Maya. Właściwie, jak się nad tym dobrze zastanowić, rzeczywiście nie była. - Mam osiemnaście lat. Gdyby nie wojna, miałabym męża i wianuszek dzieci.

Prawda. Przed wojną dziewczęta wydawano za męża w wieku trzynastu, czternastu lat, a kiedy skończyły piętnaście, nie było już żadnej nadziei, żeby się ich pozbyć z domu.

- Ona ma rację - powiedziałem do Deana.

- Chce pan, żeby te jajka były takie, jak pan lubi?

Jakież to dla niego typowe, tak zmieniać temat w pół zdania.

- Nie usłyszysz już ode mnie ani słowa.

- Dorośli mężczyźni - mruknęła Maya do Bess, która na to przytaknęła. To omal nie wywołało u Deana napadu wygłaszania tyrad, który go łapie za każdym razem, kiedy jedna z jego bratanic otwiera usta.

Przyszło mi do głowy, że Bess jest raptem o trzy miesiące starsza od Mayi. Dean bez trudu mógł sobie wyobrazić Bess jako moją żonę.

Ludzie rzadko bywają racjonalni.

Oczywiście, kluczowym słowem jest tu „ożenek”.

- Zapomnij o tym, Mayu - mruknąłem. - Powiedz lepiej, czego dowiedziałaś się o tych ludziach, kiedy cię trzymali w niewoli.

Zabrałem się do jedzenia. Maya usiadła, a Bess wróciła do układania jej fryzury.

- W zasadzie nie ma o czym mówić. Nie próbowali mnie ani zabawiać, ani nawracać.

- Zawsze uda ci się dowiedzieć więcej, niż myślisz, Mayu, Spróbuj.

- Dobrze - zgodziła się. - Wpadłam na błyskotliwy pomysł że jeśli pójdę za facetami, to coś ci udowodnię. No i udowodniłam, że w każdej chwili możesz mi powiedzieć: „a nie mówiłem?”.

- A nie mówiłem?

- Spryციulek. Złapali mnie i zaciągnęli do tego miejsca, którego używali jako świątyni. Dziwne, ponure miejsce. Ściany pomalowane w obrzydliwe wzory.

- Widziałem.

- Byłam świadkiem ich ceremonii religijnej. Oni tylko pracują, jedzą i modlą się o koniec świata. Raczej nie używają języka karentyńskiego.

- Wesoła kompania.

Maya chwyciła bułeczkę z mojego talerza i uśmiechnęła się pogodnie. Już się tu wprowadzała.

- Lepiej się do tego przyzwyczaj, Garrett. Aha. Wesoła kompania. Ubaw jak w rodzinnym grobowcu.

Przeżuwałem kiełbaskę i czekałem.

- To naprawdę negatywne typy. W Potępieniu znam paru negatywów, ale mogliby się uczyć od tych tutaj. Naprawdę. Modlili się o koniec świata.

- Mówisz mi rzeczy, o których nie wiedziałem. No, dalej.

Była to wystarczająca pochwała, żeby ją zadowolić. Nieraz wystarczy tylko tyle. Miałem przeczucie, że przy odrobinie zachęty może jeszcze coś z niej być.

- Mów dalej.

- Nazywają się Synami Hammona - ciągnęła. - Hammon to chyba jakiś rodzaj proroka, może z tego samego okresu co Terrell.

- Był jednym z sześciu pierwszych Towarzyszy Terrella - wtrącił Dean. - On też opuścił go jako pierwszy. Gorzkie rozstanie z powodu kobiety.

Spojrzałem na niego z zaskoczeniem.

- Dalsze dogmaty mówią, że Hammon zdradził kryjówkę Terrella Imperatorowi Cedrykowi, jeśli w ogóle mówią o nim cokolwiek - ciągnął Dean. - Ale w Apokryfach, napisanych w tym samym stuleciu, i od tamtej pory nietkniętych i pozostających w ukryciu, napisano, że było na odwrót. Że to żona zdradziła go dwa lata po śmierci Hammona. Znana pod imieniem świętej Medwy.

- Co? - Obdarzyłem staruszkę przeciągłym spojrzeniem. Nigdy nie wykazywał specjalnego zainteresowania religią ani folklorem. - Co to takiego? Skąd wzięłeś te wszystkie informacje? Kiedy stałeś się ekspertem? Nigdy nie słyszałem o tym typie, Hammonie, a matka ciągnęła mnie do kościoła równo do dziesiątego roku życia.

- Rada w Ai, panie Garrett. Pięćset dwudziesty pierwszy, era imperialna. Dwieście lat przed Wielką Schizmą. Obecni byli wszyscy biskupi, presterzy i preatorzy, a wraz z nimi grupa imperialnych delegatów. W tamtych czasach każda diecezja rozsiewała własne herezje. A każdy heretyk był fanatykiem. Imperator chciał zakończyć wiek walki. W pięćset osiemnastym, w Costain,

w ciągu jednego dnia zamieszek zostało zabitych czterdzieści osiem tysięcy ludzi. Imperator był zawziętym Terrelitą i po jego stronie były miecze. Rozkazał Radzie wypłenić wszelką pamięć o Hammonie, dlatego też protokościół i sekty Ortodoksów wykreśliły go ze swojej historii. Wiem, ponieważ ojciec mi powiedział. Przez trzy lata uczestniczył w seminariach, a przez całe życie był świeckim diakonem.

Nigdy nie dowiesz się wszystkiego o człowieku...

Trudno klócić się z ekspertem. Poza tym „fakty”, których mnie uczono, nie miały wiele sensu. Historie z czasów Terrella spoza społeczności religijnej miały raczej luźny związek z tym, czego nas uczyli księża.

Uczono nas, że Terrell zmarł śmiercią męczeńską za to, że uczestniczył w mszach. Ale z tego, co wiemy, obrządki religijne były w tych czasach powszechnie dostępne. Prorocy głosili swoje prawdy na każdym rogu ulicy. Bredzili, o czym tylko chcieli. A poza tym Terrell był prorokiem Hano, który wtedy miał więcej zwolenników niż teraz.

- No więc, dlaczego Cedryk go zabił?

- Ponieważ dobrał się do jego imperialnego domu i stołka. Zaczął mieszać w polityce. I nie miał dość rozumu, żeby się zamknąć, kiedy mu poradzili, by dalej wkładał swe słowa w usta Hano, który sam potrafi o siebie zadbać.

Zawsze tak sądziłem. Po co Hano goryle, kiedy sam jest wielkim wojownikiem i potrafi doskonale rozwalać łby niewiernym?

- Kim zatem są ci Synowie Hammona?

- Nie wiem. Nigdy o nich nie słyszałem.

- To czciciele diabła - wtrąciła Maya. - Nawet nie wymawiają imienia swego boga. Nazywają go Burzycielem i modlą się, by zesłał koniec świata.

- Pomyleńcy.

- On im odpowiada, Garrett. - Zaczęła dygotać. - To było najgorsze. Słyszałam go w mojej głowie. Obiecywał im koniec świata przed końcem stulecia, jeśli wiernie spełnią jego rozkazy. Wielu zginie w walce, ale męczennicy zostaną nagrodzeni. Na jego łonie żyć będą w wiecznej rozkoszy i ekstazie.

Wymieniłem spojrzenia z Deanem. Oczy Mayi zrobiły się szkliste i zaczęła przebąkiwać coś o tym, jak wziął ją w posiadanie.

- Hej, Maya! Wracaj! - Klasnąłem jej przed nosem. Podskoczyła i rozejrzała się, zdumiona.

- Przepraszam. Poniosło mnie, prawda? Ale to było naprawdę mocne, kiedy chłopcy prowadzili obrzędy, a ten ich bóg przemawiał do nich. Piekło. Przedwczoraj było już bardzo źle. Pojawił się osobiście.

- Naprawdę? - Do licha, czy rzeczywiście chciałem to wiedzieć? - Małpowaty, sześcioro ramion, dwanaście stóp wzrostu?

- Właśnie taką przyjął postać. Brzydszy niż stado rogatych ropuch. Skąd wiedziałeś?

- Już kiedyś miałem z nim przyjemność. U Chodo. Nie był zbyt miłym towarzystwem. Ale jak na boga był dziwnie niemrawy.

- To nie jest żaden bóg, Garrett. Nie całkiem rozumiem, co mieli na myśli, ale to jakby coś, co wyśnił prawdziwy bóg. Tyle tylko, że on kontroluje ten swój sen, nie tak jak ty czy ja. Wiesz, o co chodzi?

Im więcej mówiła, tym bardziej się denerwowała. Zacząłem się zastanawiać, czy nie zrobili jej tam czegoś, o czym nie chciałyby mówić albo pamiętać.

- Czy to cię denerwuje?

- Tak. Ludziom takim jak ja nie zdarzają się takie rzeczy.

- Maya, ludziom takim jak ja też nie zdarzają się takie rzeczy. Innym też nie. Miałem kilka dziwnych spraw, ale nigdy nie zajmowałem się bogami. Nikt w dzisiejszych czasach nie ma do czynienia z bogami, którzy się ukazują.

Rozejrzałem się wokoło. Dean był zakłopotany. Maya też. Nawet Bess, która nie miała pojęcia, o czym mówimy - błogosławieni ubodzy duchem - wydawała się zatroskana.

Bóg, który się ukazuje wiernym...

Koszmar. Kto w dzisiejszych czasach wymaga od bogów, żeby przejęli aktywną rolę? Nikt, nawet taki Peridot. Bogowie nie pętali się po ziemi, wtykając nosy w nie swoje sprawy, od antycznych czasów.

To, co mówiła Maya, wydawało się interesujące, ale przydać mi się mogło tylko do dekoracji. Wciąż jeszcze musiałem złapać Jill Craight i, być może, wycisnąć z niej prawdę. Ktoś w końcu uwarzył ten bigos.

Przypomniałem sobie notatkę pozostawioną przez Jill w jej apartamencie. Chyba właśnie popełniłem największe głupstwo w mojej pełnej błędów karierze...

Powinienem był tam siedzieć, dopóki mi tyłek nie przyschnie. Ktoś w końcu przyszedłby po ten papier. Ktoś, kto może znajdować się u źródła tej cholernej sprawy.

Może Jill w ogóle nie była mi potrzebna? Gdybym tylko poczekał, aż ten typ się zjawi... Ale wtedy nie uwolniłbym Mayi...

Może jeszcze nie jest za późno.

- Muszę wyjść - oznajmiłem.

Garret 03 Zimne Miedziane lzy

XXXVI

Było za późno. Notka zniknęła. Przeklinałem własną ślepotę. Przetrzęsnałem całe mieszkanie w poszukiwaniu czegoś, czegokolwiek, i oczywiście znalazłem dokładnie to, na co zasługiwałem. To znaczy nic.

A więc jednak trzeba będzie działać po linii siły. Polować na Jill, dopóki coś się samo nie wyjaśni.

Miałem nadzieję, że Synowie Hammona przez jakiś czas trochę przycupną. To, jak nadstawili drugi policzek, powiedziało mi, że teraz przegrupują się i zaczną zbierać siły. Mogłem jedynie mieć nadzieję, że, sukinsyny, są równie zdezorientowani jak my wszyscy.

Wyszedłem i skierowałem się do dzielnicy, gdzie według Tey Koto można było spotkać Jill.

Na cielsku TunFaire znajduje się mnóstwo przyczółków i przedstawicielstw piekła oraz czyścica. Chyba nikt z własnej woli nie posłałby tam swojej córki. Kacyk prawdopodobnie macza łapy w każdym, po same łokcie. Najgorszą, największą, gdzie obecność kacyka wyczuwa się najmocniej, jest Dzielnica, przyjaźnie zwana również Ulicą Skazańców. Jeśli czegoś chcesz, na pewno ktoś ci to tam sprzeda, a kacyk dostanie swoją działkę.

To piekło na ziemi dla wszystkich, którzy żyją w ten sposób: wykorzystywani, eksploatowani, wreszcie wyrzucani, kiedy tracą swą wartość rynkową. Ludzie, którzy nigdy nie byli na samym dnie albo jeszcze niżej, nie żyli tym, co spadnie z podbrzusza podziemnego świata, nie uwierzyliby nigdy, że człowiek może aż tak wykorzystywać.

Wiercie mi, są tam ludzie, którzy z czystym sumieniem zabiliby setkę innych za trochę grosza na drobne wydatki. Zresztą, który by zrozumiał, że niewłaściwe jest naćpanie trzynastolatki, by zaczęła działać jak stara, zdarta w fachu dziwka o przepustowości trzydziestu klientów na dzień.

Rozumieją pojecie „sprzeczne z prawem”, ale nie „sprzeczne z prawem ludzkości”.

Prawem jest wszystko, co robisz, o ile zdołasz sprawić, by przetrwało.

Są tam. I prawdziwi z nich sztukmistrze.

A przez te samotne ulice idzie sobie samotny człowiek, błędny rycerz, ostatni z ucziwych, przygięty do ziemi, ale nie złamany przez nadciągającą burzę.

Ludzie! Jeszcze trochę takich myśli i skończę jako uliczny prorok - ze wszystkimi kopniakami w zęby, które stanowią dobrodziejstwo inwentarza tego zawodu.

Ludzie nie lubią, kiedy im się mówi, że mają czynić dobrze. Właściwie wcale nie chcą czynić dobrze. Chcą robić to, co chcą. A kiedy przyjdzie płacić za błędy, skamlą, że to niesprawiedliwe, że to nie ich wina.

Są chwile, kiedy niewiele mnie obchodzą moi bracia i siostry.

Wtedy chętnie widziałbym przynajmniej połowę z nich żywcem pogrzebanych.

Nieczęsto zdarza mi się wpadać w tak uświęcony nastrój podwyższonej gotowości bojowej, ale spacer do Dzielnicy tak mnie właśnie nastraja.

Tym bardziej, że to, co się tam dzieje, wcale nie musi się dziać. W większości przypadków ani wykorzystujący, ani wykorzystywani nie muszą robić tego, co robią, aby przeżyć. TunFaire to bogate miasto. Wojna z Venageti i sukcesy, jakie Karenta w niej odnosi, sprawiają, że pracy jest dość dla

wszystkich, którzy jej chcą. A już uczciwa praca leżała na ulicy, dopóki nie pojawili się nieludczy emigranci.

Sto lat temu nie-ludzie byli ciekawostką, rzadko spotykaną i bardziej legendarną niż realną. Teraz stanowią połowę populacji, co prowadzi do nieuchronnej krzyżówki ras. Prawdziwa zabawa zacznie się dopiero wtedy, kiedy skończy się wojna, a wraz z nią stracą na wartości wszystkie wojenne rzeźmiosła i armia.

Powiedziałbym, że choć Dzielnica jest miejscem złym, zwyrodniałym, a jej mieszkańcy i stali klienci to banda zboczeńców i łotrów, większość z nich jest tu z wyboru.

- Garrett!

Podskoczyłem na pięć stóp, ponieważ mój instynkt samozachowawczy przysnął sobie chyba w jakimś kąciuku. Ocknąłem się z rozmyślań tak przygotowany na kłopoty, że aż się cały trząłem.

- Maya! Co ty tu robisz, u licha?

- Czekałam na ciebie. Pomyślałam sobie, że właśnie wtedy będziesz szedł.

Czy ta mała wiedźma naprawdę staje się jasnowidzem?

- Nie powiedziałaś, co tu robisz. - I tak wiedziałem, że wie.

- Jesteśmy partnerami, pamiętasz? Szukamy kogoś. A są takie miejsca, gdzie mężczyzna nie wejdzie, choćby nie wiem jak się starał.

- Pójdiesz do domu, i to prędko. Idę do Dzielnicy. To nie miejsce dla...

- Garrett, przestań klaskać dziobem i spójrz na mnie. Czy wyglądam, jakbym miała dziewięć lat i świeżo opuściła klasztor?

Miała rację. Ale to nie znaczyło, że mi się to spodoba ani że zmienię zdanie. Do licha, skąd się we mnie biorą te ojcowskie instynkty? Ale, do cholery, Maya bez jej podartych portek i barw chuko nie była już niczyją małą dziewczynką. Była kobietą, i to, niestety, bardzo atrakcyjną.

Właśnie to stanowiło dwie trzecie mojego problemu.

- Dobrze. Chcesz nadstawiać łba? Proszę bardzo.

Podbiegła do mnie z radosnym uśmiechem, ukazującym śliczne zęby.

- Podeszłaś mnie, wiesz? - mruknąłem. - Urosłaś. A ja wciąż pamiętam tego brudnego, zbitego jak pies bachora, którego znalazłem wiele lat temu na ulicy. Zachichotała i wzięła mnie pod ramię.

- Wcale cię nie pochodziłam, stary. Pracowałam nad tym cierpliwie i powolutku. Wiedziałam, że będziesz na mnie czekał.

Hej! A kto tu komu wpycha ciemnotę?

Maya zaśmiała się

- Jeśli mamy gdzieś iść, to chodźmy.

Garret 03 Zimne Miedziane lzy

XXXVII

Żeby zrozumieć Dzielnicę Nocnych Marków - albo nawet wyobrazić ją sobie, jeśli nigdy tam nie byłeś - musisz wnikać w najtajniejsze, najbardziej zwyrodniałe zakamarki swojej duszy. Wybierz stamtąd marzenie, takie o jakim nie powiedziałbyś nikomu, jakie sprawia, że czujesz się źle we własnej skórze, zakłopotany i zawstydzony. W Dzielnicy zawsze znajdzie się ktoś taki, kto robi to z tobą, tobie lub dla ciebie, albo ktoś, kto pozwoli ci na to popatrzeć, jeśli akurat o to ci chodzi.

Popuść wodze wyobraźni. Nie wymyślisz nic, czego ktoś przed tobą już nie wymyślił i nie wprowadził w czyn. Ba, wymyślił nawet coś jeszcze paskudniejszego. A wszystko to masz w zasięgu ręki, tu, w Krainie Czarów, i nie chodzi jedynie o seks, choć zapewne jest to pierwsze, co przychodzi na myśl.

O tej porze dnia, to znaczy po południu, większość Dzielnicy dopiero budzi się do życia. Wszystko pracuje tu dwadzieścia cztery godziny na dobę, choć ci, którzy stoją na górze, są jak insekty uciekające przed światłem. Impreza rozgrzewa się do białości dopiero po zachodzie słońca.

- Byłaś tu już kiedyś? - zapytałem Mayę.

- Nigdy z dżentelmenem - odparła ze śmiechem. Próbowałem się skrzywić, ale jej nieodmienny dobry humor był zaraźliwy.

- Jasne - dodała. - To nasza ulubiona zabawa: przychodzić tu i oglądać tych zboczeńców. Wykołować pijaka, pobić alfonsa tak, żeby sobie popamiętał. Robimy różne rzeczy. Cóż, większość odwiedzających nie ma odwagi się poskarżyć.

- Wiesz, jakie to niebezpieczne? - Ludzie z Dzielnicy bardzo troszczą się o swoich klientów.

Obdarzyła mnie spojrzeniem, jakie młodzież zachowuje dla nas, wapniaków, kiedy zaczynamy gadać głupstwa.

- A co mamy do stracenia?

Tylko życie. Ale dzieci są nieśmiertelne i niezniszczalne. Spytaj ich tylko.

Jeszcze nie zapadł mrok, ale natychmiast po wejściu do Dzielnicy okazało się, że mamy niezłe towarzystwo. Usługi, jakie tu oferują, są jeszcze dość przyzwoite. Panowie oglądali towar przez szyby, goryle robili odpowiednie miny, moje aniołki czaiły się w cieniu, a kilku podrostków za wszelką cenę próbowało wyłudzić ode mnie miedzianki. Kiedy odmówiłem, jeden z nich porządnie uszczypnął Mayę w tyłek i zwiął. Ryknąłem wściekle, jak należało, i ruszyłem za bachorem, ale już po jednym kroku poczucie humoru wzięło górę.

- Cóż, jesteś już dorosła.

- Garrett, to boli!

Zachichotałem.

- Drań! Lepiej byś pocałował.

W przyzwoitszych rejonach towar wystawia się w ogromnych, panoramicznych oknach. Nie mogłem powstrzymać się od podziwiania widoków.

- Ależ się ślinisz, stary capie.

Chyba miała rację, ale gorąco zaprzeczyłem.

- No i co ona ma takiego, czego ja nie mam? - spytała w minutę później. Nie potrafiłem odpowiedzieć. Dyskutowany delikates był młodszy od niej, wcale nie ładniejszy, ale cholernie

provokujący.

Potrzebowałem kantarów. Moja słabość sprawi, że wyląduję w kłopotach po szyję.

- Jest tam!

- Co? Kto? Gdzie?

Maya uraczyła mnie ponurym spojrzeniem.

- Jak to, kto? A kogo szukasz, do jasnej cholery?

- Spokojnie, spokojnie. Gdzie ją widziałas? - Garrett, Garrett, dorośnij trochę. Musisz się liczyć z uczuciami innych.

- Na tamtej ulicy. Tuż przed nami.

Miała lepsze oczy niż ja, jeśli była w stanie dostrzec kogokolwiek w tym tłumie na taką odległość.

Dojrzałem błysk blond włosów i znajomą fryzurę.

- Chodź!

Pobiegliśmy. Usiłowałem nie spuszczać z oczu jasnej czupryny. Znikała, pojawiała się, znikała znowu i znowu się pojawiała. Byliśmy coraz bliżej. Nagle głowa zniknęła w kłębowisku przy wejściu do „teatru”, właśnie otwieranego na pierwsze przedstawienie. I nie pojawiła się z powrotem.

Byłem pewny, tak samo jak Maya, że znaleźliśmy Jill.

Próbowałem wypytać bramkarza „teatru”, chudego jak bicz faceta o skórze wygarbowanej przez zmiany pogody. Nie wydawał się sympatyczny. Obejrzał mnie sobie i widocznie zobaczył coś, co jemu też się nie spodobało. Propozycję pięciu marek srebrem przyjął spojrzeniem pełnym wzdąry. Nie tylko nie wiedział nic o żadnej blondynce, ale nawet zapomniał, że umie mówić.

Maya odciągnęła mnie, zanim spróbowałem coś z niego wycisnąć. Tu, w Dzielnicy, nie należy za bardzo podskakiwać, bo wszyscy stoją murem - oni przeciwko reszcie świata.

- Następnym razem to ja poprowadzę rozmowę, co ty na to? - syknęła. - Potrafię zmusić do mówienia nawet takie zwapniałe małpy.

No jasne, choćby po to, żeby zrobić mi na złość.

- W porządku. Chodźmy na drugą stronę ulicy i przemyślmy to sobie.

Dzielnica posiada parę sympatycznych udogodnień obcych reszcie miasta, takich jak uliczne wychodki i publiczne ławeczki. W każdym innym miejscu te same ławeczki zostałyby pocięte na rozpałkę, a wychodki rozwalone dla czystej przyjemności. Tu sami wandalcy zostaliby rozwaleni i użyci na podpałkę, zanimby poczuli satysfakcję ze swoich czynów.

Organizacja nie ma cierpliwości dla tych, za których musi płacić.

Przeszliśmy przez ulicę i usiedliśmy. Analizowałem otoczenie i moje własne pomysły, a Maya pracowicie odrzucała kolejne oferty, tłumacząc, że jest już zajęta.

- Cóż, może później. - Uśmiechnęła się do jednego z nich. - Kiedy już skończę z tym dziadkiem.

- Maya!

- Co ty, Garrett? Przecież sam nie jesteś zainteresowany, a ten facet wyglądał na takiego, który umie się bawić.

Niech je wszystkie wezmą diabli! Przysięgłbym, że nim dorosną, własną krwią podpisują pakt z diabłem, obiecując, że będą sprawiać tyle kłopotów, ile tylko potrafią.

- Maya, daj mi trochę czasu. Pozwól mi się najpierw przyzwycząić do tego, że jesteś kobietą.

Jej twarz wypogodziła się. W myśli zanotowała sześć kolejnych punktów dla siebie.

Większość najbliższych domów nastawiona była raczej na gapiów aniżeli na uczestników. Na samą myśl, że Jill Craight mogłaby uczestniczyć w czymś takim, poczułem ucisk i burczenie w

żołądka.

Oczywiście, nie ma rzeczy niemożliwych, ale mnie się to po prostu nie spodobało.

Nie musiałem się wysilać, żeby w to uwierzyć. Ta kobieta najwyraźniej miała nie wszystko po kolei. Mogłem ją sobie wyobrazić w gorszych sytuacjach i w towarzystwie, które było w stanie ją przekonać, że nie nadaje się do niczego innego. Dziwne są drogi ludzkiego umysłu.

Najbardziej dziwi mnie jednak to, że udaje nam się przetrwać takimi, jacy jesteśmy, że ludzka rasa nie tylko wciąż istnieje, ale od czasu do czasu nawet czyni pewien chwiejny krok naprzód. Może istnieje jakaś siła, mocniejsza niż my sami, jakiś motor, napędzający nasz bieg w stronę doskonałości.

Miło byłoby wiedzieć, że nasz gatunek został wybrany do dążeń ku rzeczom wspanialszym i lepszym niż przeszłość i teraźniejszość. Nadzieję taką ofiaruje nam Kościół, sekty Ortodoksów, wszystkie kulty i odłamy Hanitów; ale otoczyli ją taką ilością retorycznego gówna, a w wielu przypadkach porzucili ją dla bardziej światowych celów, że właściwie przestali być godni, by ją w ogóle głosić.

May a przysunęła się nieco bliżej, jakby poczuła chłód wieczornej bryzy.

- O czym tak myślisz?

- O synach Hammona, którzy są silnie zaangażowaną siłą entropiczną, przekonaną, że naszym wspólnym przeznaczeniem jest nicość i zagłada.

Cofnęła się i spojrzała mi prosto w oczy.

- Hej, kpisz sobie ze mnie czy może mnie obrażasz?

- Nie - zacząłem jej wyjaśniać. Po chwili znów się przytuliła, wzięła mnie za rękę, a policzek położyła mi na ramieniu. We właściwych momentach pomrukiwała, na znak, że słucha. Jestem pewien, że razem tworzyliśmy wzruszający widok.

Po chwili odezwałem się:

- Musimy myśleć o tym, co robimy. - Musiałem to powiedzieć. Ta mała wiedźma zaczynała na mnie działać. - Wiesz coś na temat tego miejsca?

- Jest tu kupa zboczeńców.

Akurat tego nie musiała mi mówić. Mam całkiem niezły wzrok.

Sześć najbliższych domów oferowało pokazy na żywo. Pozostałe stanowiły przystań dla tych, którzy wymagali specjalnych usług. Kilka wydawało się być rzeczywiście domami mieszkalnymi. Jednego w ogóle nie potrafiłem rozszyfrować.

Nie miał bramkarza ani napisu. Nie otaczał go tłum, ale w ciągu tych kilkunastu minut weszło do niego pięciu mężczyzn i jedna kobieta. Wyszły cztery osoby, z których tylko jedna zachowywała się w ten charakterystyczny, płochliwy sposób, świadczący o tym, że oddawała się zajęciom powszechnie uważanym za perwersyjne. Pozostali wyglądali na pogodnych i zrelaksowanych, ale nie miało to nic wspólnego z seksem.

- A ten dom? - Pokazałem palcem. - Znasz go?

- Nie.

Poczułem, jak ogarnia mnie ciekawość. W naszą stronę zaczął przeciskać się zapalacz lamp, popychając przed sobą wózek pachnących olejków, idąc od lampy do lampy i zapalając kolorowe światła, które nadają wieczorom Dzielnicy szczególny, karnawałowy nastrój. Kiedy zatrzymał się naprzeciwko lampy oświetlającej ławeczkę, otworzyłem usta, żeby zapytać o intrygujący mnie dom, ale Maya trąciła mnie łokciem.

- Hej, teraz moja kolej, pamiętasz? Wstała i podeszła do zapalacza.

One to chyba wysysają z mlekiem matki. Nie spotkałem kobiety, która nie byłaby w stanie

podrajcować faceta, jeśli się do tego przyłoży. Zaczęła szeptać. Ślepią zapalaczą rozbłysły bez użycia zapalniczki. Maya a dotknęła jego piersi i pozwoliła, by jej palce ześliznęły się pół stopy po klapie jego kurtki. Wyszczerył zęby i spojrział w stronę domu, który mnie interesował, ale właśnie wtedy pochwycił spojrzenie bramkarza-niemowcy.

Gdyby wzrok mógł zabijać...

Zabrakło mu słów, zanim jeszcze zaczął mówić. Wyglądał jak ogłupiały wół.

- Zaczyna mnie denerwować - mruknąłem do Mayi. - Chodź. Wstałem, wziąłem ją za rękę i pociągnąłem w stronę tego niezwykłego miejsca.

Bramkarz pojął mój zamiar i opuścił swój posterunek. Kilkoma krokami przebył ulicę i stanął na mojej drodze.

- Przyjacielu - odezwałem się. - Zaczynasz działać mi na nerwy. Jeszcze ze dwie sekundy i połamię ci kulasy.

Wyszczerył zęby, jakby miał nadzieję, że spróbuję.

- Garrett, uważaj - ostrzegła Maya.

Rozejrzałem się. Wokół nas utworzył się krąg z pół tuzina tubylców. Wyglądali tak, jakby przez dłuższy czas odmawiano im przyjemności dania komuś w mordę. Za ich plecami jednak pojawili się moi aniołkowie pod wodzą Saucerheada, który sam, jedną ręką poradziłby sobie z tą gromadą.

- No to ruszaj albo zmiataj, bruno - zaproponowałem bramkarzowi.

- Sam tego chciałeś. Brać go.

Saucerhead stuknął dwoma łbami jeden o drugi. Klin rozwalił kilka innych za pomocą pałki. Oczy bramkarza zrobiły się wielkie jak spodki.

- Co, gotów jesteś? - zapytałem.

- Garrett - wtrącił Saucerhead. - Trzeba się zwijać. Rozpętasz zamieszki.

Oczy bramkarza wyszły z orbit jak pestki z wiśni. Zdaje się, że nabrał paskudnych podejrzeń.

- Ty jesteś ten Garrett, który pracuje dla Chodo? - Zwinnie odsunął się z drogi. - Dlaczego nic nie mówisz?

- Taak, Garrett - zagrzemiał Saucerhead. - Dlaczego mu nic nie powiedziałaś?

- Ponieważ nie obchodzi mnie, co mówi Chodo. Ja dla niego nie pracuję. Pracuję dla siebie. - Musiałem wyjaśnić tę sprawę dla własnego spokoju ducha.

- Rozumiem. - Bramkarz skinął głową. - Nie wiedziałem, że pracujesz dla Chodo. Tyle różnych typów się tu kręci. Gdybyś powiedział od razu, na pewno nie robiłbym problemów.

Długo, oj, długo potrwa, zanim uda mi się strząsnąć z siebie to wędzidło.

- Słuchaj, chciałem tylko sprawdzić, co się tam dzieje.

- Pytałeś o jakąś jasnowłosą dziwkę - przypomniał mi bramkarz. - Co chciałbyś wiedzieć? Jeśli zdołam pomóc...

Jednocześnie odezwał się Saucerhead:

- Przyszedłem, żeby ci powiedzieć, że Morley pilnie chce się z tobą widzieć. Mówi, że ma dla ciebie jakieś wieści.

- Morley jest mądry. Możecie mi wszyscy wybaczyć? - Przepchnąłem się obok bramkarza i wszedłem do środka. Maya trzymała się tuż za mną i miała buzię na kłódkę. Ona też jest mądra.

Garret 03 Zimne Miedziane lzy

XXXVIII

Drzwi nie były zaryglowane. Może nie można ich było zamknąć, bo bardzo opadały na zawiasach. Wewnątrz, na chwiejnym krześle siedział staruszek i wkładał do ognia w kominku suche patyki. Było dość gorąco, aby smażyć steki, ale on i tak mamrotał, że mu zimno. W ogóle wyglądał jak jedna wielka plama wątrobowa.

- Rzuć na ladę - mruknął, nie facygując się nawet, żeby unieść głowę.

- Co mam rzucić?

Dopiero wtedy spojrzał. Najpierw na mnie, potem na Mayę. Krzaczaste brwi nie mogły się zdecydować, w którą stronę popęznąć.

- Jesteście razem?

- Tak.

- Cóż. Muszę wziąć od was forszę. Sześć marek srebrem. Pierwszy raz? Wchodzie do jednej z kabin, w której zasłona jest odciągnięta. Nie spodoba się, to można przejść do innej, pierwszy raz na koszt firmy, potem marka za każde przejście, aż do chwili, kiedy będziesz zadowolony.

Położyłem pieniądze. Staruszek wrócił do swojego zajęcia. Spojrzeliśmy z Mayą po sobie. Wzruszyłem ramionami i wszedłem w drzwi z zasłoną.

Przedemną znajdował się korytarz, po którego obu stronach znajdowało się po pół tuzina alków z kotarami. Przespacerowaliśmy się po korytarzu w te i z powrotem. Zza zaciągniętych kotar dobiegały ciche szepty. W odsłoniętych niszach widać było tylko stół, krzesło i szklaną ścianę, za którą panowała ciemność.

- Co to za miejsce, Garrett? - zapytała Maya.

- Jeśli musisz pytać, to najwidoczniej nie jesteś stąd - odparłem.

Wprowadziłem ją do pierwszej z brzegu odsłoniętej niszy i zasunąłem kotarę. Pokoik miał może sześć stóp na pięć i po zaciągnięciu zasłony był bardzo ciemny. Namacałem coś, co przypominało sznur od dzwonka, i pociągnąłem. Gdzieś w oddali rozległ się stłumiony dźwięk dzwoneczków. Po drugiej stronie szyby zabłysło światło.

Ujrzałem pokój, osiem na dwanaście stóp, urządzone tak, że mógłby stanowić sypialnię wielkiej damy, przeniesioną tu z Góry. Oczywiście, była to jedynie scenografia, ale doskonała w każdym szczególe. Pośrodku komnaty znajdowały się spiralne schody, na których stała niemożliwie piękna i wytwornie ubrana kobieta.

- Garrett - szepnęła Maya. - Ta kobieta nie jest człowiekiem. To wysoki elf czystej krwi.

Widziałem to, ale nie wierzyłem własnym oczom. Kto słyszał kiedykolwiek o elfickiej dziwce? Maya miała rację. Ta kobieta była elfem i była tak piękna, że aż oczy bolały.

Zaczęła się rozbierać, jakby nieświadoma tego, że jest podglądana. Odsunęła krzesło, stojące przy stole, usiadła i zaczęła ścierać makijaż. Szkło po jej stronie musiało być lustrem.

Maya uszczypnęła mnie w bok.

- Przestań dyszeć. Szkło zmętnieje.

Kobieta-elf usłyszała coś. Pytająco przechyliła głowę.

- Czy ktoś tam jest? - zapytała.

Co za głos! Można by dla niego zabić. Znam się na kobietach jak kura na pieprzu. Lubię o sobie

myśleć, że jestem cynikiem i draniem czystej krwi, ale jakoś tym razem nie miałem kłopotów, żeby sobie wyobrazić te srebrzyste dzwoneczki o świcie na mojej poduszce, nawet gdybym miał potem znaleźć się u samych bram Piekła.

Kobieta wstała i zrzuciła z siebie jeszcze jedną warstwę ubrania.

- Tym razem nie zapytam, co ona ma, a czego ja nie mam - szepnęła z podziwem Maya.

Mnie po prostu замуrowało.

- Czy ktoś tam jest? - znów zapytała kobieta. Wyciągnąłem rękę i dotknąłem szkła. Szyba, przepuszczalna dla dźwięku i półprzezroczysta? Ktoś musiał włożyć niemało forsy w bardzo wyspecjalizowane czary na zamówienie. Czuję w tym powiew geniuszu. Ta światowa wersja podglądactwa była co najmniej tak samo erotyczna jak ordynarne obserwowanie parzących się kobiet, nie-ludzi, małp lub zebr. Głównym powodem był jednak naturalny talent kobiety za szybą. Każdy jej gest stanowił obraz z szaleńczych fantazji.

Dotknęła szkła tam, gdzie spoczywały moje palce.

- W porządku. Jeśli nie chcesz, nie musisz nic mówić.

Miałem wrażenie, że dotykam rozżarzonego grilla. Chciałem. Cholernie chciałem. Byłem zakochany na śmierć i życie, a zapomniałem języka w gębie niby dwunastolatek, zadurzony w kobiecie w wieku Mayi.

Cofnąłem dłoń jak oparzony.

Nie wiedziałem, co robić.

W tym momencie głos zabrała Maya.

- Kim jesteś?

- Tym, kim chcesz, żebym była - nie wydawała się zdumiona, że słyszy głos kobiety. - Będę tym, czym zechcesz. Jestem twoim marzeniem.

Och, tak, och, tak.

Zaczęła zdejmować ostatnią warstwę stroju.

Odwróciłem się. Nie mogłem tego znieść, przynajmniej nie w obecności Mayi.

Ciekaw byłem, czy w powietrzu nie rozpylono jakiegoś narkotyku lub czy nie zastosowano tu jakiejś subtelnej magii, która wzmacniałaby erotyzm widoku rozbierającej się, pięknej kobiety.

Teraz już wiedziałem, jakiego rodzaju aktorką jest Jill. Pasowała tu jak nigdzie indziej. Miała odpowiednie warunki, klasę i temperament, jeśli tylko zechciała. Musiała robić prawdziwą furorę.

Położyłem dłoń na ramieniu Mayi i szepnąłem:

- Pójdę zobaczyć, co jest w innych pokojach. Skinęła głową.

Zajęte były tylko dwa, a z jednego właśnie wychodził jakil mężczyzna. Szybko przespacerowałem się po korytarzu. Cztery z pustych pokoi miały wywieszki informujące, że nikogo w nich nie ma i nikt nie przyjdzie na dźwięk dzwonka. Domyśliłem się, że jedna scena wykorzystywana była tylko przez jedną kobietę, a ponieważ interes kręci się tu dwadzieścia cztery godziny na dobę, część z nich musiała być zajęta. Wkrótce wrócą, ponieważ Dzielnica właśnie wchodziła w swój okres aktywności. Zadzwoiłem i wyczarowałem rudą piękność, która przypominała nieco Tinnie, ale nie była Jill Craight. Wskoczyłem, zanim zdołała mnie opętać.

Staruszek już czekał w korytarzu, patrząc podejrzliwie. Wcisnąłem mu kilka monet do garści.

- Pozwiedzam sobie - wyjaśniłem.

- Jak pan sobie życzy. - Stary weteran Dzielnicy. Ani śladu, zdziwienia. Dopóki płacę, nie obchodzi go, co robię.

Każda kolejna kobieta była piękniejsza od poprzedniej, ale żadna nie była Jill. Odczekałem nawet, aż zwolnią się zajęte alkowy, ale bez skutku. W pierwszej nie znalazłem Jill, w drugiej

wywieszono znak, że ma przerwę.

Zawróciłem do pierwszej. Maya i elfica trajkotały jak siostrzyczki. Ta ostatnia była na szczęście ubrana. I dobrze. Istnieją granice tego, co może wytrzymać mężczyzna.

Maya obejrzała się, żeby sprawdzić, czy to naprawdę ja.

- Już kończę. I tak za chwilę musimy wychodzić. Wymieniły kilka grzeczności, które brzmiały tak serdecznie, jakbym przerwał im dziewczęce zwierzenia. Maya wstała i przysunęła usta do mojego ucha.

- Musisz zostawić napiwek. Tak zarabiają na życie, bo stary zatrzymuje to, co dostaje.

Oczywiście, poza działką kacyka. Napiwkami też się muszą dzielić.

- Pokaż którądy.

Maya wskazała mi szparę w blacie, która była jedyną drogą przekazywania przedmiotów z jednej strony szyby na drugą.

Napełniłem ją garścią srebra. Rzadko wychodzę, a te pieniądze i tak pochodziły od kacyka, a zatem część z nich do kacyka może powrócić.

Maya ścisnęła mnie za ramię. Podejrzewam, że nasza dama nieźle zawróciła jej w głowie. Wyprowadziłem ją stamtąd czym prędzej.

Kiedy odchylałem przed Maya zasłonę korytarza, przez frontowe drzwi wchodził mężczyzna. Dostrzegłem jedynie chuderlawą sylwetkę, błysk łysiny i epicki kinol. Zamurowało go. Mayę też, aż wpadłem na nią z tyłu. Zanim się pozbieraliśmy, facet zniknął.

- Co, u licha?

- Garrett, to był on. Rozpoznał mnie.

- On, to znaczy kto?

- Człowiek, który był w tamtym mieszkaniu, ten, który mnie przewrócił.

Staruszek wciąż dokładał do ognia. Był głuchy i ślepy.

Co za oko miał ten gnojek, że rozpoznał w tej Mayi tamto brudne dziecko, którego omal nie stratował.

Rzuciłem się do drzwi, wyskoczyłem na ulicę i zobaczyłem mniej więcej tyle samo co staruszek w środku. Kurdupel musiał być magikiem albo był po prostu aż tak mały, że nie sposób było go odnaleźć w tłumie.

Tu zresztą co noc trwa karnawał. Nie, nie mogę powiedzieć, że to tylko rozpusta i wyuzdanie. Można znaleźć również zdecydowanie mniej ostre rozrywki. Proszę, dwa domy dalej znajduje się salon bingo, przed którym właśnie zatrzymał się cały regiment starszych panius. Jednakże i tak wszystko kręci się wokół rozpusty, a nędza każe zapominać o niewinnych rozrywkach.

Zapytałem moich aniołków, czy widzieli kurdupła. Stwierdzili, że nie wiedzą, o czym mówię. Zapytałem bramkarza. On także nic nie widział i był zbyt zajęty, żeby tracić czas na ploteczki.

- Wrócę jutro, kiedy będziesz mniej zajęty - obiecałem, zdrowo wkurzony.

- Jasne - odparł radośnie. Przynajmniej nikt nie powie, że migam się od współpracy z organizacją.

Zrozpaczony, złapałem Mayę za ramię i ruszyłem w stronę domu.

Garret 03 Zimne Miedziane lzy

XXXIX

Przez kilka minut milczeliśmy. Nagle coś sobie przypomniałem i gwałtownie zmieniłem azymut

- A tobie co się znowu stało?

- Omal nie zapomniałem, że muszę się zobaczyć z Morleyem.

- Ach, z panem Czarusiem.

- Niech no tylko spojrzy na ciebie dzisiaj, a kijem go nie odpędzisz.

- Jeśli to miał być komplement, to wielkie dzięki. - Spojrzała na mnie koso.

Kilka kroków dalej odezwała się znowu.

- Miałam zamiar cię dzisiaj uwieść, ale teraz nie mogę.

- Hę? - Detektywi szybko biegają i jeszcze szybciej wracają tam, skąd przyszli.

- Gdybym to zrobiła, nie byłbyś ze mną. Myślałbyś o niej.

- O kim? - Patrzcie, jak on pędzi. Jest tak szybki, że ledwie widać, jak się porusza.

- O Polly, tej elfickiej dziewczynie.

- O niej? Już zapomniałem - skłamałem.

- A księżyc zrobiony jest z zielonego sera.

- Tak twierdzą badacze. Ale skoro już o niej mowa, to, co ciekawego miała do powiedzenia?

- Trudno mi było rozmawiać otwarcie, bo mogłaby się domyślić, że nie jesteśmy zwykłymi klientami, i donieść Hester. Chyba masz rację. Według Polly jedna z dziewczyn pasuje do opisu Hester, ale Polly jej nie lubi. To okropna skromnisia.

- Co? - Roześmiałem się.

- W tym domu wszystkie są „patrz na mnie, nie rusz mnie”. Polly mówi, że czasami klient potrzebuje kogoś, przed kim mógłby się wygadać i wyzalić, kto odpowiadałby na pytania i pocieszał, ale potem nie użyłby tego przeciw niemu. One w zasadzie nigdy nie oglądają swoich rozmówców. Niektórzy z nich to podobno bardzo ważne osobistości, ale Polly nigdy ich nie widuje poza budynkiem. Inne to robią, czasami, ale nie ona. Twierdzi, że jest dziewczcą.

Maya uważała to widocznie za trudne do strawienia. Ja wołałem się w ogóle nie wypowiadać.

Rzeczywiście, jak się tak przyjrzeć, może to być żyła złota, i to całkiem bez wysiłku. Ci, którzy nami trzęsą i rządzą, mają wszystko - z wyjątkiem jednej rzeczy: ciepłego słowa i bratniej duszy, bez ryzyka, że zostaną zdradzeni.

Wiec o to chodzi... Polly najwidoczniej dostawała dość napiwków, żeby wyżyć, i to całkiem dobrze. Należy się jednak spodziewać, że nie wszystkie jej współpracownicy zadowolą się jedynie rozmową.

- To dlatego, że jest z plemienia elfów - wyjaśniła Maya. - Może zarabiać swoją urodą długo, bardzo długo. Ma mnóstwo czasu. Co innego ludzkie kobiety. One mają tylko kilka lat.

Słówko do słówka, wskazówka do wskazówki. Ta dziewczyna ma wyjątkowy talent odwracania uwagi. Chyba wrodzony. Nie nauczyłaby się go przecież wśród członków ulicznych gangów.

Doszliśmy do knajpy Morleya. Maya natychmiast zebrała cały bukiet pełnych podziwu spojrzeń. Na mnie nikt nie zwracał uwagi. Aha, więc taki jest sekret, jak wejść w środowisko bez lawiny nieprzyjaznych zezów - przyprowadzić ładną kobietę, która je odciągnie.

Za ladą był dziś Slade. Podniósł koniec rury nagłaśniającej i palcem pokazał w górę.

Zrozumieliśmy. Po chwili już pukałem do drzwi biura. Morley wpuścił nas niemal natychmiast.

- Oho, gust ci się poprawił - zauważył. Objąłem Mayę w talii.

- Przykro mi, nie zdążyłem jej przebrać w strój, którego używamy do odstraszenia indywiduów takich jak ty.

Wybałuszył oczy.

- To z panią był tu zeszłego wieczoru? - Maya tylko uśmiechnęła się tajemniczo.

- Cuda się zdarzają - przyznał i zaraz dodał płaczącym tonem: - Ale dlaczego zawsze komuś innemu?

W tym momencie z zaplecza wysunęła się przepyszna półkrwi brunetka i udrapowała się wokół Morleya.

- Może kiedyś ci się poszczęści. Saucerhead powiedział, że masz coś dla mnie.

- Tak. Pamiętasz faceta, o którym wspomniałeś kacykowi w rozmowie? Tego, który cię odwiedził w dniu, kiedy wpadłeś w tarapaty?

Zdaje się, że nie bardzo chciał wymieniać nazwisko Peridonta.

- Tego duchownego?

- Tego samego.

- Pamiętam. Co się stało?

- Ktoś uznał, że za długo już chodzi po świecie, i wetknął mu w plecy zatrute ostrze. Cztery ulice od twojego domu. Przypuszczam, że szedł zobaczyć się z tobą, bo inaczej nie miałby powodów, żeby paradować po ulicy w przebraniu ogrodnika.

Może.

- Cholera, kto to zrobił?

Morley szeroko rozłożył ręce i spojrzał na mnie tępo.

- Chyba ten sam rozrywkowy gang. To się stało w środku dnia, w obecności pięćdziesięciu świadków. Jakiś facet, wyglądający jak farmer, po prostu wyszedł z bramy i poczęstował go nożem.

- Czasem nie wystarczy być czarownikiem - mruknąłem, czując dziwne i uporczywe swędzenie między łopatkami. Taka przygoda może zdarzyć się każdemu. Jeśli bardzo chcą twojej skóry, to w końcu cię dopadną. - Nie wiem, czy bardzo chciałem się tego dowiedzieć.

- Nie martw się, Garrett, będziemy cię lepiej pilnować. Dobrze się napracują, zanim cię dostaną.

- Wielka pociecha, Morley - mruknąłem. Śmierć Peridonta mocno mnie dotknęła. Poczulem, że straciłem ostatniego prawdziwego sprzymierzeńca.

- A ty myślisz, że mam ochotę powiedzieć Chodo, że spieprzyłem sprawę?

Wiedziałem, co chce powiedzieć, ale mówił tak bardzo niezgrabnie, że lepiej byłoby, gdyby milczał. Morley po prostu nie potrafił dawać wyrazu takim uczuciom, jak przyjaźń, troska czy lojalność.

- Nieważne - odparłem. - Możesz dać sobie spokój, póki nie jest za późno. Było coś jeszcze?

Przyjaciółeczka Morleya łaskotała go paznokciem po karku. Chyba długo nie wytrzymają tej rozmowy o interesach.

- Nie. Idź do domu i zostań tam. Jeśli przycupniesz, nie będziemy musieli zeskrobywać Garretta ze ścian.

- Jasne. Pomyślę o tym.

- Nie myśl, tylko to zrób.

- Dobrze. Mayu, chodź.

Obaj z Morleyem wiedzieliśmy, że nawet mi to nie przyjdzie do głowy.

Garret 03 Zimne Miedziane lzy

XL

Zaczął się, kiedy byliśmy o dwie ulice od mojego domu. Od południa zaczął się szybko zbliżać kłęb grzmotów i piorunów. Błyskawice wiły się zygzakami wokół jego środka. Szybko pociągnąłem Mayę do pierwszej lepszej bramy.

- Co to jest? - zapytała Maya.

- Coś, co nie powinno nas zauważyć, jeśli nam życie miłe. - W samym środku chmury podskakiwało wielkie, czerwone paskudztwo.

Ludzie zaczęli wyglądać przez okna, ale po chwili po kolei stwierdzali, że wcale ich to nie interesuje.

Mikroburza zmierzała wprost w kierunku mojego domu.

Tym razem już nie było tańców po dachu. Ohydny, czerwony pająk spłynął z jądra ciemnej chmury - i natychmiast odleciał, jakby go ktoś trzepnął na odlew.

- Chichotek dzisiaj płaci czynsz - mruknąłem.

- Cały się trzęsiesz - zauważyła Maya.

Rzeczywiście się trząsałem, bardziej, niż gdybym znajdował się w samym środku burzyczki. Ale mój umysł pracował bardzo dziwnie. Nie myślałem ani o Deanie, ani o Truposzu, tylko o domu. Co się stanie, jeśli zniszczą mój dom? To wszystko, co mam na tym świecie. Żeby za niego zapłacić, przeszedłem przez piekło. Jeśli go stracę - cóż, jestem już za stary, żeby zacząć od początku.

Burza wyła i huczała. Pająk zniżył się znowu, strzelając ze ślepiów grotami czerwonego światła. Pang! Groty odbiły się od niewidzialnej ściany. Pająk odskoczył.

- Nie wiedziałam, że to potrafi.

Truposz potrafił znacznie więcej niż to, o co go posądzałem. Nawet nie próbował skrzywdzić pająka, tylko go odpychał, parował każdy atak. Potwór się rozgrzewał. Im mocniej był odpychany, tym silniej atakował. I nie obawiał się zniszczyć sąsiednich domów.

Przysporzy mi sławy wśród sąsiadów.

Organizm ludzki wytrzymuje takie napięcie tylko przez określony czas. Kiedy zacząłem okłapywać, przyszła mi do głowy dziwna myśl. Może i jestem dla tych facetów solą w oku, ale chyba nie aż tak ostrą. To się nie trzyma kupy. Dzieje się tu coś całkiem innego.

Grzmoty i błyskawice przeraziły Mayę, ale w znacznie mniejszym stopniu. Może to przez jej brak doświadczenia z czarami.

- Myśl no trochę, Garrett. Twój dom atakowany jest już po raz drugi, i po raz drugi ciebie w nim nie ma. Może w ogóle nie chodzi tu o ciebie? Może to chodzi o dom?

- Lub coś, co się w nim znajduje.

- Lub coś, co się w nim znajduje. Albo ktoś.

- Oprócz mnie... Nikt... - Truposz? Ale on nie żyje już od tak dawna, że chyba żaden jego wróg nie przetrwałby do tej pory. - Wiesz, co myślę? Chyba od samego początku zabrałem się za to od niewłaściwej strony. Przez cały czas próbowałem znaleźć w tym jakiś sens.

Maya spojrzała na mnie. Bardzo dziwnie.

- O czym ty mówisz, do diabła?

- Próbuję znaleźć szczyptę sensu w czymś, co jest całkowicie irracjonalne. Od początku

wiedziałem, że w grę wchodzi religia. Może nawet kilka różnych religii. W takiej sytuacji możesz próbować szukać sensu, do śmierci, i nigdy go nie znajdziesz. Nie powinienem był tak do tego podchodzić. Należało dać się unieść, patrzeć, co kto komu robi, i nie zastanawiać się dlaczego.

Jej wzrok stał się jeszcze bardziej dziwny.

- Nie oberwałeś przypadkiem w głowę? Gadasz od rzeczy.

Może i tak. A może w tym całym moim szaleństwie tkwi odrobina metody? To zamieszanie na końcu ulicy mogło okazać się całkiem niezłym pretekstem, aby zrewidować mój pogląd na sprawę.

- Byłaś kiedy w Leifmold, mała?

- Co?

- Zaczynam myśleć, że najlepszym wyjściem byłoby opuszczenie miasta. Niech się to samo rozwiąże.

Przez chwilę nie wierzyła mi. I miała rację. Może to brak rozsądku. Może mam zanik instynktu samozachowawczego, ale wiem, że wytrwam w tym bigosie do samego końca.

To znaczy: jaką miałbym opinię, gdyby się rozniosło, że wycofuję się z interesu, bo akurat to jest w tej chwili najbezpieczniejszym wyjściem? Jeśli ktoś cię wynajmuje, to spodziewa się, że wysiedzisz na stanowisku. Chcesz pracować, to pracuj, dopóki odraza moralna nie każe ci się wycofać. Nie pozwól, by zniechęciło cię coś tak przyziemnego jak strach.

Istota o ośmiu odnóżach stała teraz na ziemi. Tupiąc, wprawiając grunt w drżenie, krążąc wokół domu. Z rykiem chwyciła kamienie i rzucała nimi w dom. Wszystkie odskakiwały od niewidzialnej zapory.

- Teraz każdy strażnik w mieście uzna za stosowne zawracać mi głowę - warknąłem w stronę Mayi. Wcale mnie to nie cieszyło. Nie jestem z nimi w najlepszych układach.

Jeden z moich aniołków przedarł się przez ścianę pulsującego magicznego światła i podbiegł do mnie. Poznałem Klina.

- Przypomnij mi, żebym się nie zabierał za twoją robotę, Garrett - syknął i obejrzał się na ulicę. - Co tu się dzieje, możesz mi powiedzieć?

- Niestety. Nie mogę. Nie wiem, czy sam chcę to wiedzieć.

Ośmiorniczka zaczęła odrywać kawałki muru od sąsiednich domów i rzucać nimi w moją skromną siedzibę. Wszystkie odskakiwały od niewidzialnej tarczy. Uznałem, że Truposz wykazuje zdecydowanie zbyt wiele cierpliwości. Potwór podskakiwał jak rozzłoszczone dziecko. Wyglądało na to, że on i Truposz prowadzą własną, indywidualną wojnę. Ciekawe. Nie potrafiłem sobie wyobrazić mojego leniwego sublokatora w walce z bóstwem.

- Garrett, ja się na to nie godziłem - mamrotał Klin. - Nie jestem trzęsimajtkiem, ale chronić twój tyłek przed demonami to trochę za wiele.

Doskonale go rozumiałem.

- Klin, chronić swój tyłek przed demonami to za dużo także i dla mnie. Jeśli chcesz się ulotnić, nie będę protestował. Nie prosiłem Morleya o obstawę.

- Ty nie. To Chodo. Gdybyś to ty poprosił, powiedziałby ci, żebyś pocałował upiora w dupę. Z jęczyczkiem. Cześć, Garrett. Trzymaj się.

- Jasne. - Dupek. Kiedy sprawy zaczynają się pieprzyć, mądry idzie za dobrym przykładem, a głupi za czubkiem własnego nosa, łbem w mur. Garrett nie miał dość rozsądku, żeby pójść za przykładem Klina. Został tam, gdzie był.

- Czy coś wreszcie zrobimy? - zapytała uprzejmie Maya.

- Znajdziemy gospodę i przeczekamy.

Maya potrafiła poznać się na kiepskim dowcipie, kiedy już go usłyszy.

- Siedzimy tu, dopóki nas nie zwiną Strażnicy. Już chyba się pobudzili.

Miała rację. Coś tak głośnego na pewno zmusi naszych dzielnych chłopców do ruszenia ciężkich tyłków, choćby tylko po to, żeby byli kryci, kiedy ktoś zacznie zadawać pytania. Z tego punktu widzenia utrzymywanie pajaka na odległość było jeszcze gorsze od dopuszczenia, by zrujnował dom. Takiego rabanu nie sposób zignorować.

- Do diabła. - Splunąłem. - Co za dużo, to i świni nie chcą.

Wymaszerowałem na ulicę, w trzech susach przebyłem całą odległość i zatrzymałem się o sto pięćdziesiąt stóp od domu. Zezem spojrzałem na pajaka, wyjąłem moją ostatnią magiczną fiołkę, zamachnąłem się jak należy i cisnąłem, jakby to był zwykły kamień. Nie trafiłem, ale rozbiła się tuż pod jego nogami. Co|kolwiek w niej było, rozprysło się na boki.

Stwór podskoczył i zakwiczał, jak gigantyczna świnka, która podpalono ogon. Obrócił się w powietrzu i odnalazł mnie w tłumie, co znowu nie było aż tak trudną sprawą. Rozpoczął atak, zanim jeszcze dotknął nogami ziemi.

I co teraz, geniuszu?

Wcisnąłem Mayę w szparę pomiędzy domami i sam podążyłem za nią. Pajak walnął w budynek, jakby chciał go rozwalić bykiem. Wydał z siebie basowy, długi ryk wściekłości i zaczął rozbierać murarkę. Jedna kosmata łapa przez cały czas sięgała po mnie.

Na łapie, w miejscu, gdzie spryskała ją ciecz z buteleczki, poi jawiły się zielone plamki. Potwór przystawał co jakiś czas, żeby je podrapać. Po chwili więcej się drapał, niż atakował.

Przelot okazał się ślepym zaułkiem. Wpadliśmy na dobre. Nie zmarnowałem tych pięciu minut, jakie były potrzebne pajakowi żeby się zajął wyłącznie sobą. Szarpnąłem dwoje drzwi i zaatakowałem te, które wydawały się słabsze. Otwarłem je dokładnie w tej samej chwili, kiedy pajak zaczął się drapać na całego.

- Właz. - Pchnąłem Mayę w ciemne wnętrze, część czyjegoś domu. Potykając się, weszliśmy nieco dalej. Usłyszałem wokół siebie przerażone, przyspieszone oddechy. Wokół nas byli ludzie którzy starali się siedzieć cicho i pozostać niezauważeni.

Udało nam się przejść, nie tracąc życia w kontakcie z niewidzialnymi sprzętami. Znaleźliśmy okno, wyważyliśmy je i wkrótce byliśmy już z powrotem na ulicy.

- Cwany jesteś, Garrett - mruknęła Maya. - Możesz tylko się modlić, żeby cię nie rozpoznali.

Aha. I tak mam spore kłopoty z sąsiadami. Z jakiegoś powodu mnie nie lubią.

- I co teraz?

Przebiegliśmy kilkanaście kroków alejką. Chciałem dostać się jak najbliżej domu i sprawdzić, co dzieje się z pajakiem.

Jak na boga, nie był zbyt inteligentny. W przerwach pomiędzy jednym atakiem swędzenia a drugim wciąż usiłował wcisnąć się w tę samą szparę. Całkiem nieźle mu szło.

- Na mój znak oboje ruszamy w stronę frontowych drzwi. Módl się, żeby Dean zdążył otworzyć, zanim ten potwór nas dopadnie.

- Zdaje się, że wycieczka do Leifmold była znacznie lepszym pomysłem.

- Może. Gotowa?

- Tak.

- Naprzód.

Ten cholerny pajak nie był taki durny, jak myślałem. Zauważył nas i zaczął skakać w naszą stronę, zanim przebiegliśmy dziesięć kroków.

Nie zdążymy.

Garret 03 Zimne Miedziane lzy

XLI

Maya bębniła w drzwi obiema pięściami. Ja darłem się jak opętany, wzywając Deana. Pająk galopował w naszą stronę. Dostrzegłem już ludzką trupa czaszkę w miejscu, gdzie powinna być głowa pająka, tak jakby ktoś ją na niej namalował. Rozpostarte czułki sprawiały, że czaszka wyglądała, jakby się śmiała w najlepsze.

Po drugiej stronie drzwi zabrzęczały łańcuchy i zasuwy.

Udało nam się ściągnąć uwagę Deana, ale już było za późno.

Pająk był tuż-tuż.

I uderzył w coś. A może to coś uderzyło w niego. W każdym razie rozległ się dźwięk jakby miażdżonego żwiru i potwór, utykając, wycofał się tam, skąd przyszedł, wydając kolejny ryk wściekłości.

- Truposz wciąż pracuje - wydyszałem do ucha Mayi. - Dean, szybciej!

Potwór znowu zaatakował, zanim jeszcze staruszek zdążył otworzyć drzwi. Rzuciliśmy się do środka, tratując go po drodze, a następnie wpadliśmy na siebie wzajemnie, usiłując zabarykadować drzwi. Chociaż, gdyby się tak dobrze zastanowić, jaka zasuwa czy łańcuch obroni nas przed tym ludojadem?

- Panie Garrett, co się znowu dzieje? - Dean był blady jak śmierć i roztrzęsiony.

- Nie wiem. Właśnie miałem sprawdzić, czy mnie nie ma w łóżku, kiedy to coś spadło z nieba.

- Jak tamto, na które się pan natknął w pałacu kacyka?

- Mniej więcej, tylko trochę innego kształtu.

- Nie, chyba mam już tego dość, panie Garrett. Takie rzeczy nie zdarzają się w normalnych sprawach, które pan do tej pory prowadził. Chyba pójdę do domu i zaczekam, aż to się skończy.

- Nie mam do ciebie żalu. Ale najpierw musimy zmusić to draństwo, żeby sobie poszło.

Wyjrzałem. Uspokoilo się. Pomyślałem, że pewnie kombinuje coś paskudnego.

Stało sobie na środku ulicy, chwiejąc się na trzech łapach. Pozostałymi pięcioma drapało się jak wściekłe. Zielone plamki na skórze potwora urosły i świeciły fosforycznym blaskiem. Im bardziej je szarpał, tym bardziej go drażniły.

Dobrze. Może całkiem o nas zapomni.

Nagle skoczył na mój dom, jakby chciał nas wziąć przez zaskoczenie. I odleciał z wyciem, uderzony niewidzialną dłonią. Znowu się zatrzymał, chwiejnie wstał na nogi i zaczął się namiętnie drapać.

- Idę pogadać z moim martwym kumplem - oznajmiłem Mayi. - Mogłabyś pomóc Deanowi w kuchni? - Sugestia, sugestyjka, aluzja, aluzyjka.

Staruszek potrzebował sporej chwili, żeby ją pojąć, ale załapał, kiedy poprosiłem go o kufel jasnego z pianką.

Dom zatrzęsł się w posadach. Na zewnątrz rozszalała się burza. Wszedłem do pokoju Truposza, rozsiadłem się w fotelu, który stał tam specjalnie dla mnie i objąłem wzrokiem leżącą przede mną górę zjełczałego sadła. Pomimo ogólnego zamieszania nie wydawał się bardziej podniecony niż zwykle. Trudno byłoby powiedzieć, czy śpi, czy nie, gdyby nie sączące się jakby elektryczne promieniowanie.

- Może znajdziesz dla mnie minutkę? - zagailem. Nie był sobą.

Gadaj, Garrett.

Chyba chciał zachować swoją irytację dla tego potwora na zewnątrz.

- Masz jakiś pomysł, co to może być?

Zacząłem mieć pewne podejrzenia, ale nie zebrałem jeszcze wystarczających dowodów, żeby nabrać absolutnej pewności. Nie podoba mi się to podejrzenie. Jeśli ta rzecz jest tym, czym obawiam się, że jest...

Nie powie mi, no ale on nigdy nie puszcza farby, dopóki nie jest stuprocentowo pewien, że za godzinę nie zaprzeczy sam sobie. Wiedziałem, jaką odpowiedź dostanę, ale i tak spytałem:

- A co to za obawa?

Może jest wystarczająco roztargniony, żeby mu się wypsnął?. Jeszcze nie.

- A mógłbyś przynajmniej to odgonić?

Nie mam takiej mocy, Garrett. Zdaje się, że zrobiłeś wszystko co należy, żeby je zniechęcić, ale ten proces jest bardzo powolny.

Nie byłem całkiem pewien, co ma na myśli. Wyjrzałem na zewnątrz. Pająk był teraz bardziej zajęty drapaniem się niż moim domem. Odwróciłem się od okna.

- Pomożesz mi choć trochę czy idziesz spać?

Co prawda, jestem przekonany, że sam to na siebie ściągnąłeś i że zasługujesz na wszystko, co cię spotyka po kolei i razem do kupy, ale...

- Nie bądź taki mądry, Kupo Gnatów. Ten gość nie przyszedł do mnie. Tamci od bomb zapalających też nie. Za każdym razem byłem poza domem. Lepiej powiedz mi...

Cicho, musze pomyśleć. Masz rację. Nie dostrzegłem rzeczy oczywistej. Jesteś za małą myszą, żeby zainteresować tego kota.

- Ty też jesteś kimś wyjątkowym. Spokój.

Myślał. Mógł odgonić tego pajaka, bo już mi się znudziło czekanie.

- Lepiej nie namyślaj się przez całą wieczność. Niedługo zaroi się tu od ludzi, którzy będą chcieli wiedzieć, co jest grane. Mówię o ludziach z Góry, staruszk.

Prawda, Przewidziałem to. Mam za mało informacji. Musisz mi opowiedzieć o wszystkim, co się stało, od czasu kiedy zostałeś w to wciągnięty. Nie oszczędzaj mi szczegółów.

Zaprotestowałem.

Szybko. To coś szybko zrezygnuje. Za to pojawią się organa porządku i bezpieczeństwa, a wtedy lepiej, żebyś się stał tak nieobecny jak to tylko możliwe. A to ci się nie uda, jeśli się nie pospieszysz.

Miał rację, choć chyba wcale nie o to mu chodziło. Wszedłem w grę i opowiedziałem mu szczegółowo o wszystkim, co się wydarzyło, do chwili gdy pająk zaczął deptać mi po piętach. Opowieść zajęła mi trochę czasu.

Jeszcze więcej czasu zajęło mu trawienie tej informacji. Siedziałem już jak na mrowisku, kiedy Dean wetknął głowę w drzwi.

- To coś poszło sobie, panie Garrett.

Pobiegłem do wyjścia i wyjrzałem. Dean miał rację. Pająk kuśtykał środkiem ulicy, nawet nie próbując wznieść się w górę. Drapanie się pochłaniało mu więcej energii niż chodzenie. W podskokach pognałem do pokoju Truposza.

- Poszło sobie, Chichotku. Nie mamy za wiele czasu. - Wyjrzałem na korytarz: - Dean, powiedz Mayi, że musimy się stąd wynosić.

Skrzywił się. Zaczął mamrotać i kląć, dając mi wyraźnie do zrozumienia, że nie mam cholernego prawa, żeby narażać Mayę.

Mogę poprosić cię o uwagę?

- Masz ją, Śmieszku.

Twoje poczucie humoru nigdy nie odbiega od dziecinady. Uważaj, co mówię. Po pierwsze, prawdopodobnie masz rację. Ataki na dom nie zostały spowodowane tym, że należy on do ciebie, ani bezpośrednio zamachem na twoją osobę. Przez chwilę sądziłem, że być może to ja jestem ich celem. Wydawało się to rozsądne, pod warunkiem, że kłopoty pochodzą z tego źródła, które mam na myśli. Ale źródło to nie powinno być świadome mojej obecności, biorąc pod uwagę fakt, że nie zadało sobie trudu, by sprawdzić wcześniej, z jakim przeciwnikiem ma do czynienia. A zatem jego zainteresowanie dotyczy czegoś, co znajduje się w domu.

Co takiego? Czy to znaczy, że on wie, kto stoi za tym bajzlem?

Czy przyszło ci do głowy, żeby przeszukać pokój gościnny? Nie wspomniałeś, żebyś to uczynił, ale jakoś nie mogę sobie wyobrazić, aby jakikolwiek z moich podopiecznych był aż tak tępy i przeoczył sprawę oczywistą.

Wiedziałem, że wskoczy na najwyższe konie. Uwielbia, kiedy może mnie na czymś przyłapać.

Cholerny świat, myślałem o tym już wcześniej, ale nie pofatygowałem się sprawdzić, czy Jill czegoś nie zostawiła.

Czasem człowiek ma za dużo roboty, żeby pomyśleć.

A teraz, kiedy ta góra sadła siedziała tu sobie, kpiąc ze mnie w żywe oczy, zacząłem się zastanawiać, czy ta cała Jill po prostu mnie nie wrobiła.

- Dean! Leć na górę i sprawdź, czy Jill nie zostawiła niczego w gościnnym pokoju. Maya pomoże ci szukać. Jeśli nic nie znajdziesz, poszukaj wszędzie, gdzie mogła się stamtąd dostać. Jeśli dalej nic nie znajdziesz, zagładaj tam, gdzie się nie mogła dostać. Musi coś tam być.

Lepiej późno niż wcale.

- Jasne, jasne. Jestem pewien, że sąsiedzi zgodzą się z tobą, kiedy przyjdą się dowiedzieć, dlaczego mają porozwalane domy.

Dotarło do niego. Gdyby wtedy przerwał swoje umysłowe dąsy, teraz nie mielibyśmy problemów.

Nie rozpamiętujemy tego, Garrett, straciliśmy dużo czasu. Nie traćmy go więcej.

- Zgoda. Do roboty. Myślisz, że wiesz, co się dzieje? Słyszałeś o tych Synach Hammona?

Przypominam ich sobie. Złośliwy, nihilistyczny kult. Całe życie jest dla nich smutkiem, nędzą i karą, i tak już będzie, dopóki ich Pożeracz nie zostanie uwolniony, aby wyczyścić ten świat. Wielu zginie, a Prawdziwi Wyznawcy, Wierni, którzy służą bez zmrużenia oka, którzy pomogą uwolnić Pożeracza i rozpocząć Dzieło Zniszczenia, zostaną nagrodzeni wieczną rozkoszą. Ich raj przypomina raj nastolatków kultu Cieni. Mleko i miód, ulice ze złota i niewyczerpane zasoby uległych dziewczyn.

- To ostatnie brzmi nawet całkiem nieźle.

Zwłaszcza dla ciebie.

Czekałem, czy powie mi coś więcej.

Korzenie kultu sięgają głęboko, w czasy waszego proroka Terrella. Tysiąc lat temu został ogłoszony jako heretycki i cierpiał prześladowania. Do tego czasu był tylko jednym z niezliczonych kultów hanickich. Heretycy uciekli do różnych obszarów zamieszkiwanych przez nie-ludzi. Jedna z kolonii uformowała się w Carathca, gdzie jej doktryny zostały dodatkowo zdegenerowane przez czamoelficki nihilizm, a potem znalazła się pod wpływami czcicieli diabła, którzy doprowadzili ją do obecnego kształtu filozoficznego przed trzystu laty. Mniej więcej w tym samym czasie jej wysoko postawieni duchowni zaczęli głosić objawienia wprost z niebios, objawienia, które mógł zobaczyć nawet laik. Kult rozpoczął działalność polityczną, próbując przyspieszyć Dzieło Zniszczenia.

Byli prześladowani. Najpierw przez gierki Kościoła i imperium, potem dlatego, że władcy Carathca przestraszyli się ich i chcieli ich wypędzić.

Kult rozwinął się wśród ludzkiej populacji, która pielęgnowała go, ponieważ w Carathca nie była zbyt dobrze traktowana. Wykształciła wszystkie instrumenty terroru. Po dwóch pokoleniach opanowała Carathcę. Szlachta czamoelficka przetrwała jedynie jako marionetki. Kult ogarnął całe obszary wiejskie w promieniu pięćdziesięciu mil. Wysyłani byli fanatyczni mordercy, aby uśmiercić wrogów Niszczyciela. Kult stał się tak niebezpieczny, tak okrutny, że ówczesni królowie karentyńscy mieli do wyboru jedynie wojnę lub poddaństwo. Wybrali wojnę, jak to ludzie, gotowi zmieść kult z powierzchni ziemi. Przez jakiś czas wyglądało na to, że im się udało. Król Beran zadeklarował ich wyniszczenie, a zaraz potem został zabity przez odłam, który utworzył się w TunFaire pod inną nazwą. Jego syn Brian kontynuował walkę i, jak się wydawało, zwyciężył, gasząc ostatnie światła kultu około stu lat temu. Nadażasz?

- Jako tako. Nie rozumiem, ale nie muszę ich rozumieć, żeby ich załatwić, nie?

Musisz zrozumieć jedynie to, że są bardziej niebezpieczni niż ktokolwiek, z kim zdarzyło ci się walczyć, może z wyjątkiem wampirów broniących swego gniazda. Oni nie tylko wierzą, oni wiedzą. Ich diabelski bóg przemówił do nich, do każdego z osobna i pozwolił im zajrzeć do rajów, gdzie spędzą całą wieczność. Zrobią wszystko, ponieważ wierzą, że żadna kara nie może przyćmić nagrody, jaka ich czeka. Nie boją się niczego. Zostaną zbawieni i odrodzą się na nowo. Dano im na to konkretne dowody. Nie muszą wierzyć nikomu innemu, tylko swemu bogu.

Poczułem się bardzo dziwnie.

- Czekał no, Kupo Gnatów. Co u licha? Wcale mi to niepotrzebne. Jestem niewierzący. Próbujesz powiedzieć mi, że nie ma czegoś takiego jak anioły, ale jest coś takiego jak bóg, a tym bogiem jest diabeł...

Dość! Przestań!

Uspokoilem się trochę, choć wciąż jeszcze mną trzęsło. Wyglądało to tak, jakbym znalazł się twarzą w twarz z prawdopodobieństwem, że to, co uważam za całkowicie odrażające, jest prawem rządzącym wszechświatem.

My, Loghyrowie, nigdy nie odkryliśmy w naszych badaniach istnienia czegoś takiego jak bogowie. Nie byliśmy także w stanie obalić możliwości ich istnienia, choć tak wskazywałaby logika. Nie są nam potrzebni do wyjaśnienia czegokolwiek. Natura nie tworzy rzeczy niepotrzebnych.

Cóż, nigdy nie próbował przeżyć pół roku na bagnach zamieszkałych przez pięć setek pasożytniczych gatunków. A może bogowie są właśnie takimi, duchowymi lub psychicznymi, pasożytami?

Jednakże dowód lub jego brak nie są konieczne dla umysłu, który musi wierzyć. Umysł ten zaś staje się podwójnie ograniczony i podwójnie niebezpieczny, kiedy da mu się coś, co on uważa za dowód. I wtedy może zacząć tworzyć to, w co wierzy.

A jednak siedzenie tu z nim nie okazało się całkowitą stratą czasu.

- Myślisz, że ktoś robi kawał Synom Hammona, udając ich boga? Oszukuje ich, żeby osiągnąć swoje brudne cele?

Ktoś, kto żył w czasach, kiedy kult rządził Carathca i jej otoczeniem. My, którzy przynieśliśmy mu zgubę, wierzyliśmy, że udało nam się go zniszczyć. Może to nieprawda. A może ktoś inny zajął jego miejsce, choć muszę przyznać, że nie wiem, kto inny jeszcze mógłby być w to zamieszany. To większa zagadka niż zgłębienie tajemnicy, jak ten, z którym walczyliśmy, mógł uciec, by potajemnie karmić i podsycać swe okrucieństwo.

Nagle rozjaśniło mi się pod pałapem.

- Mówisz o jeszcze innym martwym Loghyrze, prawda? - Nie musiałem mieć bujnej wyobraźni, żeby wyobrazić sobie, jak mój rozkładający się kumpel mógłby zatrząść niebem i ziemią, gdyby nie był tak potwornie leniwy.

Masz rację. Mówimy o jedynym Loghyrze w historii, który zwariował. Mówimy o prawdziwym synu Bestii, jeśli ci to odpowiada, który popełnił wiele zła, gdy żył, w przebraniu waszych największych, najbardziej krwawych łotrów w historii, a jeszcze więcej, gdy umarł, zabity przez prawych obrońców ludzkości.

Przekomarzaliśmy się tak, aż przekonał mnie, że żywy Loghyr nie tylko może ujść za człowieka, ale że zdarzało się to w historii wiele razy. Wielu sławnych ludzi z dawnych czasów, a nawet paru „świętych”, wcale nie było ludźmi. Ale i tak nie potrafiłem za nic pojąć dlaczego, skoro wtykanie nosa w nie swoje sprawy jest cechą naszego, ludzkiego charakteru. Według mnie Loghyrowie powinni najwyżej zająć neutralną pozycję, obserwować i pilnować własnego nosa.

- Cholernie ciekawe. Dowiaduję się o Loghyrach rzeczy, jakich nigdy nie podejrzewałem. Musimy sobie kiedyś na ten temat uciąć dłuższą pogawędkę, ale teraz nie ma na to czasu. Trzeba zacząć działać, i to szybko, albo wszystkie maszyny w całym kraju zajmą się nami i już ani zipniemy.

Może masz rację.

- Uważasz, że gdzieś tam siedzi sobie Loghyr, który odbudował dawny kult? Kupiłbym to, ale do diaska, czemu przy okazji rozbierają TunFaire?

Muszę przyznać, że mnie to zastanawia. Przypuszczam, że Magister Peridont mógłby nam to wyjaśnić. Może ta kobieta. Craight, też wie. Ufał jej bardziej, niż jakikolwiek rozsądny mężczyzna powinien ufać kobiecie. Pendont mógł się przed nią wywnętrzyć. Znajdź ją, Garrett. Przyprowadź ją tutaj.

- Proszę bardzo. Pstryk! I już tu jest.

Znajdź też, a przynajmniej zidentyfikuj, człowieka, który mieszkał w apartamencie naprzeciwko. Mam przeczucie, że jest równie ważny jak ta Craight. Może nawet bardziej.

Przechucie? Truposz? Ten tłusty kłęb czystego racjonalizmu? W tym momencie zjawił się Dean.

- Niczego nie znaleźliśmy, panie Garrett.

- Szukać dalej. Coś musi tam być.

Niekoniecznie, Garrett. Wystarczy samo przekonanie, pozory, że coś tam jest.

Sam też tak myślałem, ale nie bardzo mi się to podobało.

- Podsunęła nas w charakterze zmyłki?

Istnieje taka możliwość. Tym bardziej, jeśli przyjmiemy, że Magister Pendont powiedział jej coś, co mogłoby być interesujące dla naszych prześladowców.

- Niech no ja ją jeszcze raz dorwę, to połamię jej kulasy - warknąłem. Mogłem ją sobie wyobrazić, jak napuszcza na nas tych facetów, w nadziei że zajmą Truposza. Może właśnie to była sztuczka, której próbowałbym, gdybym chciał się kogoś pozbyć.

Zbliża się patrol straży. Chyba lepiej, żebyś już zniknął. Zajmę się nimi. Przyprowadź mi tę kobietę.

Wycofałem się tylnym wyjściem, Dean zamknął za mną drzwi, mamrocząc i burcząc, ale chyba w duchu zadowolony, że znajduje się w samym środku wydarzeń.

Maya znowu się do mnie przyczepiła. Nie było sposobu, żeby ją zmusić do powrotu do Sióstr.

- Przynajmniej daj im znać, że jesteś zdrowa i cała. Nie chcę, żeby Tey Koto znowu na mnie napadała, sądząc, że ci zrobiłem kuku.

Parsknęła śmiechem. Ja też pewnie bym to zrobił, gdyby ktoś mi zaproponował „kuku”.

- Garrett, jesteś jedyny w swoim rodzaju. Jak ktoś w twoim biznesie może mieć w sobie aż tyle

drobniutkich słabostek i przesądów?

Było to pytanie, jakiego raczej nie należy oczekiwać od kogoś w jej wieku, ale dzisiejsza młodzież jest wyjątkowo spostrzegawcza i niegłupia. Nieraz dostrzegą więcej niż my, stare konie z od-powiedzią na każde pytanie. Powiedziałem jej prawdę.

- Staram się je chronić. Są to prawdy nieraz poetyckie, a nieraz i naukowe. I jedno, i drugie, moim zdaniem, warte są obrony, choć tobie może się to wydać głupie.

Roześmiała się znowu, ale bez drwiny. W jej głosie brzmiała tylko radość.

- To dobrze, Garrett. Teraz wiem, za co cię kocham, razem z twoimi dziwactwami.

Och, ta mała wiedźma. Jak ona dobrze wie, czym wprawić faceta w rezonans.

Garret 03 Zimne Miedziane lzy

XLII

Mniej więcej tysiąc lat temu, to znaczy poprzedniego wieczoru, Morley wspomniał mi, że lepiej byłoby, gdyby wszyscy myśleli, że nie żyję. Nie bardzo wiedziałem, jak to zrobić w możliwie wiarygodny sposób, ale uznałem, że mogę użyć drugiego w kolejności wybiegu, to znaczy zniknąć. Klin i moje aniołki wynieśli się. Niestety, całe sąsiedztwo wrzało jak ul, a na ulicy pojawiła się cizba, która mogła swobodnie uchodzić za połowę ludności TunFaire, i wszyscy chcieli wiedzieć, co się właściwie stało. Uznałem, że nikt więcej nie będzie się gapił i w sumie jest to najlepszy moment, żeby dać dyla.

- Dokąd możemy iść? - zapytała Maya.

Dobre pytanie. Powinno to być miejsce, gdzie nikt nie pomyślałby, żeby nas szukać, gdzie można będzie swobodnie wchodzić i wychodzić. Miejsce, gdzie moglibyśmy pomieszkać przez jakiś czas, nie zdradzając się przy pierwszej możliwej okazji. Nie potrafiłem wymyślić nic genialnego, choć miałem paru wdzięcznych klientów, którzy mogliby mi pomóc.

- A co myślisz o tym mieszkaniu naprzeciwko Jill? - zagadnęła Maya. - Cały dom został splądrowany, więc nikogo to nie zainteresuje. A wiesz przecież, że ten koszmary typ raczej tam nie wróci.

- Koszmary?

- No, rozumiesz. Zarazem straszny i dziwaczny.

Miała absolutną rację. Dom posiadał cechy najlepszej kryjówki, jaką mogliśmy sobie wyobrazić. Udaliśmy się zatem pod odpowiedni adres i, oczywiście, weszliśmy do mieszkania bez najmniejszych przeszkód. Czasami miło jest, kiedy nad twoją głową rozpościera się parasol łaski kacyka.

Czasami... Mnie to akurat dużo pomogło, przynajmniej do tej pory.

Zaledwie zamknęliśmy za sobą drzwi, Maya zaczęła marudzić, że jest głodna.

- Widziałem coś w kuchni, kiedy przeszukiwałem dom. Apartament nie był przeznaczony do zamieszkania. Zapasy składały się głównie z paskudztwa, z którego nie sposób przygotować przyzwoity posiłek. Jakoś jednak sobie poradziłem.

- Dlaczego nie poprosiłaś Deana, żeby cię nakarmił przed wyjściem?

- A ty?

- Racja. Miałem za dużo na głowie. - Zamieszałem łyżką w talerzu brei, wciąż łamiąc sobie głowę, dlaczego Dean niczego nie mógł znaleźć. Liścik informował, że to, czego szukali Synowie Hammona, znajduje się w bezpiecznym miejscu. Nie ma bezpieczniejszego miejsca niż dom strzeżony przez Truposza i dlatego jakoś sobie nie wyobrażam, żeby wyniosła „to” z domu.

Ciekaw byłem, jak zamierzała „to” później odebrać, jeśli w ogóle to planowała. Ciekaw byłem, co to w ogóle jest. Może zaginione Relikwie Terrella, których znalezienie chciał mi zlecić Peridot? Możliwe. Ale z drugiej strony, czy jakieś tam relikwie wprawiłyby heretycki kult w taki nastrój, że byliby gotowi na wszystko, żeby je zdobyć.

Jeszcze raz poczułem gwałtowną potrzebę poczynienia pewnego rozeznania. Dzięki Deanowi i Truposzowi wiedziałem już, co to za kult i czego chce, ale była to dość skąpa informacja. Musiałem wiedzieć coś więcej na temat tego, w co wierzyli i dlaczego akurat w to. Dużo, dużo więcej.

Gdybym dostał w swoje tapy Jill, może nawet i to nie byłoby niezbędne.

- Patrz, znalazłam trochę wina - zawołała Maya. Wyglądała na zadowoloną, więc i ja poczułem się zadowolony, choć znalezisko niezbyt mnie podnieciło.

- Dobrze, postaw na stole - mruknąłem i myślałem dalej. Tym razem o kacyku. Jego ludzie jakby trochę przycichli. Pewnie czekali, aż ta cała historia trochę się uleży. A uleży się na pewno. Jak wszystko w TunFaire. Kto i jak długo może się zastanawiać nad śmiercią kilku dziwacznych nieznajomych.

Wino nie było aż takie złe. Ktokolwiek je tu przyniósł, musiał mieć dobry gust i sporo forsy. Trunek splukał resztki absurdalnego posiłku.

- Dean mnie psuje - zauważyłem. - Jestem już tak zepsuty, że za każdym razem spodziewam się przyzwoitego żarcia.

- Mogliśmy wyjść.

Rzuciłem jej ostre spojrzenie. Oczywiście żartowała.

- Obiecałeś - dodała po chwili.

Naprawdę? Jakoś nie mogłem sobie przypomnieć.

- Może później, kiedy się to skończy, jeśli pozwolisz się doprowadzić do porządku. - Od czasu, kiedy siostrzenica Deana uporządkowała trochę jej wygląd, minęło sporo czasu. Zaczęła znowu wyglądać jak łachmaniara. A ja jak wyglądałem?

- Mam dość. Idę się przespać. Po śniadaniu znowu ruszymy w Dzielnicę.

Wziąłem lampę i ruszyłem na obchód, szukając sobie miejsca. Wystarczył mi salon. Zdjąłem buty i sprawdziłem, czy okna są dobrze zasłonięte, żeby nikt nie widział poruszającego się światła, po czym zacząłem wic sobie gniazdko. Nagle poczułem w sobie mniej więcej tyle energii co wampir w południe.

Weszła Maya.

- Garrett, ty śpij na łóżku. Ja mogę spać na podłodze.

- Nie, tu mi będzie dobrze - odezwał się we mnie staruszek džentelmen.

- Potrzebujesz więcej wygody niż ja. Och, nie, znowu te same przegadywanki.

- Maya, ja się nie bawię w salonowca. Ktoś składa mi ofertę, ja w zamian daję mu jedną szansę na wycofanie się, po czym przyjmuję.

- Nie wściekaj się. Naprawdę tak uważam. Jesteś o wiele bardziej zmęczony niż ja. A ja przyzwyczaiałam się już do spania na podłodze i chodnikach. To - wskazała na podłogę - jest już dla mnie luksusem.

W jej oczach widać było jednak coś jakby cień cienia iskierki, jakby nie do końca mówiła to, co myśli. Jakby coś kombinowała.

- Sama chciałaś, no to masz. - Ruszyłem w stronę sypialni. Nie miałem pojęcia, czego ona może chcieć, chyba dlatego że byłem tak potwornie zmęczony.

Dowiedziałem się mniej więcej sześć godzin później.

Zazwyczaj śpiam w stroju Adama. Tym razem, ponieważ wiedziałem, że nie jestem sam, poczyniłem drobne ustępstwo, śpiąc w bieliźnie. Leżałem, przewracając się z boku na bok i zamartwiając przez około siedmiu sekund. Potem była już tylko ciemność. Następną rzeczą, która do mnie dotarła, był błogi fakt, że nie jestem już sam. Koło mnie leżało coś bardzo ciepłego, bardzo nagiego i bardzo kobiecego. I bardzo zdecydowanego. A ja, do cholery, nie mam aż tak wielkiej siły woli.

Nawet najlepszy z najlepszych ma pewne granice szlachetności. Sama rozgrzana, Maya bez trudu pokonała wszystkie moje opory i bariery.

Ten ranek okazał się naprawdę zdumiewający.

Garret 03 Zimne Miedziane lzy

XLIII

Przyodziałem Mayę od stóp do głów w różne części garderoby, które zwinąłem z mieszkania Jill. Przysięgam, ta dziewczyna robiła się piękniejsza z minuty na minutę. Nie - kobieta nie dziewczyna. Teraz nie było już co do tego żadnych wątpliwości. Tam, gdzie brakowało jej doświadczenia, nadrabiała entuzjazmem.

Pomogłem jej się uczesać i umalować. Będzie potrzebowała lekcji makijażu. Kiedy już załapie, co trzeba, będzie zabójcza.

- Przykro mi niezmiernie, ale będę musiał to zniszczyć - powiedziałem, kiedy już zobaczyła się w lustrze. - Nie mogę wyjść z tobą na ulicę w tym stroju.

- Dlaczego nie? - Jej też się spodobało.

- Bo za bardzo zwracałaś uwagę. Chodź tu. - Kiedy skończyłem, w ogóle przestała być do siebie podobna. - Szkoda, że ze mną nie da się zrobić nic takiego.

- Czy naprawdę musimy się przebierać?

- Niekoniecznie. Ale na ulicy znajdują się ludzie, którzy będą chcieli nas zabić. Przebranie nie zaszkodzi. A jeśli będziemy przebrani, to i nam nikt nie zaszkodzi.

Nie miałem sposobu, żeby drastycznie zmienić wygląd. Pomyślałem o Pokeyu Pigotcie i trikach, jakie stosował: kamyk w bucie, pochylanie ramion, noszenie po kieszeniach kilku różnych kapeluszy i zmienianie ich co jakiś czas, i tak dalej. Ten pomysł z kapeluszami wydał mi się dobry. W przedpokoju było ich mnóstwo. A każdy, kto mnie zna, wie, że noszę kapelusz tylko wtedy, kiedy odmarzają mi uszy.

Wybrałem jak najbardziej absurdalny, taki jakiego w normalnych warunkach nie włożyłbym nawet na firmowego stracha na wróble.

- I jak wyglądam?

- Jakby ci ptaszki uwiły gniazdko na głowie.

Wyglądał trochę jak trójgraniasty stóg siana. Cieszę się, że elegancja stroju wiąże się z przynależnością do klas wyższych. Nienawidzę nadążać za modą.

Było tam też parę sztuk odzieży, ale wszystko na faceta niższego ode mnie, więc nie mogłem z nich skorzystać. Poprosiłem tylko Mayę o wymodelowanie mi twarzy sadzą, przeciwiczyłem pochylenie ramion i lekkie utykanie.

- Gotowa? - zapytałem.

- W każdej chwili - odparła tak, aby zabrzmiało to dwuznacznie. Wydawała się szczęśliwa jak nigdy dotąd.

Garrett, ty diable. Jak ty to robisz?

Poddajesz się i ruszasz do boju, choćby kolizja była czysto przypadkowa. Ale tym razem to nie był przypadek, lecz ktoś, na kim mi zależy, niezależnie od ciała, poruszającego się z moim w jednym rytmie...

Cholera, seks zawsze komplikuje sprawy.

Wyszliśmy na ulicę, wyglądając jak para biedaków. Podobnie zresztą jak większość przechodniów. Perfekcyjnie kuśtykałem i pochylałem plecy, a nawet wymyśliłem sobie historyjkę, gdyby ktoś nas zaczepił. Zostałem ranny pod Yellow Dog Mesa. A co się robiło na wojnie - o to już

nikt nie pytał. Wystarczyło, że wyszedłeś z tego żywy.

Ciekaw byłem, co porabia Glory Moncalled. Od wielu dni już o nim nie słyszałem. Oczywiście, to nie miało większego znaczenia. Właśnie tak jest na wojnie. Długie okresy bezczynności przeplatają się z krótkimi, gwałtownymi okresami walki. Miałem jednak przecucie, że wkrótce wydarzy się coś ważnego.

Ciekaw byłem, jak Truposz radzi sobie z biurokratycznym obłączeniem. Jeśli się zniecierpliwi tak, jak ze mną, pożałują, że w ogóle go zaczepiali.

Weszliśmy do jakiejś podrzędnej knajpy na śniadanie, a potem powędrowaliśmy do Dzielnicy. Kiedy tam dotarliśmy, było południe. A południe to jeden z mniej istotnych okresów szczytowych w tej okolicy. Ci, którzy nie mogą wyjść wieczorem, wyskakują właśnie teraz na godzinę z pracy, by zaspokoić głód. Maya i ja usiedliśmy na tej samej ławce, z której przedtem obserwowaliśmy paradę grajków. W dzień ludzie byli bardziej płochliwi niż nocą. Niektórzy, nawet wielu, próbowali się jakoś przebierać. I znów zadumałem się nad niezwykłością natury ludzkiej. Cóż za dziwny gatunek.

- Myślę, że jesteśmy jakimś dowcipem bogów - powiedziałem do Mayi.

Roześmiała się. Zrozumiała, co mam na myśli. Nie musiałem tłumaczyć. Spodobało mi się to. Właściwie zaczęło mi się w niej podobać wiele rzeczy, i to jak nigdy przedtem, za czasów, kiedy była tylko przedmiotem akcji dobroczynnej.

Ona też to wyczuła. Dotknęła mojej dłoni i uraczyła mnie szerokim uśmiechem, jakby chciała rzec: „A nie mówiłam?”.

O la-la! To wszystko zaczyna mi się wymykać spod kontroli. Już nawet przestałem rozumieć. Przecież Garrett się nie angażuje. Zaprzyjaźnia się i pozostawia po sobie uśmiechnięte twarze, ale nie daje się złapać na żadne zobowiązania.

Cholera, przecież to był mały, chudy gołodupiec, którego ocaliłem od wykorzystywania i głodu. To był tylko dobry uczynek...

Uśmiechnąłem się w duchu. Cóż innego można robić, miotając się na haku własnej wędki.

Spojrzałem na bramkarza po drugiej stronie ulicy.

- Mamy tu mały problem.

- Jaki?

- Muszę pogadać z tym gościem. Jednak, żeby z nim pogadać, muszę mu powiedzieć, kim jestem. A to załatwia sprawę mojego zniknięcia.

- Garrett, ty chyba tetryczejesz. Przecież wystarczy mu powiedzieć, że Chodo życzy sobie, żeby zapomniał, że cię widział, a on zapomni.

Miała rację. Facet zapomni o wszystkim, czego sobie zażyczę, chyba że ktoś go naprawdę starannie przesłucha, co mu raczej nie grozi, ponieważ nikt nie ma ku temu powodu.

- Masz rację. Tetryczeję.

- A może jesteś po prostu zmęczony. Nieźle sobie radziłeś, jak na takiego staruszka.

Splunąłem do rynsztoka. Cholera, ciekawe, że to akurat nie przyszło mi do głowy.

- Nie jesteś przyzwyczajona do prawdziwych mężczyzn.

- Może - w jej głosie zabrzmiało coś podejrzenie przypominającego mruczenie kota. - Chcesz, żebym poszła do niego i powiedziała, że chcesz się z nim widzieć?

- Jasne.

Jednym okiem obserwowałem dom, w którym byliśmy wczoraj wieczorem. Wszedł z niego jeden starszawy facet. Nie wszedł nikt. Ciekawe, można by sądzić, że ruch powinien być większy. Wydawało się, że właśnie to jest odpowiednie miejsce dla ludzi, którzy wychodzą na światło dzienne w południe. Wciąż uważam, że gość, który to wymyślił, był geniuszem. Każdy potrzebuje

kogoś, żeby się wygadać. Ja też.

Częściowo zaspokajam swoje potrzeby w tej dziedzinie, dzieląc je pomiędzy Truposza, Deana, Tinnie i Kolesia. Najchętniej rozmawiam z Kolesiem, bo z nim nie łączą mnie żadne więzy oprócz przyjaźni. Są jednak rzeczy, o których bym mu nie powiedział, bo za bardzo cenię sobie jego przyjaźń.

Maya usiadła koło mnie.

- Zaraz tu przyjdzie. Nie mógł uwierzyć, że to ty.

- Ale ty go przekonałaś.

- Potrafię być bardzo przekonująca.

- Zgadza się. - Osobiście nie miałem szans, skoro się już zawzięła. Do tego trafiła w mój słaby

punkt

Bramkarz usiadł obok w kilka minut potem. Ze zdumieniem zajął mi w twarz.

- To rzeczywiście ty.

- To byłem ja. Teraz to nie mnie widzisz. Gadasz z facetem, który przyszedł się pogapić. Ja

wyjechałem z miasta, zniknąłem, jak sobie wolisz. Tak wygląda sytuacja.

Uniósł brew. Cholera, jak ja nie lubię, kiedy ludzie kradną moje triki.

- Robi się gorąco. Organizacja znajduje się pod presją i część z nas znika, dopóki się trochę nie uspokoi.

- A w ogóle to co się dzieje? Jestem tu przywiązany i nic nie wiem, słyszałem tylko jakieś plotki.

- Na pewno nie słyszałeś nic tak zwariowanego jak prawda. - Opowiedziałem mu to i owo,

dołączając kilka szczegółów na temat ataku na dom Chodo. Nie chciało mu się wierzyć, ale historia była tak idiotyczna, że w końcu uwierzył.

- To głupie - rzekł. - Ci ludzie muszą być naprawdę stuknięci. Jestem gotów pomóc. Wszyscy tu jesteśmy gotowi, ale nie wiem, co mógłbym zrobić.

- O ile jestem w stanie coś stwierdzić, są dwie osoby, które wiedzą to, czego nam potrzeba, żeby skończyć z całą sprawą. Jedną z nich jest ta kobieta, o którą cię pytałem. Nie podam ci nazwiska, bo ma ich ze sto, ale sądzę, że pracuje w tamtym domu.

Zachichotał ze zrozumieniem.

- Aha, u Doyle'a. To jego dom. Ech, te wszystkie cudne kociaki, i tylko do oglądania. Połowa z nich nigdy nie wychodzi. Płacisz za samo patrzenie.

- Nie święci garnki lepią. Gdyby wszyscy byli normami, tacy jak ty i ja umarliby z głodu.

- Racja. Co chcesz wiedzieć?

- Widziałaś, żeby tam wchodziła lub wychodziła jakaś wyjątkowa blondyna?

- Nawet kilka. Musisz ją dokładniej opisać.

To niemożliwe. Jill Craight, pomimo urody, miała w sobie coś nieokreślonego, co sprawiało, że mogła być kilkoma kobietami naraz, a każda z nich różniła się od innych.

- Zostawmy ją. Co powiesz o tym gościu, który wybiegł stamtąd wczoraj wieczorem, kiedy nie miałeś czasu rozmawiać?

- Który to był? Naprawdę nie pamiętam.

- Mayu, opisz mu go. Widziałaś lepiej.

- Nie aż tak dobrze. Mały, krępy, miał wielki nos, który wyglądał tak, jakby był kiedyś złamany.

Ciemnawy na gębie. Łysy, chociaż może nosić kapelusz i wtedy nie będzie tego widać. Za każdym razem miał na sobie porządne ciuchy, ale takie jakby nie jego. Jakby nie umiał ich nosić. - I tak dalej, i tak dalej. Chciałbym mieć takie oko.

Bramkarz pomyślał przez chwilę.

- Wydaje mi się, że widziałem takiego gościa, zanim wy stamtąd wybiegliście. Zauważyłem go tylko dlatego, że wyparzył przez drzwi, jakby demon wgryzł mu się w dupę.

- No i?

- No i nic. Uciekł. Spodziewałem się tego.

- Rozpoznałeś go?

- Pytasz, czy go znam? Nie. Ale przychodzi tu co jakieś cztery, pięć dni. Przedtem chodził na pokazy, ale odkąd Doyle otworzył ten swój dom rozmów, przestał odwiedzać i teatry, i kabareciki.

- Jak trochę się zastanović, to wcale nie takie głupie.

- Nie, chyba nie. Ten stary pierdoła robi majątek. Mówię ci, nigdy nie zrozumie gości, którzy tam chodzą.

A ja myślę, że rozumie ich aż za dobrze. Nie mógłby pracować w Dzielnicy, gdyby nie rozumiał ludzi, którzy tam przychodzą szukać rozrywki.

Wzruszyłem ramionami.

- No to cóż. Nie wiem, o co jeszcze mogę cię zapytać. Bramkarz wstał.

- Zawsze chętnie pomogę kacykowi. Hej, nie wiem, czy ci to coś da, ale ten łysy knypek to ktoś ważny. Jakiś wysoko postawiony duchowny albo coś takiego.

Chyba podskoczyłem. Chyba jakaś struna drgnęła w mojej podświadomości.

- Jesteś pewien?

- Nie. Tak mi się wydaje po sposobie, w jaki się przemyka, a jednocześnie tak się zachowuje, jakby czekał, że ludzie zaczną przed nim klękać. Widziałem innych klechów, którzy zachowują się tak samo. Nie chcą być rozpoznani, ale kiedy są już dość wysoko, zawsze oczekują specjalnego traktowania. Rozumiesz, co mam na myśli?

- Aha. Wspomnę, gdzie trzeba, jak mi pomogłeś. Może coś kapnie.

- Przydałoby się.

- A komu nie? - Spoglądałem w ślad za nim, kiedy szedł na swoje stanowisko pracy.

- Klecha - mamrotałem. - Kolejny wysoko postawiony klecha. I mieszka w tym samym domu, gdzie Jill zabawiała się z Magistrem Pendentem. Czy to ci nic nie mówi?

- W każdym razie na przypadek to nie wygląda - odparła Maya. - Myślisz, że to ważne?

Przedtem nie opowiedziałem jej wszystkiego o Peridencie, ale teraz postanowiłem jej zaufać. Wyjawiłem całą prawdę, od samego początku.

Milczała przez chwile.

- Wiem, co myślisz. To po prostu niewyobrażalne - powiedziała po chwili.

- Przypuszczalnie masz rację. Ale... wszystko zaczyna układać się w całość, nawet jeśli ta całość jest niewyobrażalna. A za pierwszym razem, kiedy Peridont mnie odwiedził, chciał, żebym odnalazł Strażnika Agire i relikwie Terrella.

- Garrett, to czysta spekulacja. Muślin. Prawie pajęczyna.

- Może. Raz-dwa ją zniszczymy, jeśli wygląd Strażnika nie odpowiada opisowi naszego kurdupła.

Skinęła głową.

- Pogadaj o tym ze mną. Może zobaczysz jakieś dziury w moim rozumowaniu.

- W porządku.

- Jill Craight pracuje tutaj. Wysłuchuje smutnych opowieści sfrustrowanych gości. Jest nieco zachłanna, więc czasami spotyka się ze swoimi klientami na zewnątrz, poza godzinami pracy. Może nie jest stuprocentowo uczciwa, więc próbuje się dowiedzieć, kim naprawdę są. Może dowiadyuje się przypadkowo. Ale stwierdza, że pośród stałych klientów ma Wielkiego Inkwizytora i Strażnika.

Może w jej głowie rodzi się myśl o wielkim skoku, a może jest idealistką. W każdym razie rozpoczyna się coś, co można by nazwać nielegalnym dialogiem. Może rzeczywiście coś kombinują na lewo, ale na miasto najeżdżają Synowie Hammona. Z jakiegoś powodu bardzo chcą dostać Relikwie. Agire postanawia działać. Podsuwa Relikwie Jill, a sam ucieka, żeby odciągnąć pogoń. Peridont nie ma o niczym pojęcia, wie tylko, że Agire zniknął wraz z Relikwiami. W międzyczasie nawiązuje kontakt z Jill i dowiaduje się, o co w tym wszystkim biega, i woli już do tego nie wracać. Chciałby się jednak dowiedzieć czegoś więcej o Synach Hammona, ale z kolei nie mówi mi tego. Jako typowy klient wie, że zlecając mi pracę, musi też powiedzieć mi coś niecoś o sobie, dlatego woli, żebym się miotał po ciemku, aż potknę się o coś, co może mu się przydać. A potem, ponieważ musi zabezpieczyć swój tyłek, a ma do czynienia z polityką Kościoła, sprawy zaczynają się chrzanić. A kiedy wreszcie stwierdza, że siedzi w tym po czubek głowy i musi się oczyścić (żebym mógł go wydostać z tego gnoju), wpada w pułapkę w drodze do mojego domu. Nie jestem przekonany, że facet, który go zlikwidował, należy do Synów Hammona.

Było to chyba najdłuższe przemówienie, jakie w życiu wygłosiłem. Wyrzucałem z siebie wszystko po kolei, nie przerywając ani na chwilę. Wreszcie, kiedy się już wyłączyłem, Maya zareagowała milczeniem. Może potrzebowała zachęty?

- No i co o tym sądzisz? - zapytałem.

- Myślę, że rozmawiasz z niewłaściwą osobą. Nie potrafię znaleźć żadnej dziury. Powinieneś chyba wyłożyć to tak samo Truposzowi. On ci powie, dlaczego tak nie mogło być.

- A myślisz, że nie mogło?

- Nie. Właściwie nie chcę, żeby tak było. To kwestia emocji. Właściwie to boję się, że możesz mieć rację.

Dlaczego to ją tak martwi? Czy dlatego, że sprawa może wpaść w łapy łowców skandali?

Intuicyjnie czułem niebezpieczeństwo. Oto pojawiają się Synowie Hammona ze swoim ascetycznym trybem życia i bogiem, który może przemawiać wprost do wiernych, a tymczasem dwa największe hanickie zakony okazują się bezsilne i skorumpowane...

Nie. Ludność TunFaire nie da się zwieść czemuś tak szalonemu jak kult Synów Hammona. Nie teraz.

Źle wybrali moment. Gdyby poczekali z tymi szalonymi obietnicami do końca wojny, załóżę się, o wszystkie pieniądze, i moje ostatnie portki, że znaleźliby tysiące wiernych.

Myślałem już o tym od dość dawna. Musimy w końcu pogadać, Truposz i ja, jak sprawić, aby nasze życie było znośniejsze. Może powinienem jednak przyjąć ofertę Weidera i zostać jego głównym wykidajką w browarze. Browary zawsze prosperują, nawet w najcięższych czasach.

Maya tylko się przytuliła i zaczęła mrużyć. Chyba nic jej nie przychodziło do głowy. A czas płynął sobie spokojnie...

Wpadła mi do głowy pewna myśl. Czasami zdarza mi się i to.

- Myślisz, że Jill rozpoznałaby cię, gdybyś przeszła obok niej?

- Nie.

- A więc musimy się rozdzielić. Jeśli mnie zobaczy, zadrze ogon i zwieje.

- Tak sądzisz? Naprawdę?

- Spanikuje. Wydaje mi się, że zabrnęła w zmianę tożsamości już za daleko. Teraz wydaje się jej, że wystarczy zmienić nazwisko, żeby zupełnie zniknąć. Jeśli spotka kogoś, kto zna ją z innych czasów, straci pewność siebie i zareaguje zbyt gwałtownie. Nieważne, kto to będzie.

Maya zmarszczyła brwi i spojrzała na mnie uważnie.

- No, nie wiem. Ale ty lepiej znasz się na ludziach niż ja. Ja? Znam się na ludziach? Ja ledwie

mogę zrozumieć siebie, a co dopiero resztę świata.

Garret 03 Zimne Miedziane lzy

XLIV

Cierpliwość stanowi nieodzowną część mojej pracy. Prawdopodobnie muszę czekać częściej niż ktokolwiek inny, z wyjątkiem żołnierza. Po pięciu latach w marines powinno się ono właściwie stać moją drugą naturą, nie mówiąc już o tych wszystkich historiach związanych z burzliwym życiem detektywa. Niestety, nigdy nie byłem zbyt dobry w czekaniu, zwłaszcza na zimnie.

Musiałem wstać i położyć sobie. Łatwiej mnie wtedy zauważyć, ale moje zeszywniałe nogi i zmarznięty tyłek nie dały sobie tego powiedzieć.

- Idę się przejść tamtą ulicą - szepnąłem do Mayi. - Zobaczą, ile jest tylnych wyjść w tym budynku.

- A jeśli zechce wyjść akurat wtedy?

- Niewielkie szansę. To mi zajmie mniej niż trzy minuty.

- To ty jesteś ekspertem.

Sposób, w jaki to ciągle powtarzała, sugerował, że ma niejakie wątpliwości.

Poszedłem zatem, przez pierwsze dwanaście kroków udając, że to nie ja, ponieważ czułem na sobie jej pytające spojrzenie.

Nie znalazłem niczego, czego bym się nie domyślił wcześniej, siedząc z Mayą. Tyłne wyjście było tam, gdzie być powinno, kończąc się zewnętrznymi schodami, które wychodziły w alejkę za domem. Musiało tam być, bo nie widzieliśmy schodów na drugie piętro, kiedy jeszcze byliśmy w środku. Do diabła z tym.

Cóż, przynajmniej udało mi się rozprostować nogi.

Zawróciłem na ławkę, gdzie siedziała moja dziewczyna.

Zaraz, jaka dziewczyna?

Maya zniknęła.

Przez najbliższe piętnaście sekund gapiłem się jak kretyn na pustą ławkę, po czym rozejrzałem się dokoła, podskakując, żeby dojrzeć coś ponad głowami tłumu. Po Mayi nie było ani śladu. Popędziłem do mojego kumpla goryla.

- Widziałeś może, co się stało z dziewczyną, która tu siedziała? Tam, na tamtej ławce?

Wyszczerzył zęby w sposób wybitnie podający w wątpliwość moje kompetencje.

- Jasne, chłopie. Tym razem wszystko widziałem. Twoja blondyna przegalopowała tuż po tym, jak odszedłeś. Dziewuszka ruszyła za nią. Pobiegły w tamtą stronę.

Pokazał palcem na wzgórze, to znaczy z powrotem w kierunku serca miasta, skąd przybyliśmy i skąd zresztą przybyła większość pozostałych.

- Blondynce się spieszyło?

- Pędziła. Zdaje mi się, że was spostrzegła i czekała na szansę ucieczki.

- Dzięki. - Wystartowałem przed siebie, ignorując przekleństwa tratowanych przechodniów. Ciekaw byłem, jak Jill mogła nas rozpoznać z tej odległości...

Przekleństwo! Jak bardzo głupi może być jeden facet o jednym mózgu? Prawdopodobnie w ogóle nas nie rozpoznała. Ale z całą pewnością rozpoznała pożyczone przez Mayę ciuchy.

Jak to się stało, że nie pomyśleliśmy o tym, kiedy w tak sprytny sposób przeistaczaliśmy się w kogoś zupełnie innego?

Przyspieszyłem, bo tłum nieco się przerzedził. Po wyjściu z Dzielnicy Nocnych Marków mogłem jedynie odgadywać, w którą stronę pobiegła Jill. Nie zobaczyłem niczego.

Zastanawiałem się, po co się tak staram. Zastanawiałem się, czy Maya wytrzyma tempo. Zastanawiałem się, co zrobi Jill, jeśli nie uda jej się zgubić Mayi. Zastanawiałem się też, jak Maya da mi znać, jeśli uda jej się dogonić Jill.

Rozglądałem się po bocznych uliczkach, pytałem kramarzy. Niektórzy kazali mi wynosić się do diabła. Inni obdarzali mnie tępym spojrzeniem. Tu, tam, jeden tylko podał mi prawdziwą in-formację. On naprawdę widział Jill.

Wciąż kierowała się ku centrum miasta.

Nie mogłem liczyć na współpracę, jeśli miałem pozostać wyłącznie Garrettem. Schowałem zatem dumę do kieszeni i zacząłem rozsiewać aluzje do Chodo Contague'a. Poziom chęci do współpracy skoczył natychmiast w górę o kilka kresiek. Człowiek przy wózku z kiełbaskami na rogu potrzebuje pomocy kacyka, inaczej ktoś inny bez trudu wykopie go z interesu.

W ten sposób trzymałem się śladu tak długo, jak długo w okolicy był ktokolwiek, kogo można było zapytać. Do tej pory marszruta Jill skręciła na południe.

Żałowałem, że nie wiem o niej więcej. Gdzież ona mogła uciekać? Ale nie miałem czasu na zbieranie informacji. Nie przy jej przebraniach, ile ich tam było. Bardziej niż kiedykolwiek czułem, że sprawy toczą się zbyt szybko.

Jestem oraczem. Osiągam cel tylko dzięki czystemu uporowi, idąc tak długo, aż dojdę, robiąc to, co mam do zrobienia. Od czasu, kiedy Jill po raz pierwszy pojawiła się na moim progu, nie miałem ani minuty wytchnienia.

Kiedy się tak spieszysz, masz nieraz za mało czasu na myślenie. Twój umysł obraca się wokół spraw pozostających poza zasięgiem wzroku i wtedy pojawiają się przeczucia. W trzy minuty po tym, jak ślad Jill skręcił na południe, doznałem właśnie czegoś takiego.

Kierowała się do Dzielnicy Snów.

Miała tę jedną, jedyną możliwość. Tego małego knypka, który wynajmował apartament naprzeciwko niej. Jeśli był tym, o kim myślałem... Ale Strażnik Agire zniknął. Nie słyszałem, żeby się znowu pojawił. Inna rzecz, że byłem zbyt zajęty, by śledzić rozwój wypadków z tej strony.

- Stawiaj na największą szansę - powiedziałem sobie i wprowadziłem poprawkę do mojego kursu, przyspieszając jednocześnie kroku. Dziesięć minut później znalazłem się u drzwi stajni Kolesia.

Właśnie miał zamykać główną bramę. Kiedy mnie zobaczył, rozjaśnił się jak wschodzące słońce. Zawsze tak jest. To jeden z tych wdzięcznych byłych klientów, na których zawsze mogę liczyć.

- Garrett! Ciekaw już byłem, co się z tobą dzieje. Gdzie się podziewałeś?
- Pracuję. Mam teraz prawdziwy rebus. Ciągłe śledzisz wszystkie skandale?
- Ostatnio nie bardzo jest co śledzić. Za dużo innych rozrywek. To u ciebie ostatniej nocy pojawił się demon?
- Tak. Stanowi część sprawy, nad którą właśnie pracuję.
- Tym razem chyba naprawdę igrasz z ogniem.
- I to tym najgorętszym. Nie wiesz nawet połowy. Kiedyś ci o tym opowiem.
- Spieszysz się?
- Jak zawsze, stary, jak zawsze.
- Jasne. Czego potrzebujesz?
- Konia, żebym mógł dogonić osobę, którą ścigam. I trochę informacji. Tylko pamiętaj, nie chcę tych twoich Błyskawic i Ognistych. Potrzebuję konia, który będzie biegł, ale nie wydziwiał.

Konie i ja nie rozumiemy się wzajemnie. Nie wiem dlaczego, ale to diabelskie plemię robi wszystko, żeby dobrać mi się do skóry. Uważają, bydlaki, że utrudnianie mi życia to najlepsza rozrywka na świecie.

- Zawsze to mówisz. Nie potrafię sobie wyobrazić faceta w twoim wieku, który boi się koni. Ale skoro się boisz, wybiorę ci kobyłę tak posłuszną i głupią, że zadowolą nawet ciebie.

Brum, bunun. Powlokłem się za nim do stajni. Po drodze zapytałem:

- Słyszałeś coś o Strażniku Agire i Relikwiach Terrella?

- Ciekawe, że właśnie ty o to pytasz. Agire pojawił się wczoraj wieczorem. Minus Relikwie.

- Ha! - A więc odgadłem mniej więcej prawidłowo. Nie miałem jednak czasu na składanie sobie gratulacji. Musiałem się ruszyć.

- Daj mi szybko tę bestię. Muszę dotrzeć do Dzielnicy Snów przed kimś, kto wyprzedził mnie już porządny kawałek drogi.

Koleś wrzucił siodło na potwora, który wcale nie wyglądał na pokornego. Nieraz zdarza mu się mieć dość szczególne poczucie humoru. Tym razem nie było czasu na żarty. Dorwałem go, kiedy zapinał popręg.

- Garrett, ja nie żartuję, ten zwierzak to kociątko.

- Taak? - Nie spodobał mi się sposób, w jaki to „kociątko” na mnie patrzyło. Jakby o mnie słyszało i postanowiło, że wystawi Kolesia do wiatru.

Mam te same problemy z kobietami i nigdy nie mogłem zrozumieć dlaczego.

- Proszę bardzo.

- Dzięki. - Złapałem konia za uzdę i zajrzałem mu w ślepią. - Słuchaj, mam robotę do zrobienia i brak mi czasu na zabawy. Chcesz sobie pożartować, pamiętaj, że ta okolica znajduje się tylko o kilka mil od fabryki kleju.

Tylko na mnie spojrział. Obszedłem go ostrożnie i wsiadłem. Chwilę potem pędziłem galopem przez ulice. Ludzie obrzucali mnie wyzwiskami. Niektórzy nawet rzucali różnymi przedmiotami. To, co robiłem, było sprzeczne z prawem, ponieważ stanowiło cholerne niebezpieczeństwo. Ale nikt nie odważył się mnie zatrzymać. Kilka razy byłem o włos od katastrofy. Koń ślizgał się i potykał na brukowanych uliczkach, i pomyślałem nawet, że obaj polecimy na pysk. W miarę, jak zbliżaliśmy się do Dzielnicy Snów, zaczynałem się czuć jak dureń. Byłem już prawie pewien, że poniosła mnie wyobraźnia i że nie znajdę kompletnie niczego.

Błąd. Były tam obie. Najpierw zauważyłem Jill, która pędziła z rozwianymi blond włosami, mijając Chattaree o jakieś trzy ulice ode mnie. Gnała w stronę kompleksu Ortodoksów. Maya była tuż za nią, gotowa i zdeterminowana, by ją dopaść. Jill obejrzała się przez ramię. Nie zauważyła mnie.

Pognałem konia w szaleńczy galop.

Za wolno, za wolno! Jill już była przy bramie. Z reguły bramy są otwarte i nikt ich nie pilnuje, ale nie dziś, nie po tych wszystkich skandalach. Jill zaczęła gadać z wartownikiem, obejrzała się na Mayę i wtedy spostrzegła mnie.

Maya dorwała Jill, kiedy ja jeszcze byłem sto metrów od nich.

Wartownicy chwycili obie kobiety, wepchnęli do środka i zamknęli bramy.

Ściągnąłem wodze. Nie mogłem zrozumieć, o co chodzi, ale z wartowni słyszałem podniesione głosy kobiet i mężczyzny. Brama, przez którą dostały się do środka, to była właściwie mała furka dla pieszych, w dodatku zamknięta. Objąłem wzrokiem stalowe pręty, bramę dla wozów, która znajdowała się obok. Wartownik zezował na mnie nerwowo. Był nieuzbrojony, ale zdeterminowany. Nie musiałem go zagadywać, żeby wiedzieć, że mnie nie wpuści, a może nawet mi nie odpowie.

Ja także nie byłem szczególnie dobrze uzbrojony. Miałem przy sobie kilka noży i moją

„łamiągówkę”, ale nic, czym mógłbym ich zaszachować, kiedy oni byli po tamtej stronie bramy, a ja po tej.

Brama dla wozów miała pośrodku może z pięć stóp wysokości.

Maya pisnęła. Trzech mężczyzn wywlekało ją z wartowni, ciągnąc w głąb terenu, w zarośla. Jill szła obok nich. Obejrzała się na mnie. Oczy miała ogromne, spojrzenie niemal błagalne.

W porządku. To mi wystarczyło.

Wycofałem konia, przejechałem na drugą stronę ulicy, ustawiłem się naprzeciw bramy i kopnąłem zwierzę do galopu. Powinno bez trudu wziąć tę bramę.

Powiedzmy oględnie: ten koń nie był najlepszym skoczkiem.

Wyhamował tuż przed bramą. Z wrzaskiem przeleciałem mu przez łeb i rąbnąłem w bramę, zjeżdżając po niej obliczem. Wewnątrz około dziesięciu chłopców ustawiło się w równy szereg. Nie mieli broni, ale gdybym spróbował wejść, pewnie komuś stałaby się krzywda. Na razie byłem wystarczająco skrzywdzony, a zwłaszcza moja duma.

Odkleiłem się od kocich łbów. Wciąż na czworakach obejrzałem się na tego cholernego konia i mówię wam, widziałem, jak się śmieje! Odniósł wielkie zwycięstwo w wojnie, jaką jego plemię prowadziło z Garrettem.

- No to sobie nagrabileś, bestio. - Dźwignąłem się na nogi i pokuśtykałem w jego stronę. Spacerkiem odszedł nieco na bok, tyle tylko, by pozostać poza moim zasięgiem.

Chłopcy za bramą wspaniale bawili się moim kosztem.

Zapomniałem ich uprzedzić, że rychło będą z tego powodu bardzo nieszczęśliwi.

Jakiś poczciwy przechodzień zlitował się nade mną i przytrzymał konia, dopóki nie udało mi się przejąć cugli. Odprowadziłem szkapiego syna z powrotem do Kolesia.

Koleś - mój stary kumpel - wziął drania w obronę.

- Garrett, każdy zwierzak ma swoje ograniczenia. Skoczek trzeba wytrenować. Nie możesz tak po prostu wsiąść na konia i kazać mu skoczyć.

- Cholera, świetnie to rozumiem. Założyłem się, zaryzykowałem. Przegrałem, i to akceptuję - aha, diabła tam - ale mam pretensję o to, że ta zaraza śmiała się ze mnie. Zrobił to celowo.

- Garrett, to naprawdę obsesja. Zawsze się skarżysz, że konie chcą ci dać w kość. Przecież to tylko głupie zwierzęta. Nie mogą nikomu dać w kość.

Widzicie, jak mało o nich wie?

- Mnie tego nie mów, tylko im. - Te źmije na pewno umiały go omamić.

- Co się stało, he? Sam byś się z tego śmiał, gdyby coś innego nie poszło źle.

Opowiedziałem mu o tym, jak Maya została uwięziona. Chciałem ją uwolnić, dlatego próbowałem przeskoczyć bramę.

- Spróbujesz jeszcze raz?

- I jeszcze jak. Natychmiast. I tym razem nie zgłosi się po nią miły, łagodny facet. Zaczynam mieć tych czcicieli zabobonów powyżej dziurek w nosie.

Uczęstował mnie spapugowanym uniesieniem jednej brwi.

- O, to dziewczyna, która znaczy dla ciebie tyle, że się wściekasz, tak? A co z Tinnie?

- Tinnie to Tinnie. Zostaw ją w spokoju. Ona nie bierze w tym udziału.

- Skoro tak mówisz... Potrzebujesz pomocy?

W jego ustach to nie były czcze słowa. Gdyby doszło do wymiany ciosów, mógłby się przydać. Miał te swoje dziewięć stóp wzrostu i dość siły, żeby nosić na rękach te jego ukochane konie.

Ale z natury nie był wojownikiem. Pozwoliłby zrobić sobie krzywdę, kierując się tym swoim

porządnym charakterem.

- Daj sobie spokój. Dość już zrobiłeś, pozwalając mi użyć tej czworonożnej zmił. Sprzedaj to cholerstwo na żarcie dla psów.

Koleś roześmiał się. Uwielbia słuchać, jak się użalam na moje stosunki z końskim rodem.

- Na pewno nie potrzebujesz pomocy?

- Nie. Rób to, co robisz najlepiej. W razie potrzeby wezmę kogoś, kto te rzeczy robi na co dzień.

- Powinienem dostać Oscara za tę scenę pożegnania. - Chcesz mi pomóc, to zajrzyj do domu i zobacz, co porabiają Dean i Truposz. Rano się z tobą skontaktuję.

Jeśli dożyję rana.

- Jasne, Garrett.

Wiedziałem, co muszę teraz zrobić. Muszę unieszczęśliwić mnóstwo ludzi. A ja będę najniezszczęśliwszy ze wszystkich, jeśli mnie złapią.

Garret 03 Zimne Miedziane lzy

XLV

Crask siedział za stołem w knajpie u Morleya i wyglądał, jakby spędził tam już bardzo, bardzo dużo czasu. Nie wyglądał na szczęśliwego. Zauważyłem go dopiero, kiedy sam byłem w połowie drogi do kontuaru. A potem było już za późno, żeby zwać.

Wezwał mnie gestem. Pohamowałem się przed ucieczką i podszedłem. Kątem oka widziałem, jak Slade mówi coś do tuby łączącej knajpę z biurem Morleya.

- Czego chcesz?

- Chodo czeka na wyniki. Niecierpliwi się. Spojrzałem na niego obojętnie.

- Coś chyba przeoczyłem. Z tego, co słyszę, dostaje wyniki z lewa i prawa. Wszyscy ludzie-szczury w mieście pracują w nadgodzinach, sprzątając trupy.

- Nie mędrkuj, Garrett. Ma wobec ciebie dług, ale to nie znaczy, że pozwoli ci robić z siebie durnia.

- Crask, z każdym twoim słowem jestem coraz bardziej w lesie. Jak mógłbym robić z niego durnia?

- Miałeś kogoś dla niego złapać. Gdzie ona jest?

Obejrzałem się przez ramię, po czym znów przeniosłem wzrok na Craska.

- Ja? Miałem kogoś dla niego złapać? Nie pamiętam, żeby taki był układ. Słyszałem, że podobno mamy połączyć siły, powiadamiać się wzajemnie o tym, co wiemy. I tak właśnie robię.

- Chodo Contague nie jest facetem, którego chciałbyś rozwścieczyć, Garrett.

Zgadza się.

- Masz rację. Nie jest. Ale nie jest też facetem, który będzie mną pomiatał. Umowę, którą zawarliśmy, należy rozumieć dosłownie. Dokładnie tak, jak zostało powiedziane. Bez ukrytych myśli. Jasne?

Crask wstał.

- Powiem mu to. Nie sądzę, żeby był zadowolony.

- Jak dla mnie, nie musi być zadowolony. Jeśli o to chodzi, wywiążuję się ze swojej części układu.

Posłał mi ponure spojrzenie. Wiem, o czym myślał. Pewnego dnia wyskubie mi paznokcie u nóg jeden po drugim.

- Jeszcze jedno. Wszędzie, gdziekolwiek się obrócę, ludzie myślą, że pracuję dla Chodo. Bzdura. Pracuję dla Garretta. Jeśli ktoś rozpuszcza ploty, że jestem na liście płac kacyka, każ mu przestać. Nie pracuję dla niego i nigdy nie będę.

Prychnął i wymaszerował na zewnątrz. Był to największy pokaz emocji, jaki zdarzyło mi się u niego zaobserwować.

Skierowałem się do baru. Ręce mi się trzęsły. Ten cholerny Crask naprawdę mnie przestraszył. Reaguję na niego jak na żywioł, jak na kwintesencję groźby i zła.

- Morley powiedział, żebyś natychmiast wchodził - oznajmił Slade.

Poszedłem. Morley nie był sam, ale i on, i jego gość, byli ubrani, a to było już więcej, niż mogłem wymagać. Była to ta sama kobieta, którą już kiedyś widziałem. Rekordzistka. Przedtem nigdy nie spotkałem go dwa razy z tą samą. Może się ustatkował?

- Wpadłeś na Craska?

- Coś w tym guście. Chodź chciałby mną poorać. Próbuje mnie zwerbować tylnymi drzwiami.

Crask jest wściekły, bo nie chcę współpracować.

- Słyszałem, że miałaś wczoraj w domu trochę nadprogramowej rozrywki.

- Trochę. Truposz się tym zajął.

- Przypomnij mi, żebym go nigdy nie rozgniewał. Co się dzieje?

- Potrzebuję kogoś, kto by mnie ubezpieczał w czasie wypadu. Muszę tylko włamać się i wejść.

Cel nie jest łatwy. Jeśli damy się złapać, gospodarze nie będą wyrozumiali.

- Taka śmierdząca sprawa? - Przekrzywił głowę.

- Jak dojrzały wrzód. Jedno niewłaściwe słowo w niewłaściwym miejscu i kupa ludzi zginie.

- W porządku. Znam takiego człowieka. Poczekaj na dole. Sam cię do niego zaprowadzę.

Dobrze. Ma jakiś pomysł. Kobieta nie musi wiedzieć więcej niż to, co do tej pory usłyszała.

Choć to ja miałem reżyserować całe przedstawienie, musiałem być ostrożny. Morley chętnie zgłosił się na ochotnika. Kiedy się dowie, co zamierzam zrobić, naprawdę się zdenerwuje. Gdyby to on miał zrobić taki przekręt, pozbyłby się swojej obstawy natychmiast po skoku, żeby się upewnić, że go z tą sprawą nie skojarzą nawet po dwudziestu latach. Wprawdzie próbuje mnie zrozumieć, ale chyba nigdy nie jest do końca pewien, że w głębi duszy nie myślę tak jak on. Może stać się na tyle nerwowy, że zaczną się problemy.

Zszedł na dół, kiedy sączyłem brandy nalaną mi przez Slade'a. Slade był jedynym pracownikiem Morleya, który nie oddał się całkowicie ideologii wegetarianizmu. Zawsze miał gdzieś schowane coś prawdziwego, a Morley udawał, że tego nie czuje.

- Idziemy na spacer. Za dużo tu uszu. Wyszliśmy. Zanim zapytał, sam mu powiedziałem:

- Idę do Chattaree. Chcę się włamać do biura Peridonta. Morley stęknął. Był pod wrażeniem.

- Masz jakiś solidny powód?

- Ktoś znowu porwał Mayę. Żeby odważyć się na jej uwolnienie, muszę coś ukraść z biura Peridonta.

Oczywiście, o ile Kościół już sobie wszystkiego nie przywłaszczył, teraz, kiedy Wielki Inkwizytor udał się już po zasłużoną, gwarantowaną nagrodę. Jakoś nie mogę sobie wyobrazić, żeby ten typ Sampson przynajmniej nie spróbował się tam wprowadzić.

Przeszliśmy jakieś pięćdziesiąt metrów, zanim Morley się odezwał:

- Powiedz mi wprost. Tylko nie mieszaj w to emocji. Można to zrobić?

- Byłem tam kiedyś. Nie ma żadnych straży wewnątrz. Oni po prostu niczego się nie spodziewają. Nie widzą najmniejszego powodu, żeby się czegoś bać. Nie mam obaw, że mi się nie uda. - Ale ze mnie łgarz! - Boję się, że nie dam rady zrobić tego tak, by nikt nie wiedział, że to ja. Wolałbym, aby Kościół nie siedział - mi na karku przez resztę moich dni.

- Coś knujesz.

- Mówiłem ci.

- Nie. Znam cię, Garrett. Ty nie tylko chcesz coś ukraść. Będziesz starał się, żeby to wyglądało jak coś, czym nie jest.

Gdybym nawet chciał, nie mógłbym zaprzeczyć. Nie mogłem też przytaknąć. Miałem kilka pomysłów. Może się uda, może nie. Jeśli brać pod uwagę mojego życiowego pecha, to się nie uda. Morley nie musi wiedzieć, co to za pomysły.

- Za bardzo kryjesz swoje karty, Garrett. Jaki jest ten drugi cel? Potrząsnąłem głową, czego nie mógł widzieć w ciemności, więc dodałem:

- Nie będziemy się tym martwić, dopóki nie zajmiemy się tym pierwszym. Jeśli nie dostanę z

biura Peridonta tego, co mi jest potrzebne, drugiego ruchu i tak nie dam rady zrobić.

- Za bardzo się kryjesz, Garrett

- A czy ty powiedziałeś mi wszystko wtedy, gdy poszliśmy na wampiry?

- To było co innego.

- Jasne, że tak. Poruszałeś mną jak pionkiem, nawet mi nie mówiąc, co robisz. Wchodzisz w to czy nie?

- Dlaczego nie? Ty sam jesteś dość nudny, ale wokół ciebie rozgrywa się mnóstwo ciekawych rzeczy. A ja nigdy jeszcze nie byłem wewnątrz Chattaree. Podobno jest wspaniała.

Nigdy jej nie widział, ponieważ jego gatunek znajdował się poza religią. Zgodnie z doktryną Kościoła nie miał duszy, mimo że w jego żyłach płynęła ludzka krew. Nie był to mądry punkt w świecie, gdzie nie-ludzkie rasy stanowiły połowę rozumnej ludności. A tu, w TunFaire, Kościół raczej milczał na ten temat. Zbyt wielu było tu takich, którzy się szybko obrażają.

- Taak - mruknął Morley, który chyba właśnie o tym myślał. - Chyba zajrzę sobie do Chattaree na kilka minut.

- Może nie będziemy sobie skakać do oczu choć przez jakiś czas, co?

- Jasne. - Ruszyliśmy w stronę Dzielnicy Snów. Nagle Morley zapytał:

- Wzięła cię ta mała, Maya, co?

- To miłe dziecko. Wpakowała się w kłopoty, bo próbowała się za mną włóczyć. Jestem jej to winien.

- Dobra, dobra.

Spojrzałem na niego. Szczrzył zęby jak stare grabie.

- Morley, to tylko znajomy dzieciak. Rozumiesz?

Cały problem z Morleyem polegał na tym, że on nie rozumiał.

Garret 03 Zimne Miedziane lzy

XLVI

Miałem ostatnio takie urwanie głowy, że pogoda, pomimo wysiłków, jakoś nie zdołała przyciągnąć mojej uwagi. Dopiero teraz miała ku temu okazję, kiedy siedziałem w głębokim cieniu naprzeciw Chattaree i obserwowałem, usiłując wejść w odpowiedni nastrój.

- Cholernie zimno - mruknąłem.

Morley spojrział w górę. Było zbyt ciemno, żeby stwierdzić cokolwiek, poza tym, że gwiazdy zostały dziś w domu.

- Może będzie śnieg.

- Tylko tego nam brakowało.

Kiedy przyszliśmy, w Chattaree właśnie coś zaczynało się dziać. Jakieś święto, ale nie mogłem sobie przypomnieć jakie. Morley też nie wiedział. On nie zajmuje się ludzkimi przesadami.

- Myślisz, że czekamy już wystarczająco długo? - Daliśmy im godzinkę, żeby się usadowili w środku.

- Jeszcze chwila. - Przygoda przestała mu się chyba podobać. Pewnie właśnie usiłuje sobie przypomnieć, komu niedawno zdarzyło się zrobić skok na świątynię. Ja osobiście nigdy o kimś takim nie słyszałem. Tutejsi ludzie są chyba bez jaj. Morley przypuszczał raczej, że zabezpieczenia są wystarczające, aby o tych, którzy próbowali, zaginał wszelki słuch...

- Facet, który spacerkiem wchodzi do gniazda wampirów, nie powinien mieć większych problemów.

Prychnął tylko.

- To była sprawa życia i śmierci.

Odczekaliśmy jeszcze kwadrans. Morley gapił się na Chattaree z koncentracją bliską obsesji. Ciekaw byłem, czy jest kobra, czy raczej mangustą. W nocy widzi znacznie lepiej ode mnie, więc jeśli będzie coś do zobaczenia, ujrzy to na pewno.

- Opowiedz mi wszystko jeszcze raz - poprosił. Opowiedziałem.

- No to do roboty - rzekł.

Moment był dobry, bo w pobliżu nie było nikogo. Za to mnie jakby przeszła ochota. Ale się zmusiłem.

Zanim dotarliśmy do drzwi świątyni, dyszałem jak karp wyjęty z wody. Morley obejrzał się na mnie i smutno pokręcił głową. Uniósł brew, co zresztą ledwie było widać w bladym świetle padającym z wnętrza świątyni. Gotów? Skinąłem głową.

Przeszedł przez bramę. Schyliłem się, żeby mnie nie było widać.

- Hej, a ty dokąd?

Wyjrzałem. Morley przebiegł obok strażnika, który tym razem nie spał. Ciekaw byłem, czy to się często zdarza. Morley obrócił się i spojrział na faceta, który mierzył wszerez tyle co mój kumpel wzdłuż.

Teraz ja wkroczyłem do akcji: oburącz zawiąłem pałą i strzeliłem go za ucho. Padł jak betka.

Odetchnąłem z ulgą.

- Myślałem, że nie dam rady go rozłożyć.

- Też się bałem, kiedy widziałem, jak się zamachnąłeś.

- Wynieśmy go.

Za pomocą dostępnych narzędzi związaliśmy go i zakneblowaliśmy, układając w budce tak, żeby nie był zbyt widoczny. Miałem nadzieję, że przechodnie przypiszą jego nieobecność przemożnemu zewowi natury.

Teraz ja prowadziłem. Dobrze wybraliśmy porę, bo cała buda była opustoszała, jeśli nie liczyć księdza drzemącego pod głównym ołtarzem. Nie obudzimy go, jeśli będziemy szli cicho i trzymali się cienia. Morley robił mniej hałasu niż karaluch drepzczący na paluszkach. Odszukałem schody prowadzące do katakumb.

- Mamy problem - mruknąłem w połowie drogi. Schody były ciemne jak grób. Nie wzięliśmy ze sobą żadnego światła. Nie byłem pewien, czy po omacku uda nam się przejść przez labirynt.

- Pójdę i zwinę świecę - mruknął Morley.

Jeśli chce, potrafi zachowywać się jak duch. Poszedł wprost do głównego ołtarza i poczęstował się wotywną świecą. Dyżurujący księżulo nawet nie wypadł z rytmu chrapania.

Morley wrócił z radosnym uśmiechem. Lubi się popisywać. Nie musiał wyciągać tej świecy wprost z paszczy lwa.

Zeszliśmy do katakumb. Wydawały się jeszcze ciaśniejsze niż za moją pierwszą wizytą. Krasnoludek czułby się tu jak w domu, ale my, ludzie, nie jesteśmy stworzeni do życia w krecich norach. Padłem ofiarą ciężkiego ataku ciarek na grzbiecie.

Morley też. Nie miał już nic więcej do powiedzenia, tylko włókł się za mną bez słowa, tak czujny, że można to było wyczuć węchem.

Pamięć mnie nie zawodziła. Tylko raz skręciłem nie tak, jak trzeba, i zaraz się poprawiłem. Dotarłem wprost do drzwi Peridonta.

- To upiorne miejsce - szepnął Morley.

- Też tak uważam. - Wokół było cicho jak w grobie. Czułbym się o wiele lepiej, gdyby jakiś facet, wyjąc, zagroził nam drogę. Myślenie jeszcze potęgowało uczucie strachu.

Drzwi były zamknięte, a zamek miał ze sto lat. Potrzebowałem pół minuty, żeby go otworzyć. Weszliśmy do środka.

Pokój wcale się nie zmienił, choć na wielkim stole było teraz znacznie więcej śmieci.

- Zapal parę lamp - poleciłem.

- Załatw to szybko - zaproponował.

- To nie zajmie dużo czasu - odparłem. Podeszedłem do szafki, z której Peridont wyjmował uprzednio fiołki. Morley zapalił kilka lamp i usadowił się obok drzwi.

Szafka nie była zamknięta. Nieraz dziwię się ludziom. Mam na myśli to, że rzeczy zgromadzone w tej szafce były tak niebezpieczne, jak tylko można to sobie wyobrazić, ale dostępne, jakby czekały, żeby je wziąć. Jeśli nawet myślisz, że nikt cię nie okradnie, to i tak nie zaszkodziłoby się zabezpieczyć.

Poświeciłem sobie świecą wotywną. Zobaczyłem fiołki czerwone, zielone i niebieskie (czerwona była tylko jedna), cytrynowe, pomarańczowe, bursztynowe, barwy indygo, turkusowe, zielonkawe, nawet przezroczyste. Jedna wyglądała, jakby zawierała srebrny pył.

Ciągnęło mnie, żeby zgarnąć wszystkie, całą fortunę pożytecznych trików. Nie miałem jednak pojęcia, co się stanie, jeśli użyję nieznannej butelki. Jeśli masz do czynienia z czarami, nie możesz bawić się w zgadywanki. O ile chcesz pozostać w dobrym zdrowiu.

Nie krępowałem się, zagarnąłem wszystkie zielone i niebieskie fiołki. Nad czerwoną zawahałem się, ale zaraz sobie przypominałem, jak bardzo przydała mi się u Chodo. Mogę w końcu znowu natknąć się na tę małpę. Schowałem buteleczkę, lecz z całym szacunkiem, owijając ją watą, którą

znalazłem na dolnej półce.

- Co ty tam robisz? - zapytał Morley.

Spojrzałem mu w oczy i wyczytałem z nich, że ma cholernie dobry pomysł. Chętnie położyłby łapę na tych fiolkach.

- Wkładam sobie asy do rękawa. Nie wiem, co potrafią te inne, więc ich nie biorę.

- Skończyłeś? Wiejemy, póki nam szczęście sprzyja.

Miał rację. Sprawdziłem szafkę, zamknąłem. Na oko nie była uszkodzona. Niech ci durnie się zastanawiają, po co ktoś załatwił strażnika.

- Gotowe. Spadamy.

- Szlag! - Morley pokazał kciukiem na drzwi.

Pozostawił je uchylone, żeby było słycać, gdyby ktoś nadchodził. Nic nie usłyszałem, ale to nie miało znaczenia. Ktoś się zbliżał. Przez szparę widać było pełgające światełka.

Skoczyłem, pogasiłem lampy, zdmuchnąłem świecę i wlałem pod stół. Drzwi uchylły się do wewnątrz.

To był ten upiorny Sampson. Uniósł lampę i rozejrzał się dokoła. Morley rozpląszczył się za drzwiami, gotów go przebić nożem, gdyby zechciał wejść do środka. Sampson pociągnął nosem, zmarszczył czoło, ale wzruszył ramionami i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

W ciemności dotarłem do drzwi i przyłożyłem do nich ucho, ale nic nie usłyszałem. Światło przesączające się ze szpary nad podłogą bladło, widocznie Sampson się oddalał. Zamknął drzwi, ale ich nie zaryglował. Ciekawe, że nie był zaskoczony, kiedy je znalazł otwarte.

Uchyliłem drzwi powoli, żeby nie skrzypnęły, przyłożyłem oko do szpary. Sampson był o dwadzieścia stóp ode mnie, odwrócony tyłem, i zbliżał się do zakrętu. Podrapał się w głowę, jak ktoś, kto czuje, że coś jest nie tak, ale nie potrafi powiedzieć co. Może wpaść na to w każdej chwili.

- Gotów? - szepnąłem do Morleya. Nie odpowiedział.

Sampson jeszcze raz wzruszył ramionami i zniknął mi z oczu.

- Chodź. Wynosimy się, póki czas. - Miałem nadzieję, że dam radę bez światła. Nie miałem jak zapalić świecy.

Morley znowu nie odpowiedział. Usłyszałem cichutki szmer, jak łopot skrzydełka wróżki. Nie pochodził z miejsca, gdzie znajdował się Morley, choć w ciemności nieraz inaczej słyszy się odgłosy.

Odezwałem się nieco głośniejsz:

- Idziemy! Poczul, że coś tu jest nie tak. Jeszcze tylko nie zdaje sobie z tego sprawy.

- Jasne. - Wiec jednak tam był.

Otwarłem drzwi, wysunąłem się na zewnątrz, wyciągnąłem rękę, żeby dotknąć ściany, i ruszyłem powoli.

- Trzymasz się mnie?

- Tak.

- Zamknij dobrze drzwi.

- Już to zrobiłem.

Ten Sampson to jakiś cholerny lunatyk czy co, bo mieliśmy kupę szczęścia, że nie natknęliśmy się na niego. Zanim dotarliśmy na górę, o mały włos nie wpadliśmy mu na plecy raz czy dwa prawie się zgubiliśmy, bo musieliśmy zmieniać trasę, żeby przed nim wiać.

Mimo to udało nam się wyjść z katakumb, udało nam się także wyjść na zewnątrz, i to bez żadnych incydentów. Problem pojawił się dopiero przy wartowni.

Czterech chłopca skoczyło mi na grzbiet. Znaleźli strażnika i zastawili pułapkę. Piąty, w środku,

dzwonił na alarm.

Wywinąłem się z centrum walki. Morleya do tej pory nie zauważyli, bo został z tyłu, podziwiając łakomym okiem skarby na ołtarzu. Prawdopodobnie obliczał sobie, ile też zamieszania spowodowałoby zwinięcie kilku z nich. Strzeliłem faceta w dziób, stojąc na razie plecami do ściany. Napastnicy byli żądni krwi. Pomyślałem, że już po mnie. Zajęli mnie trochę za mocno, żebym miał czas szukać czegokolwiek po kieszeniach.

Morley po prostu podszedł, wyskoczył w powietrze i dosłownie wkopał gościowi ucho w mózg. Drugiemu rozdarł gardło gołą dłonią. Dokończyłem go pałką. Tymczasem ten, który został, i facet od alarmu doznali ciężkiego wytrzeszczu ślepiów. Jeden próbował uciec. Morley położył go kopniakiem w krocze. Ja załatwiłem drugiego.

- Wynosimy się! - W głębi świątyni słychać było hałasy różnego pochodzenia. Bogowie tylko wiedzą, co lub kto żyje w tych pokrętnych korytarzach pod główną nawą. Po odgłosach można by sądzić, że za minutę będziemy mieć na łbie setkę chłopa.

- Jeszcze nie skończyliśmy. - Morley wskazał palcem na trzech napastników, którzy wciąż żyli. - Mogą nas rozpoznać.

Miał rację. Będą wiedzieli, jakich gęb szukać, a Kościół znany jest z pamiętliwości. Psiakrew, przecież do dziś chcą się odgryzać za sprawy, które miały miejsce tysiąc lat temu.

- Nie mogę.

- Nigdy się nie nauczysz.

Za pomocą noża cienkiego jak igła uciszył w okamgnieniu trzy serca.

Widziałem wielu zabitych ludzi. Sam też musiałem paru wykończyć. Nigdy tego nie lubiłem i nigdy się nie przyzwyczailem. Omal się nie porzygałem, ale nie przestałem myśleć. Wyjąłem monetę, którą zabrałem z mieszkania Jill, i wsunąłem pod jedno z ciał. Kiedy Morley już mnie minął, rozbiłem w przejściu dwie niebieskie fiołki, w nadziei że ich zawartość powstrzyma pogoń.

Gnaliśmy jak sto diabłów aż do następnej ulicy, gdzie ukryliśmy się w cieniu.

- A teraz co? - zapytał Morley.

- A teraz ruszamy ku prawdziwemu celowi.

Garret 03 Zimne Miedziane lzy

XLVII

Z Chattaree wylała się gromada mężczyzn z latarniami. Wyglądało, jakby wyciągnęli z betów każdego żywego klechę.

- Lepiej wiejmy - mruknął Morley. - Masz plan?
- Powiedziałem ci już.
- Chcesz uwolnić kobiety? To jest twój plan?
- Właśnie tak.

Byliśmy naprzeciwko bramy, przez którą Maya i Jill zostały wepchnięte na teren Ortodoksów. Grupa duchownych z Kościoła ruszyła w naszą stronę. Rzuciłem się na drugą stronę ulicy. Morley deptał mi po piętach.

- Nawet jeśli nas widzieli, tu chyba za nami nie wejdą - szepnąłem.

- Kurde. Ale z ciebie pieprzony geniusz. Przeskoczyłem przez bramę dla wozów. Morley za mną.

Miał trudności, bo jest mniejszy. Ledwie wylądowałem, a z wartowni przy bramie wyskoczyło kilku chłopców. Nie byli uzbrojeni, ale szukali zwady. Jeden dostał, czego szukał, to znaczy po łbie. Drugi skoczył do alarmu, ale Morley przysiadł mu na plecy.

Zaledwie wepchnęliśmy ich do środka, kiedy pojawiła się gromada klechów z Kościoła. Wyszedłem na zewnątrz.

- Co się dzieje?

- Złodzieje. Mordercy. Napadli na świątynię. - Wszyscy byli w zakonnych szmatach. Ja, jako pracownik Ortodoksów, nie powinienem mieć kłopotów z określeniem, z jakiej świątyni pochodzą. - Widzieliście tu kogo?

- Nie, ale słyszałem, jak ktoś przebiegał minutę temu. Leciał jak głupi. Dlatego wyszedłem.

- Dzięki, bracie. - Gang pognał dalej.

- Dobrze myślisz, Garrett - pochwalił mnie Morley, kiedy wróciłem do środka. Nie szukałem strażników. Morley bardzo się starał, żeby zawsze mieć kryty tyłek. Biedni chłopcy, nie mieli już szansy się obudzić, uwolnić i narobić rwetusu.

- Byłeś tu kiedy? Wiesz, dokąd iść?

- Raz, jeszcze jako gówniarz. Kiedyś pozwalali się tu kręcić.

- Jesteś genialny. Czy ty kiedykolwiek miałeś jakiś plan?

W tych okolicznościach trudno było się z nim sprzeczać, więc nie marnowałem śliny.

- W każdej chwili możesz się wycofać.

- Nie przepuściłbym tego. W drogę.

Niepotrzebne ryzyko nie jest cechą Morleya Dotesa. Nie zrobiłby tego, gdyby nie miał jakichś planów w zanadru.

Nie mój cyrk, nie moje małpy. Gdyby ktoś na przykład obrabował to miejsce lub świątynię, miałbym pewne podejrzenia, ale nie byłbym z tego powodu załamany. Gdybym zasugerował, że Morley maczał w tym palce, on tylko spojrzałby na mnie tępo i ze zdumieniem.

Za pierwszym rzędem drzew znaleźliśmy cały kompleks budynków. Największym była bazylika Ortodoksów w TunFaire.

Była równie wielka jak Chattaree, ale nie miała nazwy, z wyjątkiem standardowego wezwania Wszystkich Świętych. Wraz z Morleyem schowaliśmy się w jakichś chaszczach, wymieniając wszystkie informacje, jakie mieliśmy na temat tego kompleksu. Nie było tego wiele. Byliśmy w stanie zidentyfikować tylko trzy z siedmiu budynków, to znaczy samą bazylikę i dwie budowle, służące za mieszkanie mnichom i zakonnicom. Zналиśmy je dobrze, ponieważ często grały pierwszoplanowe role w skandalach.

- Czy mi się zdaje, czy powinien tu być jeszcze sierociniec i seminarium? - zapytał Morley.

- Aha, chyba masz rację. - To byłyby kolejne dwa budynki... tylko które?

- Logika podpowiada jeszcze coś z kuchniami i urządzeniami do karmienia tych wszystkich ludzi.

- Chyba że w każdym jest oddzielna kuchnia.

- Aha.

- Jak ci się to podoba? Łapiesz parkę kobiet i upychasz je w klasztorze?

- Może być. No, chyba że mają ciemnice albo coś w tym rodzaju.

- Niby tak, ale jakoś nigdy nie słyszałem o czymś takim. Nie miałem pomysłu, co robić, jeśli nie liczyć przeszukania kompleksu, budynek po budynku. Tej części nie zdążyłem sobie przemyśleć. Jak powiada Morley, najpierw skaczę, a później się zastanawiam.

- Hej.

Ktoś nadchodził, skradając się w cieniu. Było zbyt ciemno, żeby powiedzieć cokolwiek, ale kiedy się zbliżył, rozpoznaliśmy, że to mnich.

- Idziemy za nim - zaproponował Morley. Taki sam dobry pomysł jak każdy inny.

Pozwoliłem mu prowadzić, ponieważ lepiej widzi w ciemnościach i chodzi o wiele ciszej. Po chwili wyciągnął dłoń w tył i zatrzymał mnie.

- Rozgląda się, żeby sprawdzić, czy nikt go nie widzi.

Zamarłem. Morley pociągnął mnie za rękaw. Przeszliśmy może z dziesięć kroków, kiedy Morley zatrzymał mnie znowu i pociągnął w krzaki.

Mężczyzna wszedł na kilka stopni wiodących do bocznych drzwi budynku, który zidentyfikowaliśmy jako klasztor - to wyjaśniało, dlaczego się skradał.

Wystukał jakiś kod. Drzwi otwarły się. Uściskał kogoś, po czym wsunął się do środka. Drzwi zatrasnęły się znowu.

- Myślisz, że nam też się uda? - zapytał Morley.

- Jeśli ktoś będzie na nas czekał.

- Sprawdźmy te drzwi.

Wystarczyła sekunda, żeby stwierdzić, że są zamknięte od środka. Następne kilka minut wystarczyło, żeby stwierdzić, iż wszystkie cztery wejścia do budynku są zamknięte. Okna parteru były zabezpieczone stalowymi kratami.

- Widzisz, co się dzieje, kiedy ładujesz się łbem naprzód bez pomysłu? - warknął Morley. - Nie mamy potrzebnego sprzętu.

Nie sprzeczałem się z nim. Zawróciłem do tych jednych bocznych drzwi i wystukałem ten sam kod co poprzedni gość. Nic się nie stało. Odbyliśmy z Morleyem krótką dyskusję na temat mojej skłonności do bezmyślnego działania. Nie bronilem się zbyt. Kiedy Morley był już na tyle wściekły, że mógł iść dalej, jeszcze raz zastukałem do drzwi.

Ku mojemu zdziwieniu, tym razem się otwarły.

Rozdziawiliśmy gęby.

- Przyszliście wcześniej - powiedziała kobieta i, kiedy stwierdziła, że nie jesteśmy tymi, na których czekała, wrzasnęła. Skoczyliśmy do przodu i jakoś udało nam się ją uspokoić. Zaciągnęliśmy

ją do małego korytarzyka za drzwiami, mniej więcej sześć stóp na cztery, oświetlonego tylko jedną świecą w malutkim lichtarzu. Morley zatrzasnęła za nami drzwi. Pozwoliłem mu przejąć babę, a sam pognałem do końca korytarza i rozejrzałem się, ale nic nie zobaczyłem.

- Załatwmy to szybko. - Obróciłem się. Morley stęknął tylko.

- Przybyły tu dziś dwie kobiety - zwróciłem się do zakonnicy. - Blondynka, po dwudziestce, i brunetka, osiemnaście lat. Obie ładne. Gdzie one są?

Nie przejawiała chęci do współpracy. Morley przyłożył jej nóż do gardła.

- Chcemy wiedzieć. Nie boimy się grzechu morderstwa. Teraz też nie mogła odpowiedzieć, bo za bardzo się bała.

- Bądź grzeczna i wszystko będzie w porządku. Nie chcemy nikogo skrzywdzić, ale jeśli będziemy musieli, to dla nas nie problem. Znasz te kobiety?

Morley połaskotał ją w szyję. Skinęła głową.

- Wiesz, gdzie są? - pytałem dalej. Kolejne skinięcie.

- Dobrze. Zaprowadzisz nas tam.

- Mimphl murkle mibble - zabrzmiało spod dłoni Morleya.

- Niech mówi - poleciałem. - Jeśli będzie się drzeć, poderżnij jej gardziolko.

Byliśmy chyba dość przekonujący, bo Morley zrobiłby to naprawdę.

- Blondynkę wsadzili do domu gościnnego - powiedziała mniszka. - Tę drugą do piwnicy z winem pod jadalnią. To było jedyne miejsce, gdzie mogli ją zamknąć.

- Doskonale - odparłem.

- Cudnie - zgodził się Morley. - Radzisz sobie świetnie. A teraz nas tam zaprowadzisz. Która najpierw?

- Brunetka.

- No to już. Do piwnicy.

Ktoś zastukał do drzwi, bardzo delikatnie zresztą.

- Jak długo trzeba czekać, zanim zrezygnuje? - zapytał szeptem Morley.

Wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Nigdy przedtem nie zdarzyło się, żebym nie otworzyła.

- Zwlekłaś kiedy?

- Nie.

- Pójdziemy drugimi drzwiami - podsunąłem. - W którym budynku jest ta jadalnia?

Mniszka była teraz dość spokojna, a nawet usługowa. Wyjaśniła.

- Idziemy, po cichutku - poleciał Morley.

- Nie chcę umierać. Dlaczego to robicie? Świeci Ojcowie nie będą tego tolerować. Będą polować tak długo, aż was złapią.

- Świeci Ojcowie nie będą mieli czasu. Zbliżamy się do Godziny Zniszczenia. Weszliśmy w Czas Niszczyciela. Heretycy zostaną pożarci. - Nie włożyłem w tę deklarację zbyt wiele uczucia, bo brzmiała tak głupio, iż mogłem tylko mieć nadzieję na to, że mniszka jest dość przerażona, by się nie połapać. - Prowadź.

Zatkało ją. Morley troszkę jej dopomógł.

- Znajdziemy te kobiety - oznajmiłem. - Z tobą lub bez ciebie. Masz tylko jedną szansę, żeby obejrzeć wschód słońca. Ruszaj.

Ruszyła.

Przeszliśmy przez kolejne drzwi. Jadalnia okazała się jednopiętrowym budynkiem pomiędzy kwaterami mnichów i mniszek na zapleczu głównej świątyni. Seminarium, zajęte przez kolejną

grupkę ludzi, znajdowało się tuż za jadalnią. Maksymalna wygoda. Zapytałem o inne budynki w kompleksie. Odpowiedziała, że to stajnie i magazyny. Dom gościnny, sierociniec i kilka innych budynków, jak domy dla kilku Świętych Ojców (czterech z tuzina w Karencie mieszkało w TunFaire), rozrzucone były w połowicznym odosobnieniu po całym terenie. Faktycznie, Kościół musiał być nieźle wkurzony, mając za całą kwaterę jeden ogromny budynek, podczas gdy Ortodoksi rozporządzali potężnym majątkiem ziemskim. Ale tak już musi być, kiedy się jest numerem drugim.

Bez większych problemów dotarliśmy do jadalni. Nie była zamknięta na klucz. Morley mamrotał, że zbyt wolno idziemy, że prędzej czy później strażę przy bramie się zmienią i zabrzmie alarm.

Próbowałem popędzić mniszkę.

Garret 03 Zimne Miedziane lzy

XLVIII

Mniszka wydawała się trochę za stara na nielegalne wyprawy. Była chyba jakieś piętnaście lat starsza ode mnie. Ale cóż, wielka gra nas nigdy nie meczy.

- Będzie tu strażnik - szepnął Morley. - Pójdę pierwszy. Nie spierałem się. W te klocki był o wiele lepszy ode mnie.

- Nie zabijaj go, jeśli nie musisz.

- Jasne. - Zbiegł po schodach, jak duch. Nie minęła minuta, kiedy zawołał:

- Droga wolna!

Popchnąłem mniszkę przed sobą. Morley czekał na dole.

- Przypilnuję jej. Idź po dziewczynę.

Bardzo troskliwy kumpel.

Strażnik zwisał ze stołka naprzeciwko masywnych dębowych drzwi, obitych żelazem i zawieszonych na ogromnych zawiasach. Zamknięcie składało się z żelaznego skobla, przez który przetknięto drewniany kołek. Dość skuteczne, choć nieeleganckie.

Dotknąłem krtani strażnika. Puls był nierówny, ale go wyczuwałem. Greczny Morley. Otwarłem drzwi, ale zobaczyłem tylko ciemność. Poświeciłem sobie lampą strażnika.

Maya leżała w kącie, zwinięta w kłębek na stercie jutowych worków. Była bardzo brudna i mocno spała. Kurz na jej twarzy był rozmazany przez lzy. Opadłem na kolana, przykryłem jej usta dłonią i lekko potrząsałem.

- Wstawaj.

Zerwała się, omal nie wyszarpując mi się z uścisku.

- Ani słowa, dopóki nie wrócimy do domu. Zwłaszcza żadnych nazwisk, jasne?

Skinęła głową.

- Obiecujesz? Kolejne skinięcie.

- Dobra. Wychodzimy. Zabieramy Jill, a potem wiejemy jak diabli. Nie chcę, żeby ci ludzie wiedzieli, kim jesteśmy.

- Rozumiem, Garrett. Nie wbijaj mi tego młotkiem do głowy.

- Pomyślałaś o tym, że może ktoś właśnie cię usłyszał? Może ktoś, kogo zmusiliśmy, żeby nas tu przyprowadził, a teraz będziemy musieli go zabić, żeby nas nie wydał?

Pobladła lekko. Doskonale.

- Idziemy.

Wyszedłem i skinąłem na Morleya.

- Mam ją. Pilnuj, a ja ukryję strażnika. Mniszka wyglądała, jakby nic nie usłyszała. Wciągnąłem strażnika do środka, wyszedłem i wsunąłem kołek na miejsce.

- A teraz do domu gościnnego - poleciałem mniszce. Poszła przodem. Maya trzymała buzię na kłódkę. Chyba dotarło do niej, jaka jest stawka w tej grze.

Na drugim piętrze domu gościnnego płonęły światła. Był to przytulny, dwupiętrowy budynek z piaskowca, mieszczący około ośmiu pokoi. Morley sprawdził, czy nie ma straży, ja pilnowałem kobiet

- Jeszcze tylko kilka minut - obiecałem mniszce. Dygotała ze strachu, przekonana, że jej dni są policzone. Przez cały czas karmiłem ją nihilistyczną dialektyką, dosłownie rysując przed jej nosem strzałki wiodące do Synów Hammona. Nie pozwolę Morleyowi zrobić tego, co by chciał zrobić wtedy, kiedy stanie się już dla nas bezużyteczna. Muszę mieć jednego żywego świadka. Chcę, żeby Ojcowie Ortodoksi toczyli pianę na usta, myśląc o Synach Hammona.

Był tylko jeden problem, który w pewnym sensie usprawiedliwiałby argumenty Morleya. Mniszka miała diabelnie dużo czasu, żeby dobrze się nam przyjrzeć.

Maya podchwyciła grę. Robiła to cholernie dobrze, udając, jaka jest przerażona. Cały czas opowiadała, jak miała do czynienia z Synami Hammona.

Wiedziała tyle samo co ja. Mogła improwizować na całego.

Wrócił Morley.

- Straże z tyłu i od frontu. Po jednym przy każdych drzwiach.

- Jakież problemy?

- Już nie. Nie byli zbyt czujni. Stęknąłem.

- Idziemy. - Po chwili dodałem pod adresem kobiet: - Siostró, jeszcze tylko kilka minut i będziesz wolna.

Przeszliśmy już około pięćdziesięciu stóp w stronę domu, kiedy nagle Morley mruknął:

- Już jest.

Miał na myśli alarm, którego się spodziewaliśmy. Zadzwończy dzwony, rozryczały się rogi. Przez niebo przemykały światła sygnałowe i kule ognia.

- Ależ się denerwują, nie? - Złapałem mniszkę za habit, żeby się upewnić, że przypadkiem się od nas nie odłączy.

Przekroczyliśmy ciało strażnika. Drzwi, których pilnował, były zamknięte, ale górną ich część stanowił witraż, przedstawiający Terrella w aureoli. Rozbiłem go i podniosłem zasuwę. Weszliśmy do środka.

- Uśpij ją - poleciłem Morleyowi, który natychmiast przyłożył mniszce w tył głowy. Chyba zrozumiał, o co mi chodzi.

Ktoś z dołu wykrzyczał jakieś pytanie. Mężczyzna. Ruszyłem na górę, Morley za mną. Maya osłaniała tyły, uzbrojona w nóż, który zabrała strażnikowi zaraz po upadku mniszki.

Zamieszanie na zewnątrz nabrało tempa.

Schody skręcały pod kątem prostym na piętro, dwanaście stóp nad naszymi głowami. Nagle natknąłem się na faceta w koszuli nocnej. Wydał z siebie jakiś odgłos, brzmiący trochę jak „Gork!”.

- Nie ze mną, brachu. - To był ten facet, którego widziałem w tym gadanym domu publicznym. Złapałem go za kołnierz, zanim zdążył zwiać. Zmięczyłem gościa pałą, a potem postawiłem przed Morleyem.

- Mała premia.

Morley złapał go, a ja poszedłem dalej. Maya pobiegła za mną.

Jill była szybciutka. Kiedy wparowałem do pokoju, ona już miała jedną nogę po drugiej stronie okna. Okno na szczęście nie było dość duże na szybkie wyjście. Dorwałem ją w trakcie zwijania się w kłębek, żeby się w nim zmieścić. Złapałem ją za ramię i pociągnąłem. Wystrzeliła jak korek z butelki.

- Ktoś jeszcze mógłby pomyśleć, że nie jesteś zachwycona moim widokiem. Po tych wszystkich trudach, jakie sobie zadałem, żeby cię odnaleźć...

Odzyskała powoli równowagę, a także godność, po czym zmierzyła mnie morderczym spojrzeniem.

- Nie masz prawa.

- Może nie. - Zachichotałem. - Ale jestem. I ty też. A teraz sobie pójdziemy. Masz minutę na ubranie się. Nie zdążysz, to wyjdiesz na ulicę tak, jak stoisz.

Miała na sobie mniej niż przysłowiowy święty turecki. Nie mogłem się powstrzymać przed podziwianiem krajobrazu.

- Garrett, wktraj oczy na miejsce, bo zacznę cię podejrzewać o niemoralne myśli.

- Niech mnie bronią bogowie. Jill?

Maya stanęła pomiędzy Jill a oknem. Obdarzyłem ją uśmiechem pełnym aprobaty i zawróciłem do drzwi, żeby sprawdzić, co robią Morley i łysy kurdupel.

- Mamy ją. Musi się tylko ubrać.

- Nie trać czasu. Obudziliśmy cały dom.

- Mówiąc o budzeniu, doprowadź go do stanu używalności. Idzie z nami.

Morley się skrzywił.

- Jeśli ktokolwiek zna odpowiedzi, to tylko on.

- Skoro tak twierdzisz. Znajdź coś, w co można by go ubrać. Nie możemy go tak za sobą wlec.

Rozejrzałem się. Ubranie facecika leżało na krześle, starannie złożone. Jill była prawie gotowa. Nie przejmowała się wkładaniem bielizny. Maya karmiła ją opowiastkami, jak to powie mniszce, że przysłałiśmy Jill, żeby zmiękczyć gościa przed obrabowaniem. Uniosłem brew, potem mrugnąłem. Dziewczę umiało improwizować.

- Jill, weź ciuchy swojego przyjaciela - poleciłem. - Idzie razem z nami.

- Żałuje, że kiedykolwiek przyszłam do ciebie.

- Ja też, skarbie. Idziemy.

Wyszliśmy z pokoju. Ja prowadziłem. Maya zamykała pochód, wymachując nożem. Bawiła się doskonale.

Morley zebrał gościa do kupy na tyle, że mógł iść o własnych siłach. Byli już w połowie schodów. Dogoniliśmy ich na dole.

- A teraz do najbliższego płotu - poradził Morley.

- Racja. - Przystałem na to, mimo że w tej sytuacji mieliśmy wylądować na krańcu Dzielnicy Snów, położonym najdalej od miejsca, w którym chciałbym się teraz znajdować.

Wyszliśmy tymi samymi drzwiami, które prowadziły w sam środek kompleksu. A tam wrzało.

Morley wyciągnął kawałek sznura. Założył pętle na szyje kurdupła.

- Jedno pi-pi i uduszę. Nie przyszłiśmy po ciebie, więc łatwo przyszło, łatwo poszło, jasne?

Mały kiwnął głową.

Morley ruszył na południe. Maya i ja poszliśmy za nim, prowadząc Jill między sobą. Maya poradziła Jill, żeby się pospieszyła, bo inaczej potraktuje ją ostrzem noża.

Rzeczywiście świetnie się bawiła.

Usiłowałem zmienić tę całą historię w wielki dramat, pełen przerażających utarczek, dzikich bitew z fanatycznymi mnichami i zakończony ucieczką, ale nic mi z tego nie wychodziło. Nigdy nie byliśmy dość blisko, żeby nas złapali. W czasie, gdy wialiśmy, do domu wpadło z tuzin klech z pochodniami, a jednak nas nie zauważyli. Dotarliśmy do ogrodzenia, siedliśmy wraz z Morleyem, Maya, Jill i kurduplem na samej górze, zanim grupka wybiegła na zewnątrz. Nim zwąchali ślad, nas już po prostu nie było.

Zgubiliśmy się w alejach dzielnicy przemysłowej, na południe od Dzielnicy Snów, i pozwoliliśmy, by kurdupel wreszcie się przyodział. Nie miał wiele do powiedzenia. Żadnych pogroźek, żadnych przekleństw. Kiedy tylko złapał bluesa, stał się spokojny, cichy i skłonny do

współpracy.

Spędziliśmy resztę nocy na zacieraniu śladów wokół Dzielnicy Snów. Doszliśmy aż do zachodniej części miasta, poza Górę, a potem z powrotem do mojego domu. Kiedy go zobaczyłem, poczułem, że padam z nóg.

Byłem z siebie zadowolony. Wywinałem niezły numer, który okazał się łatwiejszy, niż myślałem. Wyprawa do Chattaree okazała się niepotrzebna. W moich kieszeniach wciąż spoczywał komplet zabranych stamtąd fiolek.

Garret 03 Zimne Miedziane lzy

XLIX

Mieliśmy jednak mały problem. Straż otoczyła dom. Oświetlili go tak dokładnie, że nie było mowy o wśliznięciu się niepostrzeżenie.

Nie rozmawialiśmy wiele, ale wspomniałem o tym, że warto by postawić Jill i Strażnika Agire przed obliczem Truposza. Kurdupel okazał się dokładnie tym, za kogo go uważałem. Dowiedziałem się o tym od Jill, a nie od niego. Próbowwała wywinąć mu numer, podając jego imię. Nic jej to nie pomogło.

- No i co teraz, geniuszu? - zagadnął Morley. - Chcesz ich schować u mnie?
- Wejdziemy. Musimy tylko trochę odwrócić ich uwagę.
- Lepiej wymyśl coś szybko. Pięć osób: to wystarczy, żeby się tym zainteresowali.
- Jasne. Mayu, mógłbym wytargować trochę pomocy od Sióstr?
- Jakiej pomocy? - Była wyraźnie zaskoczona.
- Może Tey pobiegłaby do drzwi i szepnęła Deanowi, żeby powiedział Truposzowi, że tu czekamy. Albo lepiej niech wyśle kogoś młodszego. Dziecku nic nie zrobią.
- Dobrze - w jej głosie brzmiało powątpiewanie, ale posłusznie poszła.

Strażnicy zachowywali się całkiem przyzwoicie. TunFaire jest dziwnym miastem. Jednym z jego dziwactw jest ogólna tendencja, aby chronić świętość domostwa. Najgorsi z naszych tyranów nie odważyli się naruszyć praw ludzi w ich domach. Najście na dom bez gigantycznego pliku cholernie legalnych zezwoleń natychmiast spowodowałoby zamieszki. Ludzie zniosą dosłownie wszystko, ale w obliczu pogwałcenia prawa do schronienia się i pozostania bezpiecznymi we własnych domach gotowi byłiby przelewać krew. To takie dziwne.

Strażnicy byli zatem bardzo uważnie obserwowani i doskonale zdawali sobie z tego sprawę. Jeden niewłaściwy ruch i całe sąsiedztwo ruszy na nich z czym popadnie. Była zatem spora szansa, że nieznajoma osoba bez trudu dotrze do moich drzwi. Mogliby spróbować wyciągać łapy, kiedy się zorientują, gdzie idzie ta osoba, ale byłem pewien, że Dean czuwa. A kiedy już posłaniec znajdzie się w środku. Straż nie robi zupełnie nic.

Maya wróciła dość szybko. Miała bardzo niewyraźną minę.

- Co się stało? - zapytałem.
 - Musiałam zapłacić.
- Była wściekła. Wziąłem ją za rękę. Ścisnęła mocno moją dłoń.
- Opowiedz.
 - Będziesz miał, co trzeba. Przyślą tu dziewczynę. Ale musiałam zapłacić.

Ohoho! Miałem przeczucie, że Maya dała więcej, niż powinna. - Jak?

- Musiałam odejść. Opuścić Siostry. Oddać jej dowództwo.
- Mayu! Mogliśmy wymyślić coś innego.
- W porządku. Sam powiedziałeś, że się starzeję. Najwyższy czas dorosnąć.

To prawda, ale czułem się winien, ponieważ zrobiła to dla mnie, nie dla siebie.

Wysłały tę małą obdartuskę w worku na kartofle, tę która wpuściła mnie, kiedy przyszedłem odwiedzić Mayę. Tey będzie dowódcą z piekła rodem. Dzieciak był wspaniały. Każdy ze strażników, co do jednego, gapił się na nią wzrokiem pełnym lubieżnych, paskudnych myśli, a żaden nawet nie

kiwnął palcem, żeby ją zatrzymać. Zanim zdążyli zareagować, ona już recytowała swoją rolę Deanowi. Dean wpuszczał ją do środka.

- Ten dzieciak to wiedźma - mruknął Morley. On też to poczuł.

- Niektóre w tym wieku właśnie takie są - odparłem. - Nawet jeśli nie wiedzą, co robią.

- Ona wie - odparła Maya. - Ona jest wiedźmą. Będzie rządziła Siostrami, zanim skończy szesnaście lat.

Strażnicy stanęli na baczność. Poczulem leciutkie dotknięcie Truposza w tej samej chwili, gdy sprezentowali broń.

- Czas ruszać, dzieci.

Jill i Agire zamurowało.

Agire nie chciał się ruszyć. Morley zarządził temu jednym celnym kopniakiem w fundament jego godności. Jill chciała wrzeszczeć, ale Maya przyłożyła jej szcztka w nos.

- To za to, jak Garrett się na ciebie gapił.

- Spokojnie. - Wiedziałem, że odgrywa się za swoje rozczarowanie.

- Przepraszam. - Powiedziała nieszczercze, przepraszając mnie zamiast Jill. Udałem, że tego nie zauważyłem. Jill za to zdecydowała się współpracować.

Ruszyliśmy w stronę domu. O ile mogłem stwierdzić, strażnicy nas nie widzieli. Dean wpuszczał nas, nieco przerażony tłumem.

- Śniadanie dla wszystkich - zarządziłem. - Idę do jego kościści.

- A ja nie - odparł Morley. - Skończyłem swoją robotę. Masz wszystko pod kontrolą. Muszę sprawdzić, czy coś jeszcze zostało z mojego domu.

Pomyślałem sobie, że to okropny pośpiech, ale nie zaproponowałem. Zrobił swoje i nie próbował mnie zrujnować bonusami za utrudnienia. Coś go dręczyło, a ja nie chciałem mu przerywać myśli.

Dean go wypuszczył, a ja zaprowadziłem Jill i Agire do Truposza. Jill była przerażona. Agire - porażony. Tylko świadomość obrazy jego godności pozwalała mu jako tako zachować kontrolę nad sobą.

Zdaje się, że obecność tych ludzi ma niejakić znaczenie.

- Aha. Jak ci poszło ze służbami porządkowymi?

Zapomnieli, po co tu przyszli, i teraz idą na piwo lub folgują innym słabostkom.

- A co ze strażnikami? Ściągną na nas gniew Góry?

Im się wydaje, że właśnie przejechał Strażnik Burzy. Kiedy pan Dotes znajdzie się poza zasięgiem ich wzroku, wrócą do swoich zadań, nieświadomi, że w ogóle ktoś wchodził lub wychodził.

Ta mała wiedźma też zniknęła. Nawet nie widziałem kiedy. Dean wpuszczał ją chyba do frontowego salonu, a potem wyprowadził poza moimi plecami.

A ci dwoje? - przypomniał Truposz.

Dokonałem prezentacji i zaproponowałem, że możemy szybko skończyć robotę, jeśli on trochę pomoże. W końcu, jeśli zechce, może przeszukać ich myśli.

Zwalił mnie z nóg, bo zgodził się bez błagania. Zajął się Agirem jako pierwszym. Strażnik wydał z siebie okrzyk paniki.

- Nie masz prawa! - zawył. - Nie twoja sprawa, co się dzieje!

- Błąd. Mam dwóch klientów, którzy mi płacą, i interes osobisty. Jeden z moich kumpli dostał po łbie w waszej zabawie. Jest trupem. Jeden z moich klientów też nie żyje. Magister Peridont, słyszałeś o nim? Jego śmierć nie rozwiązuje naszej umowy. A ten drugi klient jest cholernie nieprzyjemny, aż strach go wystawić do wiatru. Nazywa się Chodo Contague. Obraził się na Synów Hammona i teraz

żąda skalpów. Jeśli wiesz coś o nim, to wiesz też, że lepiej z nim nie zadzierać.

Agire wiedział. Zaczął się trząść.

- Nie musimy być od razu wrogami - powiedziałem. - Ale mój przyjaciel i ja chcielibyśmy wiedzieć, co się dzieje, żeby mieć nareszcie wolne ręce i może skrócić męczarnie tych szaleńców.

Dość, Garrett. Nie mów nic więcej. Rozważa swoją pozycję i opcje oraz prawdopodobieństwo, że mówisz prawdę. A mówisz?

- Całą i tylko. - Spojrzałem na Jill. Chłód zniknął. Paskudny przypadek mrówek w siedzeniu i trzęsionki. Jej oczy nie nieruchomiały nawet na chwilę. Pewnie próbowałyby uciec, gdyby między nią a drzwiami nie znalazła się Maya.

Czekaliśmy na Agire'a. A on czekał na boskie natchnienie.

Dean przyniósł z kuchni niewielki stoliczek.

- Zrobię bufecik - oznajmił.

- Fajnie. Byłe dużo. - Byłem głodny, zmęczony i miałem serdecznie dość swoich gości.

Oni myślą, Garrett. To wystarczy - ostrzegł Truposz.

- Coś ciekawego?

Bardzo dużo. Na przykład wiemy już, dlaczego Dean i twoja mała przyjaciółka nie mogli znaleźć tego, co ta kobieta tu schowała. Za bardzo próbuje o tym nie myśleć.

- Co?

Moja szeptaninka zdekoncentrowała gości. Kazałem się sobie zamknąć. Pomogłem Deanowi, kiedy przyszedł z tacą pyszności, nie dlatego, że jestem taki grzeczny, ale dlatego, że zaraz się pochęstowałem.

- Śniadanie - zaprosiłem pozostałych.

Po pauzie obliczonej na to, żebym zaczął dyszeć z emocji, Truposz powiedział.

Schowała to tutaj, kiedy spałem.

- Wiem. - Podszedłem do półki na ścianie, która wciąż przyciągała wzrok Jill, gdzie trzymaliśmy mapy i referencje. Pogrzebałem tam chwilę i wydobyłem wielki, miedziany klucz. Wyglądał tak, jakby leżał i śniedział przez kilka stuleci.

Truposz był wściekły. Zabrałem mu piorun. Jill wyglądała, jakby się miała rozplakać. Agire nie mógł oderwać wzroku od klucza.

Miał ze sześć cali długości i był najcięższym kluczem, jaki zdarzyło mi się widzieć. Podniecał Agire'a, ale ja wiedziałem, że pośród Relikwi Terrella nie było klucza. Na bokach był spłaszczony, a pod warstwą śniedzi widać było jakiś napis. Poskrobałem go lekko.

- No, no. - Był to ten sam slogan, co na świątynnych monetach. Wsunąłem klucz pod fotel Truposza, dopadłem mojego talerza i zacząłem się opychać. Maya poszła za moim przykładem. Goście byli zbyt zdenerwowani, żeby brać w tym udział. Jeśli się szybko nie wezmą w garść, zjem także i ich porcje.

Garret 03 Zimne Miedziane lzy

L

Cierpliwość się opłacała. Agire pękł.

- Kult Hammona wypowiedział nam wojnę. Jej celem było odzyskanie tego klucza, który może otworzyć Grób Karaka, gdzie, jak głosi legenda, został uwięziony Pożeracz. Kult nie może go uwolnić w żaden inny sposób. Dopiero kilka miesięcy temu odkryli, kto go ma, choć już od dziesięcioleci wiedzieli, że jest w TunFaire. Od trzydziestu lat wprowadzali swoich ludzi do naszych zakonów. W tym roku jeden z nich dotarł tak wysoko, że mógł stwierdzić, iż klucz trzymany jest wraz z Re-likwiami Terrella. Liderzy kultu przywieźli swoich ludzi do TunFaire. Przy pomocy wtyczek w moim kościele rozpoczęli szeptaną wojnę, która miała nas rozbić. Może i by im się udało, ale jeden z pomniejszych agentów zdradził. Powiedział mi wszystko, co wie. Próbowałem poczynić jakieś kroki, ale odkryłem, że cała hierarchia pełna jest zdrajców. Podzieliłem się moimi problemami z przyjaciółką. - Wskazał na Jill. - Nie wiedziałem, że wie, kim jestem, ani że ma powiązania z Magistrem Peridontem. Szczerze mówiąc, nie wiedziałem nawet, że moją drobną słabostkę znają moi wrogowie. Wspomniałem o moim informatorze w obecności niewłaściwego człowieka, co spowodowało zamach na moje życie i próbę kradzieży Relikwii. Przez mnichów Ortodoksów. Uciekłem do jedynej osoby, której ufałem. - Znow wskazał na Jill. - Ale wybrałem zły moment. Była ze swoim przyjacielem z Kościoła. Przez chwilę na jego twarzy pojawił się ból.

- Powinienem być się spodziewać, że to nie ona utrzymuje takie mieszkanie. Później ukryła mnie w drugim mieszkaniu. Namawiała, żebym się zwierzył Magistrowi Peridontowi. Zagrożenie ze strony Ortodoksów było zagrożeniem dla wszystkich Hanitów. Uparłem się. Twierdzi, że sugerowała Peridontowi to i owo, a to spowodowało, że zaczął działać tak, jak pan już wie. Kiedy ustąpiłem, było za późno. Dałem jej pozwolenie na rozmowę z Peridontem po jej pierwszej wizycie u pana, w nadziei że pan ochroni ją przed ludźmi, którzy ją śledzili, wierząc, iż trafią na mnie. Kiedy próbowała powiedzieć Peridontowi, on za bardzo się spieszył, żeby usłyszeć całą historię, i nie rozumiał, że ona może nas skontaktować. Wynajął pana, żeby do mnie trafić. I wtedy popełnił ten sam błąd co ja - przemówił w obliczu szpiega, który dostał się do Kościoła. Wróg momentalnie się domyślił, że Jill wie, gdzie są Relikwie.

Wydawało mu się chyba, że to wszystko wyjaśnia. Może i tak, przynajmniej w pewnym sensie. Ale dalej nie rozumiałem, skąd to zainteresowanie moją skromną osobą. Zapytałem o to wprost.

Jill odpowiedziała:

- To ja cię wrobiłam, albo przynajmniej próbowałam. Masz opinię, że łazisz wokoło, zaglądając pod każdy kamień, i nic ci z tego powodu nie jest Przeraziłeś ich. Próbowali pozbyć się ciebie, ale tak, żeby nie wyglądało, że to oni. Załatwiłeś chłopaków, których wynajęli. Spanikowali. Wszystko wymknęło się spod kontroli.

Naprawdę? To rzeczywiście trzymało się jakiejś zwariowanej kupy. Może nawet doskonałej kupy dla kogoś, kto siedzi po uszy w religii.

- Chcesz mi powiedzieć, że naprawdę jest jakiś Niszczyciel? I że ten gość może rozwalić świat, ale nie potrafi wydostać się z grobu? Daj spokój. Równie dobrze mogłabyś go wsadzić do worka z pajęczyn.

Agire spojrzał na mnie, jakbym miał coś nie tak z głową. No, powiedzmy, jakbym był z lekka

opóźniony w rozwoju.

- Wiem, że wy, duchowni, wierzycie w sześć rzeczy niemożliwych codziennie przed śniadaniem.
- Uśmiechnąłem się. - A w każdym razie część was. Uważam, że większość to zwykłe darmozjady, żywiące się krwawicą prostaczków, ignorantów i desperatów. Nie wierzę, że którykolwiek z was wierzy we własne kazania, a już na pewno tej wiary nie praktykuje. Przekonaj mnie, Strażniku, że jesteś uczciwym i wierzącym człowiekiem.

Garrett.

Myślałem, że będzie mnie ostrzegał, żebym nie przeciągał struny.

To prawda, ten człowiek uznaje niektóre dogmaty za pożyteczną fikcję, manipuluje laikami w cyniczny sposób i zajęty jest jedynie poprawą swojej pozycji w hierarchii, ale wierzy w swego boga i jego proroka.

- To absurdalne, jest przecież inteligentnym człowiekiem. Jak może kupić coś tak pełnego sprzeczności i poprawek wprowadzonych przez historię?

Agire uśmiechnął się smutno, jakby podsłuchiwał Truposza i litował się nad moją ślepotą. Nienawidzę, kiedy duchowni tak się zachowują. Jakby ich litość była jedynym dowodem, jakiego potrzebują.

Wierzysz w czary.

Mój mózg był chyba w lepszym stanie, niż sądziłem, przy moim zmęczeniu. Pojąłem, o co mu chodzi.

- Czary widzę na co dzień. To absurdalne, ale daje konkretne wyniki.

- Panie Garrett - odezwał się Agire. - Wydaje mi się pan osobą, która musi wpaść na drzewo, żeby uwierzyć w istnienie lasu. Rozumiem taką mentalność lepiej, niż się panu wydaje. Czy pojmuje pan ideę symboliki? Mówi pan, że akceptuje magię. Prawdziwymi korzeniami magii jest manipulowanie symbolami w sposób, który ma wpływ na osobę zainteresowaną. Takie same są też korzenie religii.

Powiedzmy, że nigdy nie było Terrella. Albo Terrell był tym łotrem, jakim go niektórzy przedstawiają. W kontekście symboliki i wiary prawdziwy Terrell, ten, który żył, nie ma znaczenia.

Terrell wiary jest symbolem, który musi istnieć, żeby spełnić oczekiwania wielkiej części ludzkości. Jak stwórca. Hano musi istnieć, bo potrzebujemy jego istnienia. Był, zanim pojawiliśmy się my. Pozostanie, kiedy nas już nie będzie. Hano może nie spełnia pańskich oczekiwań w stosunku do takiej istoty, a więc proszę go nazwać Pierwszym Budowniczym lub po prostu siłą, która porusza czas i materię. Musi być, ponieważ my go potrzebujemy. I musi być tym, czego od niego oczekujemy. To argument filozoficzny trudny do pojęcia dla nas, którzy żyjemy pośród niezmiennie twardych powierzchni i ostrych krawędzi, nie reagujących na nasze życzenia. Obserwator zmienia natychmiast całe zjawisko. Bóg -jakkolwiek go nazwiemy - jest, i musi być, kimkolwiek wierzymy, że jest. Hano czasów Terrella to nie ten sam Hano, który istnieje dziś. Hano według określenia Ortodoksów nie jest Hano Synów Hammona. Ale istnieje. Był, kim był, a teraz jest tym, kim wierzymy, że jest teraz. Rozumie pan? Hano jest także tym, kim pan wierzy, że jest, w tej nieskończonej małej części swej osoby, która należy wyłącznie do pana.

Zrozumiałem, że im nigdy nie zabraknie argumentów.

- Mówisz zatem, że tworzymy i kierujemy Bogiem tak samo, jak On tworzy i kieruje nami.

- W ostateczności. Dlatego mamy fragment Boga, zwany Pożeraczem, który można zamknąć w grobie, nawet jeśli jest w stanie zniszczyć świat. Nie może stamtąd wyjść, ponieważ nikt nie wierzy, że mógłby to uczynić... O ile nie otworzymy drzwi od zewnątrz. W zasadzie można by nawet dyskutować, że NIKT nie chce, żeby wyszedł, nawet jego wierni, zatem grób ten staje się

ostatecznym więzieniem.

- Dla mnie to zbyt ponure. I tak uważam, że jesteście bandą stukniętych magików. - Podkreśliłem te słowa uśmiechem, który miał mu powiedzieć, że wiem, jaki będzie jego następny argument.

- A wielka większość ludzi może dalej sobie myśleć symbolami, do których są przyzwyczajeni.

- Co wcale nie zbliża nas do uporządkowania tego bajzlu, zanim ci chłopcy zmienią TunFaire w pole bitwy. Symboli nie można zabić.

- I to jest sedno. Zawsze to samo. Praktyka życia codziennego. Dawni królowie robili to, co musieli, żeby zniszczyć szczególnie złośliwego i okrutnego wroga. Przeżyła tylko garstka, która mogła się odbudować. Dzisiaj ta praktyka jest nieużyteczna, ponieważ nie możemy przekonać agencji państwowych, że zagrożenie naprawdę istnieje. Znowu symbolizm. Zanim Korona zacznie działać, musi naocznie stwierdzić, że zagrożenie naprawdę istnieje. Trupy leżą rozrzucone po całym mieście? Znowu jakieś bandy walczą między sobą. No to co?

Spojrzałem na Truposza. Wyglądał na rozbawionego.

- Kościotrupku, wtedy, ostatnio, mówiłeś coś o niegrzecznym Loghyrze. Ten facet nic o nim nie wspomniał.

On nic nie wie, Garrett. Możliwość prawdziwej, cynicznej manipulacji ludźmi i ich wierzeniami przysłała mu do głowy tylko na jego nędzną modłę. O, nie! Nie ma tu sprzeczności, jak zapewne chciałbyś mi to zarzucić. Świadom jestem, że wspomniałem o wielkiej, złej sile, stworzonej dlatego, że grupa ludzi chciała jej istnienia. To właśnie zamierzał powiedzieć Strażnik. Zbrodniarz stworzył boga, żeby manipulować ludźmi. Ludzie stworzyli tego boga ze swoich wierzeń. Agire ma rację. Coś jest w tym grobie. Można to uwolnić. Ono może zniszczyć świat. Jest to produkt wyobraźni, który zaczął żyć własnym życiem. A teraz rządzi tym łotrem, który go wymyślił. Wysłało go, żeby znalazł klucz...

- Ale...

Aby z nim skończyć, musisz znaleźć zbrodniarza. Musisz go zniszczyć.

- O, do licha. - Obejrzałem się na Agire'a i Jill, Truposz pozwolił im tego wysłuchać. Jill wydawała się zagubiona. Agire tylko przestraszony. - A jak ja niby mam to zrobić? Jak załatwić Loghyra, którego nawet nie można zabić?

O tym porozmawiamy później. Jesteś zbyt zmęczony na działanie, o myśleniu nie wspomnę. Przemyszę sobie wszystko, kiedy ty będziesz spał.

Cu-cu-cudownie!

Garret 03 Zimne Miedziane lzy

LI

Truposz nie pozwolił Deanowi próżnować, kiedy ja pracowicie leczyłem oczy. Kiedy zszedłem na dół, dom wyglądał jak zoo. Były tam wszystkie najbardziej egzotyczne zwierzęta TunFaire. Chodo Contague (który nigdy nie opuszcza swej posiadłości) wraz z dwójką jego najlepszych morderców, Morley, jakiś nieznany mi gość, chyba z Góry, kilku duchownych, dość starych, żeby mieć siwe włosy lub nie mieć ich w ogóle, oraz - cudy-niewidy - ten typ Sampson, który był kiedyś asystentem Peridonta. Co najmniej piętnaście osób zjednoczonych w konspiracji przeciwko moim zapasom jadła i napojów.

Czyżby rozmawiali o tym, jak się pozbyć Synów Hammona? Nie. Mieli głowy zaprzątnięte wyłącznie Glorym Mooncalledem, który wywinał swój ostatni numer wcześniej, niż się spodziewano, i wszystkich zwałił z nóg. Odniósł największe, najbardziej cwane i szczwane ze swoich zwycięstw. I najbardziej zdradzieckie.

Pozwolił się odkryć grupie ostatnich Wojennych Lordów Venagety. Poprowadził ich trzy armie na wesolutkie łowy, aż zajędzili go i dopadli. Jednocześnie jego agenci poprowadzili jeszcze większe armie karentyńskie w ten sam obszar. Rzucili się na siebie, wierząc świecie, że tą jedną krwawą bitwą zakończą całą wojnę. Wybili wszystkich trzech lordów wojennych i większość ich ludzi. Ale zwycięstwo nie zwróciło się w tę stronę, w którą się spodziewali. Glory Mooncalled wykręcił się szybko, pilnując tylko Venageti, żeby nie uciekli. W nocy po bitwie zaatakował obóz karentyński i zabił wszystkich oficerów, komendantów, czarowników, warlocków, Strażników Burzy, władców ognia i kogo tylko się dało. Tych, którzy przeżyli, wysłał do Fuli Harbor, z listem, że niniejszym nie-ludzkie narody Kantardu zadeklarowały go niezależnym państwem. Wszelka obecność karentyńska lub venagecka uznana będzie za akt wypowiedzenia wojny.

Śmiałość tego człowieka przechodziła wszelkie pojęcie.

Truposz wreszcie dostał swoje nowiny.

- Nie jesteś tak wesolutki, jak powinieneś być. Czy zrobił coś, czego nie przewidziałeś?

Zadeklarował stworzenie niezależnej republiki. Jak wiesz, przewidywałem, że zwróci się przeciwko Karencie, ale nigdy nie przyszło mi do głowy, że ma tak wygórowane ambicje.

- Moim skromnym zdaniem on po prostu chce być Wojennym Lordem Republiki Kantardu.

Wygodna fikcja. Pozwala na stworzenie zgromadzenia reprezentującego rozmaite rozumne rasy Kantardu. Ale przy kim jest władza? Kto kontroluje serca wszystkich weteranów, zdolnych do noszenia broni? Dzisiaj on nie jest już tylko królem, imperatorem, a nawet dyktatorem. Jest półbogiem. Jeśli Karenta i Venageta dalej będą zgłaszać roszczenia do Kantardu, jego władza przetrwa nawet jego życie.

Nie było żadnego „jeśli”. Wiadomo było, co zrobi Karenta. W Kantardzie były potężne złoża srebra. O to przecież toczyła się wojna. Czarownicy potrzebowali srebra, żeby zasilalo ich czary, a czarownicy to prawdziwi, ukryci władcy obu królestw. Wojna będzie trwała nadal, z Karentą i Venageta jako cichymi współnikami, aż do zniszczenia republiki Glory'ego Mooncalleda.

I tak to się kręci.

- Co to za wygłodzona horda, która sobie tu dopycha wszystkie puste zakamarki? Zarobiłem na tej imprezie parę marek, ale w tym tempie oni mi wszystko przeżrą.

Sprowadź ich. Proponuję przyprowadzić pana Sadlera, pana Craska i pana Chodo, umieścić ich obok drzwi, a potem wprowadzić resztę. Na końcu wejdiesz ty z panem Dotesem i panną Stump. Może być trochę zamieszania, kiedy ci duchowni zorientują się, że mają przed sobą Loghyra. Ostrzeż pana Chodo i jego asystentów.

Nie miałem pojęcia, co on kombinuje, ale postanowiłem mu się nie sprzeciwić. Wystarczającą przyjemność sprawiało mi to, że się zbudził i nie opylał roboty.

Kiedy Sadler usłyszał moje ostrzeżenie, zapytał, co się dzieje. Powiedziałem, że nie wiem. Nie ucieszył się, ale co mogłem poradzić. Chodo był bardziej wyrozumiały - przynajmniej tak to wyglądało. Zanim zacznie wydawać sądy, poczeka na wydarzenia.

Morley i ja stanęliśmy po obu stronach drzwi, podczas gdy cała reszta defilowała przed nami. Wreszcie przeszedł obok nas Sampson. Spojrzał na mnie, jakbym był stworzeniem o stu łapach, przyłapanym na pełzaniu w jego śniadaniu.

Poderwało go, kiedy ujrzał Truposza. Obejrzał się, zobaczył, że wraz z Morleyem zamykamy odwrót, i obrócił się znowu.

Weszliśmy, ja z marsem na czole, patrząc na Truposza, jakby mógł mi coś podpowiedzieć gestem. Maya zamknęła za mną drzwi. Dziś już nie wyglądała ślicznie. Wyglądała jak uosobienie złośliwości, dziecko ulicy, którym była tak długo.

Garrett, poproś pana Sampsona, żeby się rozebrał. Panie Contague, czy mógłby nam pan użyć pomocy panów Craska i Sadlera, gdyby pan Sampson okazał się niechętny do współpracy?

Wszyscy, z wyjątkiem Chodo, spojrzeli na Sampsona. Chodo zerknął na mnie, na swoich oprawców, i uniósł palec, dając tym samym przyzwolenie.

- Sampson? - zagadnąłem.

Ruszył w stronę drzwi. Maya walnęła go w łeb mosiężnym kubkiem. To go trochę przyhamowało. Crask i Sadler trzymali go za ramiona, a ja uniosłem spódnicę jego habitu i zdarłem zeń gacie. Morley oparł się o ścianę, wygłaszając ordynarną uwagę na temat ludzkiej skłonności do zbrodni.

Pan Sampson z Kościoła, spadkobierca Wielkiego Inkwizytora, miał krocze łysiutkie jak u dziewczynki.

Jeśli odziejecie go w strój wieśniaka i postawicie w drzwiach, świadkowie na pewno bez trudu rozpoznają w nim mordercę Magistra Peridonta. Uważam, że jest jedynym obecnym tu przedstawicielem swojego... gatunku.

- Mnie to wystarczy - odparłem. - Szkoda, że nie ma tu kogoś innego z Kościoła. To zaoszczędziłoby nam fątygi, żeby go wydać w ich ręce.

Zatrzymamy go tutaj. Wie, kto jest kim w tej całej, jak ty to nazywasz, rozgrywce.

Sampson zeszywniał jak kamienny słup. Poprosiłem Craska i Sadlera, żeby go odstawili na bok. Spojrzałem na Truposza. Czy miał jakiś ukryty motyw, żeby zapraszać Chodo? Na przykład, żeby mu pokazać, ile sobie może narobić kłopotu, jeśli z nami zadrze? Ten rodzaj myślenia z wyprzedzeniem nie był mu obcy.

Panowie. Jak wiecie, śmierć Loghyra zatrzymuje jedynie jego ciało. Zanim duch oddzieli się od niego, może upłynąć wiele stuleci. W niektórych przypadkach, jeśli duch jest niechętny, Odejście może przeciągać się prawie w nieskończoność. W dawnych dniach waszej rasy, kiedy moja rasa była bardziej liczna, wielu z waszych lokalnych bogów i diabłów pochodziło z mojego gatunku. To było nawet modne, by przed Odejściem ochraniać lub trochę podręczyć prymitywne istoty. Wiele z tych animistycznych istot zniknęło z ludzkiej pamięci, tak jak i moja rasa zniknęła ze świata. Gra straciła urok. Dlatego większość Loghyrów udaje się teraz na Wyspę Khatar, gdzie Odchodzą. Jest jednak między wami jedna dawna, złośliwa istota. Znany był od wielu lat i w wielu miejscach, pod różnymi

imionami. Zawsze zbliża się do mrocznych, nihilistycznych kultów. We wczesnych wiekach pokazywał się rzadziej, ponieważ reszta nas poprzysięgła sobie, że skrócimy jego cierpienia. To on stanowi siłę napędową dla Synów Hammona. A teraz jest w TunFaire.

Popełnił błąd, przybywając tutaj. Ale nie wiedział o mojej obecności. Nie odkrył swego błędu, póki nie spróbował zaatakować tego domu, w nadziei że odzyska klucz, który pozwoli mu otworzyć grób Niszczyciela. Podejrzewałem już wcześniej jego obecność, wysłuchując raportów pana Garretta. Jego atak potwierdził moje przypuszczenia.

Panowie, ta starodawna, złośliwa istota jest w tej chwili bardzo wrażliwa. Chyba nigdy już nie zostanie tak całkowicie bezbronna. Jej przygody pozbawiły ją niemal wszystkich sprzymierzeńców, z wyjątkiem garstki szpiegów ukrytych w zakonach. Martwy Loghyr nie jest zbyt ruchliwy. Bez pomocy osób, które zabiorą go w bezpieczne miejsce, nie może zrobić nic, żeby umknąć swemu przeznaczeniu, czy będzie to ucieczka, czy zniszczenie z waszych rąk.

Rozważcie między sobą, jaki przyjąć sposób działania. Choć my, mieszkańcy tego domu, zrobiliśmy wszystko, co było w naszej mocy, nie przestaniemy służyć wam radą i wsparciem.

Wielkie dzięki, Kupo Gnatów. Jeśli nie węszyłbym dalszych zysków, nie dałbym się w to tak radośnie wrobić. Ale kto ma ochotę wleźć na odcisk martwemu Loghyrowi, który miał całe stulecia, żeby się wytrenować w złośliwości? Mój własny, oswojony diabeł wystarczy mi w zupełności. Jest tu tylko od kilkuset lat i już udaje wielkiego kumpla. Nie tworzy ośmioramiennych demonów z kawałka szmaty ani nie wysyła ich z wizytą w osobistych chmurach burzowych.

Wysłał mi za to osobisty komunikat:

Ci duchowni mają dość mocy, żeby tysiące zapomniały o zbezczeszczeniu ich świątyń.

A na Górze było stado Strażników Burzy, Lordów Ognia i tym podobnych, którzy potrafią być solidnie uciążliwi, jeśli nas wezmą na oko. Klechy mogą im to wyperswadować. Może to i jakiś zysk?

Minęły dwie godziny nasyconego polityką kłapania paszczką, zanim Chodo zadał krytyczne pytanie. Miał już dość roztrząsania, kto ma większe prawo i do czego.

- Wiecie, gdzie to coś jest?

Kluczowe pytanie. Jeśli szukasz szcurów, czasem pomaga, gdy wiesz, gdzie mają norę.

Garret 03 Zimne Miedziane lzy

LII

Cel obrał sobie niezłe miejsce.

Copperhead Bar to długa, wąska wyspa, zaczynająca się na zakręcie rzeki w miejscu, gdzie przepływa ona koło południowych granic miasta. Ma jakąś milę długości i około siedemdziesięciu jardów szerokości w najszerszym miejscu. Pokryta jest krzewinami, które zakotwiczyły się w piachu i żwirze i jakoś tam sobie żyją. Od lądu dzieli ją czterdzieści jardów kanału. Stanowi duże niebezpieczeństwo, jest brzydka i tylko dlatego jeszcze jej nie zatopiono, że na mocy jakiegoś starodawnego edyktu należy do Kościoła. Wiele lat temu próbowano tam zbudować klasztor, ale fundamenty były za mało pewne, a powodzie zbyt częste. Pozostała jedynie sterta pokrytych pnączami kamieni i cegieł.

Truposz powiedział, że nasz cel ukrywa się właśnie pod tą kupą gruzu.

Mógłby równie dobrze ukrywać się w innym wymiarze.

Wzdłuż południowej granicy miasta, w miejscu, gdzie jakiś ekscentryczny właściciel pilnie strzegł pola ugoru, zgromadził się spory tłumek. Chodo wysłał tuzin żołnierzy ulicznych, aby wspomagali Craska i Sadlera. Kilka zakonów wysłało parunastu młodych, zadziomych księżulków. Facet, który przyszedł tu z Góry, a którego nazwiska nigdy nie usłyszałem, miał dość jaj, aby wypożyczyć kompanię straży. Morley i ja staliśmy na uboczu, a z nami Maya. Zastanawialiśmy się, co będzie.

Do Chattaree wybrała się delegacja ekumeniczna, w nadziei że zwerbują jednego lub dwóch Magistrów. Czekaliśmy na odpowiedź Kościoła.

Nabrzeże miało około dwunastu stóp wysokości - taka miniaturowa skarpa. Morley, Maya i ja staliśmy na głazie jakieś pięćdziesiąt jardów dalej. Wszyscy inni znajdowali się pomiędzy nami i rzeką, ale nieco z tyłu, nie chcąc podchodzić bliżej, niż to było absolutnie konieczne. Ciekaw byłem, czy istota na wyspie uświadamia sobie naszą obecność.

Ciekaw byłem też, czy mam jeszcze jakieś rozliczenia z Jill Craight. Ona i jej kumpel Agire stali z boku, o trzydzieści jardów na południe od całej reszty. Miałem na nich oko. Nie rozmawiali ze sobą i nie wyglądali na bardzo zakochanych. Może Agire miał problemy z tym, że widziano go w towarzystwie dziwki. Było już dla niego o wiele za późno, żeby próbować stworzyć pozory czegoś innego niż to, co naprawdę miało miejsce między nimi.

Maya zauważyła moje zainteresowanie. Była zbyt zdenerwowana, żeby mi dokuczyć.

- Co oni tam robią?

- Nie wiem.

Jedynymi ludźmi, którzy odważyli się stanąć na krawędzi skarpy, byli Crask i Sadler. Teraz skierowali się w naszą stronę. Trochę mnie to denerwowało.

Crask podszedł do mnie.

- Garrett, ty byłeś w marines - zagadnął. - Jak się tam dostać?

- Chcesz znać prawdę, to ci powiem. Chyba nijak. Skrzywił się.

- Pamiętasz to coś, co przyszło do domu Chodo? Właśnie przeciwko temu idziemy walczyć. Przeciwko temu i nie tylko... Loghyr, który miał wieki na dopracowanie swoich sztuczek, przeżył już wcześniej takie historie. Właściwie Truposz stwierdził, że ten akurat Loghyr powinien być zostać

starty na proszek po upadku Carathca.

- Atak zabije nas wszystkich.

Ani Crask, ani Sadler nie byli znani z subtelnych rozwiązań problemów.

- No to po co tu sterczymy? - zagadnął Sadler inteligentnie.

- Jesteśmy tutaj, ponieważ ludzie, którzy nam każą robić różne rzeczy, nie wiedzą, z czym mają do czynienia.

- Dobra, cwaniaczkę - odparł Crask. - Mieszkasz z czymś takim. Jak go stamtąd wyciągnąć?

Miałem nadzieję, że nie poruszy tego tematu. Nie chciałem zdradzić niczego, czego można by użyć przeciwko mnie lub Truposzowi.

- Zmęczymy go. Najpierw trzeba przygotować coś w rodzaju oblężenia. Tu dać linę, kogoś na rzece, żeby ludzie go nie uratowali. A potem tylko pozbieram garść myszy, szczurów, karaluchów i przeprowadzę je na wyspę na tratwach. Choćby to trwało nie wiem jak długo.

- Coooo? - Obaj wyglądali na nieco zagubionych.

- No, dobrze. Najpierw musi do was dotrzeć to, że on jest całkiem martwy. Ale duch jest związany z ciałem. Nie ma ciała, to i duch musi sobie pójść. - Przynajmniej tak twierdzi Truposz. - Robactwo nie ma na tej wyspie nic do żarcia, tylko ten loghyrzy zewłok. Loghyr też o tym wie. Będzie się pilnował. No, ale jeśli przemycimy ich dużo, trudno je będzie znaleźć, a jeszcze trudniej upilnować. Martwy Loghyr musi też dużo spać. W czasie snu nabiera sił i energii do swoich sztuczek. Ten chyba właśnie teraz sobie śpi. Kiedy śpi, nie może pilnować robactwa. Mogą go załatwić na amen. Nie poczuje ich ugryzień, bo jest martwy.

Crask prychnął ze wstrętem. Sadler jednak skinął głową. Chyba zrozumiał.

- Ale to trochę potrwa.

- Trudno, i tak nie znam innego, pewniejszego i mniej ryzykownego sposobu.

- Musimy porozumieć się z Chodo. On chce szybkich wyników. - Crask wycofał się do swojego pana.

- Jeśli będzie nalegał, może za to drogo zapłacić.

Crask kiwnął głową Sadlerowi. Poszli na bok, żeby to obgadać.

- A dlaczego nie wezwać jednego lub dwóch lordów ognia? - podsunął Morley. - Mogą spalić to wszystko do gołej ziemi.

- Tak. Ale czarownik nie będzie bezpieczniejszy od ciebie czy mnie.

- Garrett - szepnęła Maya. - Wydaje mi się, że on wcale nie śpi. Chyba trochę bała się przesadzić.

Z miejsca, w którym staliśmy, widziałem tylko łunę, ale na wyspie najwyraźniej coś się działo. Ci, którzy stali bliżej, zaczęli coś wykrzykiwać i się cofać.

Nad wyspą, na wysokości pięćdziesięciu stóp, uformowała się czarna chmura. Rosła coraz szybciej, wirując jak trąba powietrzna. Wszyscy się na nią gapili.

Nagle, jak błyskawica, trzech gości w antycznych zbrojach przeskoczyło przez krawędź skarpy. Rzucili się na tłumek, rozsiewając wokół poświatę i miotając ogniste włócznie.

Wewnątrz wirującej chmury uformowała się sześcioramienne kobieta. Urosła do olbrzymich rozmiarów. Była całkiem naga, czarnoskóra i lśniaca jak kamień, zamiast twarzy miała trupią czaszkę, a biust jak pierwsza lepsza suka.

Księża zaczęli wrzeszczeć. Kompania straży uznała, że za mało im płacą, żeby się użerali z czymś takim.

Crask i Sadler wraz ze swymi chłopcami z rozkoszą zajęliby się tymi typami w zbrojach, ale nie mogli się do nich precyzyjnie przez spanikowany tłum.

Chłopcy w zbrojach wzięli się do roboty. Luźne części ciała zaczęły fruwać jak ptaszki.

- Kurwa! - zaklął Morley.

Obejrzałem się na niego, ale większość uwagi poświęcałem temu czemuś czarnemu. Stwór wydawał się szczególnie zainteresowany Strażnikiem Agirem i Jill. Morley sięgnął do kieszeni. Kątem oka pochwyciłem cytrynowy błysk. Rzucił to coś na facetów w blasze.

Niech go szlag, udało mu się podprowadzić parę specjalów Peridonta, kiedy było ciemno.

Buteleczka rozbiła się na napierśniku gościa. Przez chwilę zdawało mi się, że nic się nie dzieje. Ale kiedy już się zaczęło, było to coś całkiem innego, niż sobie myślał Morley.

Facet zaczął ryczeć ze śmiechu. Przez minutę śmiał się tak, że musiał oprzeć czubek miecza na ziemi i przytrzymać się. Wyjątkowo rozrywkowy gość. - Kurde - burknął Morley. - To nie wypaliło. Rzucił jeszcze innymi buteleczkami w pozostałych dwóch zbrojnych, ale z jeszcze gorszym skutkiem.

Żółta butelka nie była całkowitą klapą. Crask przecisnął się przez tłum, zabrał miecz rozbawionemu zbirowi i przeciął go na pół. A potem sam dostał chichotków.

Jeden mniej. Ale pozostali dwaj różni, kogo popadło. A to paskudztwo w powietrzu wyraźnie polowało na Agire'a i Jill. Rzuciłem moją czerwoną butelkę.

Nie chciałem tego robić. W głębi ducha miałem nadzieję, że dotrę do wyspy i wykorzystam ją na martwym Loghyrze.

Wynik był taki sam jak w domu Chodo. Potwór rozpląnął się i wyparował, ale ja nie miałem czasu patrzeć. Dwaj uzbrojeni przyjemniacy kierowali się w moją stronę, a wszyscy, z wyjątkiem chłopców Chodo, starali się dyskretnie wycofać.

Jedna z butelek Morleya zaczęła działać. Uzbrojony gość nagle zaczął mieć kłopoty z utrzymaniem równowagi. Pośliznął się, zachwiał, zrobił jeszcze kilka kroków i padł na kolana.

Żaden z nich już nie rzucał czarów. Ale może to dlatego, że tamta rzecz na wyspie była bardzo zajęta swoim czarnym potworem.

Crask podszedł z tyłu do chwiejącego się rycerza i nadział go na włócznię. Tym sposobem został tylko jeden. Nagle znalazł się w całym kręgu nieprzyjaciół, włącznie z Morleyem i moją skromną osobą, Sadlerem, większością chłopców Chodo, może z tuzinem księży i Strażników, którzy dysponowali odwagą powyżej średniej. Facet wyglądał jak wielki gromojaszczur otoczony małymi myśliwymi. Nie mogliśmy go uszkodzić, atakując od przodu, ale zawsze miał kogoś za plecami. Nie trwało to długo.

Kiedy się skończyło, spojrzałem na tamto coś, co latało w powietrzu. Już nie latało. Leżało, wijąc się na ziemi, na pół zżarte przez czary, pogrążone we wrzącej czarnej mgle. Sadler podszedł do mnie.

- Teraz zrozumiałem, Garrett. To cholera może odgryźć się zawsze i wszędzie.

Ktoś zdjął hełm zbrojnego odważniaka i przekonaliśmy się naocznie, że gość w środku był martwy o wiele dłużej niż te parę sekund. Utopił się kilka dni temu.

Od dawna zajmowały się nim ryby.

Kiwnąłem głową w stronę Sadiera.

- Kiedyś przecież musi odpoczywać, ale tego właśnie, jeśli nie czegoś gorszego, możemy się spodziewać, jeśli zechcemy zaatakować wyspę.

Przypomniałem sobie, jak Truposz potrafił sprawić, że ludzie tracili pamięć albo robili nie to, co chcieli robić. Sprawa zaczynała się komplikować.

W zasadzie aż taki pokaz siły trochę mnie zaskoczył. Nie przypuszczałem, że martwy Loghyr zechce ściągnąć na siebie uwagę tych z Góry. Czarownicy na pewno byli bardzo zainteresowani tą sprawą.

- Lepiej zajmijmy się rannymi i zabitymi - zaproponował Morley.

Ci, którzy uciekali, należeli do dwóch grup: jedni zwiali i więcej nie wrócili, zawstydzeni własnym tchórzostwem. Drudzy wrócili z baraniami minami i pomogli nam przy sprzątaniu bałaganu.

Maya nie uciekła i nawet nie wiem dlaczego. W tym zamieszaniu mogła najwyżej oberwać, nic więcej. Mniej więcej po piętnastu minutach porządków nagle złapała mnie za ramię.

- Agire dostał. Hester zniknęła.

Przez chwilę żal mi się zrobiło Jill. Zasługiwała chyba na lepszy los... Nagle uniosła łeb ta bardziej podejrzliwa strona mojej natury:

- A gdzie Agire?

- Tam gdzie był wcześniej.

Poszedłem w tamtą stronę, nie spuszczać oka z czarnego potwora. Resztki jego ciała - o ile można to nazwać ciałem - dogorywały w żrącej galarecie.

Odnalazłem Strażnika i przyklęknąłem. Maya przycupnęła po drugiej stronie ciała.

- Ciężkie czasy dla religijnych rekinów - mruknąłem. - Dla płotek też. Kultury i zakony będą teraz rozbierać swoich księży, żeby sprawdzać, czy wszystko mają na miejscu.

Z ust Agire'a sączyła się krew. Leżał na wznak. Na jego ciele nie było widać żadnej rany.

Przewróciłem go na brzuch i aż stęknąłem. W chwilę później powiedziałem Sadlerowi:

- O ile zdołałem się zorientować, zrobiłem już swoje. Wiecie już, co wy macie robić, więc dokończcie. Ja wracam do domu.

Morley został. Maya powlokła się za mną. Nie miała dokąd iść. Chyba będzie trzeba poważnie zastanowić się nad jej przyszłością.

- Coś kombinujesz - zagadnęła. - Co takiego?

- Jill.

- Co cię znowu męczy?

- Zabiła Agire'a. Wbiła mu nóż w plecy, kiedy byliśmy zajęci. Nie mógł tego zrobić nikt inny, bo wszyscy stali gdzie indziej.

- Ale dlaczego? - Nie powiedziała, że Jill nie mogłaby zrobić czegoś takiego.

- Myślę, że chodzi o Relikwie Terrella. Agire powierzył je Jill, żeby je ukryła. Nie powiedział, że je od niej odebrał. U mnie w domu zostawiła jedynie klucz. Gdyby go zatrzymała, mogłaby zginąć. Cholera. Może od początku zasadzała się właśnie na Relikwie?

- Po co?

- Lubi pieniądze i ładne rzeczy. Jak sądzisz, ile Kościół zapłaciłby za Relikwie? A jakiś inny kult?

Maya tylko skinęła głową. Po przejściu kilku przecznic powiedziała:

- Powinniśmy udać się do Dzielnicy Nocnych Marków.

- Może. Ale chciałem najpierw zapytać Truposza, czy to rzeczywiście moja sprawa.

Garret 03 Zimne Miedziane lzy

LIII

To była moja sprawa. Zostałem wynajęty przez Peridonta i sam doszedłem do wniosku, że, żywy czy umarły, jest wciąż moim klientem.

Maya była zadowolona. Ja z kolei miałem mieszane uczucia. Zaczął padać śnieg, wcześniej, niż się spodziewałem, i znacznie gęstszy. Wiatr stał się kąśliwy. Gdybym dał sobie z tym spokój, mógłbym teraz siedzieć w domu, grzać się przy piecu i popijać piwko, zastanawiając się, jak tu wygonić Deana do domu, jak uspić Truposza, żebyśmy sobie z Mayą mogli...

Weszliśmy do Dzielnicy jak do miasta-widma. Pierwszy śnieg zawsze wywołuje w TunFaire taki efekt - wszyscy wieją, gdzie kto może, i nie wytykają nosa na zewnątrz. Skręciliśmy w alejkę za „domem rozmów”.

- Za późno - mruknęła Maya.

Na śniegu widać było świeże ślady. Na schodach wiodących na drugie piętro też. Prowadziły w dół.

- Może. - Skoczyłem na górę, wpadłem do korytarza niewiele różniącego się od tego na parterze. Jedne drzwi były otwarte. Wetknąłem tam głowę.

To na pewno był pokój Jill. Rozpoznałem jej ubrania porzucane na podłodze, włącznie z tymi, które miała na sobie podczas ostatniej imprezy. Zakląłem i wypadłem na zewnątrz.

Może zrobiłem to ciut za głośno. Otworzyły się kolejne drzwi i stanęła w nich ta kobieta-elf, Polly.

- Co pan tu robi? - zapytała.

Spojrzałem tylko raz i już byłem zakochany po uszy.

- Przyszedłem... - omal nie udławiłem się śliną - żeby pani powiedzieć, jak bardzo... lepiej chyba pójdę, bo robię z siebie idiotę. - Jak na improwizację, wyszło mi całkiem nieźle. Wyszedłem.

Dołączyłem do Mayi.

- Nie ma jej. Idziemy za śladem, zobaczymy, dokąd nas zaprowadzi.

Zanim wyruszyliśmy, spojrzałem w górę. Elficka kobieta stała na szczycie schodów i patrzyła za mną z dziwnym uśmiechem...

Jill nie traciła czasu, ale my byliśmy szybsi. Doganialiśmy ją. Ślady były coraz świeższe. Śnieg padał teraz dużo słabiej i widoczność też się poprawiła. Ulica, którą podążaliśmy, kończyła się placem, przez który właśnie przemykała jakaś postać.

- To staruszka - szepnęła Maya. - Patrz, jest dość stara, żeby być matką Hester.

Widziałem to już po samym sposobie, w jaki się poruszała. Miała na sobie mnóstwo czarnych szmat, jak to stare kobiety, i szła dość wolno.

- Niech to szlag! - Jak mogłem tak pomylić ślady? Zacząłem analizować całą drogę.

Nie, nie mogłem ich pomylić, bo ten ślad nie łączył się z żadnym innym. Była to ta sama kobieta, która wyszła z „domu rozmów”. Przyciskała do piersi jakieś zawiniątko.

- Chodź. - Ruszyłem biegiem.

Śnieg i wiatr stłumiły odgłos naszych kroków, dopóki nie znaleźliśmy się o kilka metrów od staruszki. Obróciła się na pięcie. Żadna stara kobieta nie potrafiłaby okręcić się w ten sposób.

- Cześć, Jill - powiedziałem spokojnie.

Wyprostowała się i przestała udawać.

- Garrett.

Maya krążyła wokół niej, na wypadek gdyby chciała wiać.

- Nie mogłem cię tak wypuścić.

- Wiem - westchnęła. - Taki już jesteś. Nie spodziewałam się, że tak szybko mnie dogonisz.

- Miałem szczęście.

- Może oddam je z własnej woli? Czy to nie wystarczy?

- Nie, nie sądzę. Jest takie powiedzenie: śmierć każdego człowieka upokarza mnie osobiście. Nie powinnaś była zabijać Agire'a. Nie musiałaś tego robić.

- Wiem. To było głupie. Zrobiłam to bez zastanowienia. Nadarzyła się okazja, więc ją wykorzystałam. Zdałam sobie z tego sprawę, zanim upadł. Cóż, nie można tego cofnąć.

- Idziemy. - Uwierzyłem jej, do diabła. Maya nie. Szła za nami przez całą drogę do Dzielnicy Snów. I kiedy tak szedłem obok Jill, w milczeniu, dygocząc z zimna, przemyślałem sobie wiele spraw, a zwłaszcza to, że tamtej nocy, kiedy ratowaliśmy Mayę ze świątyni Ortodoksów, zginęło siedmiu ludzi. Mogłem sobie rezonować, ile chciałem, ale to ja zabrałem ze sobą Morleya.

Zbliżając się do bramy, powiedziałem do Jill.

- Po prostu oddaj im szkatułkę. Nic nie mów. Nie odpowiadaj na pytania.

Spojrzała na mnie dziwnie, wzrokiem, który był starszy od jej przebrania. Zrobiła to właśnie tak. Kiedy podszedł strażnik, żeby zapytać, czego chce, po prostu wcisnęła mu szkatułkę do ręki i spojrziała na mnie, jakby czekała na instrukcję, co ma robić dalej.

- Żegnaj, Jill - powiedziałem. Wziąłem Mayę za ramię i pociągnąłem za sobą w śnieżycę. W milczeniu, ze spuszczoneymi głowami napieraliśmy na wiatr. Policzki piekły nas od zimna, a w kącikach moich oczu pojawiły się kryształki lodu.

Garret 03 Zimne Miedziane lzy

LIV

Truposz był z siebie bardzo zadowolony. Co ja mówię, pysznił się jak wszyscy diabli. Nawet, kiedy wspomniałem o jego pomyłce w przewidywaniu kolejnych ruchów Glory'ego Mooncalleda, nie spuścił z tonu ani odrobinę. Maya przyglądała mu się z lękiem, niezbyt pewna, jakie jest jej miejsce w tym kawalerskim domu, a on nabijał się ze mnie, podczas gdy ja próbowałem się przed nim ukryć.

Wypróżniłem kieszenie, układając fiołki na półeczce, która kryła przedtem sławetny klucz. Poradzimy sobie z nim w oczywisty sposób: ponieważ nie chronił go żaden specjalny czar, a tylko zwykła magia, sprawiająca, by pasował do konkretnego zamka, potnę go na kawałki i rozdám różnym handlarzom złomu. Przetopiony, przestanie stanowić jakiegokolwiek zagrożenie. Trzeba to było zrobić setki lat temu.

Odłożyłem na półkę monetę z Błękitnej Butli, pomiędzy pamiątkami z poprzednich spraw. Wolałbym, aby była to ta moneta, którą znalazłem w pokoju Jill - znaczyła dla mnie więcej i przypominałaby mi o naszej ludzkiej omyłności. Zastanawiałem się, co ta kobieta ze sobą pocznie.

Przeżyje. Urodziła się, żeby przetrwać wszystko. W pewnym sensie nawet dobrze jej życzyłem. Chciałem, żeby uwolniła się od ciężaru przeszłości.

Zdejmując z szyi ciężki, kamienny wisior, pomyślałem, że mam serdecznie dość Truposza.

- No, Kościotrupku, ale z Jill to spieprzyłeś sprawę. Wystawiła cię. Byłeś tak dumny, że znalazłeś klucz, a ona tymczasem zrobiła cię w konia, ukrywając za nim prawdziwy przedmiot swoich trosk.

Jeśli się dobrze skoncentrować, to można ukryć lub zamknąć przed nim pewne myśli. Prawdopodobnie właśnie tak zrobiła Jill - myśląc intensywnie o kluczu, który i tak nie miał dla niej żadnej wartości, ukryła przed Truposzem swoje myśli dotyczące Relikwii.

To go trochę przyhamowało. Zamiast jednak przyznać się do błędu, błyskawicznie zmienił temat. Dlaczego nosisz ten wisior? Czy i ty przyłączyłeś się do jakiegoś kultu?

- Raczej nie. - Wyszczrzyłem zęby. - Sadler dał mi tę pierdółkę. Dzięki niej gromojaszczury nie mają do mnie dostępu. W tym całym zamieszaniu zapomniał jej potem zabrać z powrotem, a ja mu nie przypominałem. Któregoś dnia jeszcze może się przydać.

Uraczył mnie potężną porcją szumu umysłowego, który służył mu za śmiech.

Rzeczywiście. Rzeczywiście.

Poczułem nagle, że jego myśli skoncentrowały się na Mayi.

Chyba za bardzo się sforsowałem, ratując cię przed konsekwencjami twoich własnych błędów. Muszę się trochę zdrzemnąć.

W przekładzie na normalny język i w dużym przybliżeniu oznaczało to, że aprobeuje moją przyjaciółkę. Nic bardziej konkretnego nie przeszłoby mu przez mózg.

Poszedłem do kuchni, żeby oznajmić Deanowi, że od dzisiaj znowu ma wolne noce i pozwolenie na powrót do domu ze skutkiem natychmiastowym, po czym wśród protestów i postękiwań wypchnąłem go za drzwi.

Miasto wrzało przez kilka dni, podekscytowane odnalezieniem Relikwii Terrella. A kiedy i ta historia się nieco zestarzała, wydawało się, że czeka nas spokojna, leniwa zima.

A potem ktoś zrobił najazd na ołtarze Chattaree, wynosząc fortunę w złocie, srebrze i kamieniach. Złoczyńcy nie odnaleziono. Z powodu obscenicznych napisów, pozostawionych na ścianach, Kościół podejrzewał gangi mieszkańców czamoelfickich.

Trzymałem się z daleka od knajpy Morleya. Moje własne kontakty doniosły mi, że chukos użyli w czasie napadu różnych nieprzyjemnych czarów, którymi próbowali zniechęcić zaalarmowanych duchownych. Wołałem nie znaleźć się na miejscu, gdyby nagle pojawiła się banda żądnych zemsty klechów. Z tego jednak, co doniósł mi Saucerhead, Morley nie zmienił swojego trybu życia.

Kiedy Chodo Contague postanawia dopiąć celu, wykorzystuje wszelkie dostępne środki i metody. Przez osiem miesięcy sponsorował i kierował autentycznym oblężeniem Copperhead Bar, wykorzystując do tego celu pełnoetatowych najemników w liczbie około setki. W ciągu tych ośmiu miesięcy skierował na wyspę każdego zdolnego do służby szczura, każdą mysz i karalucha, jakie znajdowały się w TunFaire. Przez ten czas odparł cztery akcje ratownicze Synów Hammona, przeżył kilka ataków ośmioramiennych stworów wyczarowanych przez martwego Loghyra. Bardzo, bardzo uparty człowiek z tego Chodo Contague'a.

Oczywiście, miał w tym swój cel, a w nim jeszcze drugi, ukryty. Nie tylko wyrównywał rachunki, ale starał się zademonstrować, co czeka każdego, który ośmieli się nastąpić mu na odcisk. Osobiście niechętnym okiem patrzę w przyszłość na dzień, kiedy nasze drogi rozejdą się na tyle definitywnie, aby uczynić z nas wrogów. Póki co jednak, jest mi sporo winien i robi dla mnie niemal wszystko.

Dla mnie była to zatem spokojna, leniwa zima... Przez następne dziesięć dni.

Cykl Prywatny Detektyw Garrett, obejmuje tomy:

1. Słodki Srebrny Blues
2. Gorzkie Złote serca
3. Zimne Miedziane Łzy
4. Stare Cynowe Smutki
5. Groźne Mosiężne Cienie
6. Gorące Żelazne Noce
7. Śmiertelne Rtęciowe Kłamstwa